



MAREK S. HUBERATH

Druga podobizna w alabastrze

Marek S. Huberath

Druga podobizna w alabastrze

Wydanie polskie

Data wydania:

1997

Wydawca:

Zysk i S-ka

ISBN 83-7150-266-4

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

DRUGA PODOBIZNA W ALABASTRZE

I

Przestało padać, a dolinę wypełniły kłęby mgły. Z dala przechodziła burza, co chwilę niebo rozbłyskało, choć nie było słyhać grzmotów. Ginęły między stromymi stokami kulminującymi w postrzępionych skalnych graniach.

Agostiański prokurtens Adalgirk spoglądał z odrazą na kolejne grzbiety wyłaniające się znad oparów mgły. Ostre kształty skał, bezładne i brutalne, wydawały mu się esencją brzydoty i prymitywu; jawnie urągały ładu i symetrii architektury murów i architektury społecznej.

Jeśli coś w tych stronach warzało staranniejszego obejrzenia, to niedostępne szklane góry. Opisywali je autorzy dzieł geograficznych traktujących o Albach. W gładzi ich szklanych powierzchni widzieli dążenie przyrody ku doskonałości i pięknu, pragnienie ucieczki od szpetoty skał, lasów i łąk.

Adalgirk poświęcił wiele czasu studiowaniu w Aletxandrion; swej wytrwałości zawdzięczał pierwszą w życiu zawodową misję. Oto tłukł się teraz w keysirskim wozie pocztowym, by dotrzeć do Ultum, małej tetrarchii zapomnianej przez ludzi i bogów.

Funkcję miał wprawdzie wysoką, zadanie dostał ważkie, jednak w czasie dwóch tygodni podróży zdążył mu dokuczyć brak intryg, inspirujących spięć intelektualnych, a nawet pojedynków. Okres pobytu w Aletxandrion bywał, owszem, niebezpieczny, ale nigdy nudny.

Towarzysze podróży unikali prokurtensa, gniojąc się razem na koźle. Nie zażądał tego, lecz przecież przesiedli się sami, gdyż jasno wynikało to z wysokiej pozycji, jaką Adalgirkowi dawało wykształcenie oraz stanowisko. W praktyce funkcja prokurtensa pozwalała mu dekapitować większość z nich. Cóż, trzeba się przyzwyczaić do samotnych podróży.

Jeszcze podczas studiów opracował obszerne studium dotyczące produkcji wina w tetrarchii Ultum. Dlaczego Ultum? Gdyż było mało znaczące, nawet nazwa brzmiała archaicznie, a najważniejsze, że od bardzo dawna nikt się tym nie zajmował. Z analizy wynikało, że okolice dostarczające najprzedniejszych gatunków win osiemset i pięćset lat temu, później stawały się coraz

bardziej zapuszczone, a od dwóch generacji przychód z nich był żaden. Oczywiście, musiały wpłynąć na to walki między Keysiriu Rom i Carolusem Retxii Romanii; Ultum ulokowane na obszarze pogranicza często przechodziło z rąk do rąk; nawet dziś przynależność administracyjna tetrarchii nie była uregulowana. Jednakże od dawna panował tam spokój i nic nie uzasadniało zmniejszonych dostaw wina.

Napisanie celnego studium śledczego było znakomitym sposobem na zrobienie szybkiej kariery. Mniej ważył ciężar zarzutów, bardziej to, czy lokalny władca szukał powodów do pozbycia się hierarchy niższej rangi. Zarzuty zaś sformułowane w studium Adalgirka były istotne: jeśli tetrarcha był marnotrawny, traciła na tym nie tylko jego włość, ale całe Iamporiu Iatternu.

Młody keysir Columbans był niemal rówieśnikiem Adalgirka. Elaborat bardzo go zainteresował. Adalgirk domyślił się, że Columbans chce zająć się tą sprawą, gdyż szuka precedensu, mogącego w przyszłości zaświadczyć, że Ultum podlega administracyjnie Keysiriu Rom, a nie Carollum Retxii Romanii.

Columbans zatrudnił go w swojej administracji, a na dodatek załatwił dla niego listy samego agostusa. Nie było to trudne, bo w boskim Aletxandrion do każdego władcy było blisko.

Niezwłocznie Adalgirk oddalił swoją żonę Trudę Barbarię, gdyż uznał, że nie pasuje ona do jego obecnej pozycji społecznej. Zawsze uważał się za laddino mogącego wywieść swój ród na dwanaście generacji wstecz, więc tym bardziej nie powinien wiązać się na zbyt długo z prostą Germanką.

Zresztą odkąd przenieśli się do Aletxandrion, słońce, przed którym tam nie sposób się skryć, zmieniło jej jasną cerę w rojowisko rudawych piegów na różowym i nieustannie łuszczącym się tle. Taka przykra oprawa jakoś nie pasowała do modnego życia i towarzyskiego stylu Stolicy Stolic. Piękne, jasne włosy wylaziły Trudzie od słońca, więc można się było spodziewać, że wyleżą jej wszystkie, co niejako z wyprzedzeniem zmniejszało jej atrakcyjność. Bez śladu rozeszło się to niezwykle wrażenie świetlistego majestatu, jakie odniósł, gdy spotkał ją pierwszy raz. Zwrócił Trudę Barbarię rodzicom, wpłacając zwyczajową kwotę, i nie przejmował się już więcej. Zresztą i tak wytrzymał z nią przez okres studiów w Aletxandrion, choć może bardziej dlatego, że nie wypadało oddalać żony, póki studiował. Gdy został prokurtensem, opinia nauczycieli: retorów, erystów czy sozygistów, przestała mieć znaczenie.

W ciągu trzymiesięcznej podróży Adalgirk przebył Mare Nostru, a następnie całe Keysiriu Rom. Niestety, naocznie przekonał się, że prawdą jest pogłoska o tym, jakoby carolus Byfferii miał dochody znacznie większe, niż swojemu władcy daje całe spustoszone Keysiriu Rom. Stało się jasne, dlaczego młody keysir tak zabiega o zwiększenie swoich dochodów; przekonał się, że mianowanie młodego prokurtensa stanowiło lepszy interes dla keysira, który nic nie ryzykował, zarządzając dochodzenie.

Adalgirk nigdy dotąd nie miał tak wyraźnego uczucia zmarnowanej kariery życiowej, jak kiedy zwiedzał prastare, zakrzaczone ruiny miasta Rom, starego serca Iamporiu. Nie mógł zapomnieć brudnych, półdzikich ludzi, gnieźdzących się w ruinach. Co jedli i z czego się utrzymywali, pozostawało ich tajemnicą. Adalgirk eskortowany przez oddział pretorii pośpiesznie zwiedził teren

zarośniętych wzgórz, gdzie ledwie w paru miejscach na ruinach można było znaleźć nieczytelne już inskrypcje, na dodatek przykryte bązgrołami usiłujących się upamiętnić durniów. Do tych nędznych atrakcji wiodły wydeptane wśród zielska ścieżki, na których cuchnęło ekskrementami.

Dalej na północ nie było aż tak źle, chociaż przeraźliwie daleko było tym ziemiom do dostatku i piękna Agyptum. Rodziła się gorzka refleksja, że basilicus słusznie zamieszkał w najpiękniejszych rejonach całego Iamporiu, a dla Adalgirka okres pobytu w centrum cywilizacji już się skończył. Nawet czysta i zadbana stołeczna Iamilia nie mogła zmienić przygnębiającego wrażenia.

Zbliżali się do północnego skraju Rom. Wydawałoby się, że za tymi odległymi prowincjami nie powinno być nic, poza lasami zamieszkanymi przez barbarzyńców czy jałowym bezludziem. A przecież dopiero tam, za Ultum, za Albami, zaczynały się ziemie potężnego Agostiu Nordi z żyznymi glebami, licznymi stadami; prowincje należycie ułożone w keysiria i carolla.

Ze zmiany na zmianę nawet wozy poczty wydawały się marniejsze; Adalgirk trząśł się z zimna zawinięty w płaszcz na odkrytym, nieresorowanym wozie.

Pewnie przyjdzie w końcu wędrować na oklep – myślał niechętnie. Nie znosił jazdy konnej.

Rozejrzał się znudzony: Noljaga, masywny, ale przygarbiony Sław drzemał na rostrum wozu, niby powożąc, chociaż konie same szły przed siebie, jakby znały drogę.

Lepszych niewolników widziałem w kamieniołomie mojego ojca – pomyślał Adalgirk. – Taki byłby w sam raz, by wypróbować na nim nowy miecz. A tutaj został pocztylionem drugiej rangi.

Za Noljagą siedzieli na ławce wolni pasażerowie wozu. Kiwali się zakutani w przemoczone płaszcze. Koła głośno łomotały na kamieniach drogi iamporialnej.

Mgła rozeszła się, ukazując podnóża gór niknących w równej warstwie ciemnoszarych, skłębionych chmur. W dali ujrzał kilka wieżyc warowni pocztowej, Fornitx Albu, celu dzisiejszego etapu podróży. Wóz skręcił. Koła ciszej zaturkotały w pyłe. Lunęło. Prokurtens Adalgirk spróbował szczelniej zakutać się w płaszcz, ale niewiele wskórał. Deszcz zabębnił po skrzydlatym hełmie i strugami pociekł za kołnierz. Zęby same zaczęły szczekać, niebaczne na powagę urzędu. Dobrze, że chociaż inni pasażerowie tego nie słyszeli. Rozmyślać się nie dało, co najwyżej podziwiać rozmach błyskawic.

II

Fornitx Albu, mała osada utrzymująca się z obsługi garnizonu wojskowego, nie miała wiele do zaoferowania. Przemoczony i przemarznięty Adalgirk stracił zresztą ochotę na poszukiwanie

możliwych uciech.

W izbie siedział samotnie: nie było nikogo nie tylko równego, ale nawet zbliżonego stanowiskiem, a z żołnierzami nie powinien ani nie chciał się zadawać. Za ledwie kilku lekkich piechurów suszyło się przy kominku. Grubokościści, rudzi, wyglądali na Hyperborejów; niezrozumiale szemrali między sobą. Hełmy złożyli na stole, a miecze oparli o ścianę. W kącie siedziała rozgadana trójka w kolczugach; wyglądali na południowców, ale trudno było określić rejon, gdyż do Adalgirka dolatywały tylko ich pojedyncze słowa. O ścianę oparli długie rury pileia fulgurai, broni zakazanej w capitum. Adalgirk nie rozpoznawał formacji, w której mogliby służyć.

Żeby chociaż zajrzał jakiś oficer, można by zamienić parę słów. Ale wszystkich odstraszyła paskudna pogoda, dyżurny zaś nie mógł opuścić wartowni.

Jedyną uciechą pozostało jedzenie. Chleb płaski, świeży jak w Rom, rozerwany ujawniał ciemny miąższ i mniej się kruszył. Ser był znakomity, właściwie to nie ser, ale cuchnące putrum Gallicum. Jeśli ktoś jest wytrawnym smakoszem i nie odstręcza go odrażająca woń i pleśń, to podane putrum mogło zdobyć uznanie. Adalgirk uważał się za wytrawnego smakosza.

Popijał w milczeniu mocne i ostre monti pulcinu, zerkając na jego głęboką czerwień przez grube szkło kubka. Nie zdążył przyzwyczać się do tego wina, chociaż raczono go nim już w Rom i im dalej na północ, tym częściej. Już teraz czuł znajomą, piekącą falę niestrawności wracającą z głębi przełyku. Łagodny, kremowy smak putrum nie był w stanie jej stłumić.

Skinął na obsługującego niewolnika z czerwoną opaską na czole.

– Macie tu inne wino?

– Zwykle gościom podajemy monti pulcinu, najmocniejsze.

– A co zwykle piją wasi oficerowie?

– Często też monti pulcinu.

– A inne wina? – syknął Adalgirk. Zniecierpliwiła go arogancja sługi. Ten spostrzegł się w porę.

– Komendant pija lobruscu – zaproponował grzecznie.

– A co to jest?

– Nieco słabsze, też czerwone.

– Podaj je.

Lobruscu okazało się lepsze, niż się Adalgirk spodziewał. Miało wpadający w fiolet kolor czarnego wina; delikatny posmak gronowych skórek i nieznaczny sztych słodocy, w sam raz, by stłumić cierpkość kwasu i nadal pozostać wytrawnym. Poza tym musowało, leciutko szczypiąc język.

Poprawiło humor prokurtena. Adalgirk życzył sobie kubka za kubkiem. Osłabły objawy niestrawności.

Izba dawno opustoszała, usługujący zaś niewolnik ziewaniem dawał znaki, że pora skończyć mocno spóźnioną biesiadę. Wreszcie Adalgirk zwrócił uwagę niewolnikowi, że skoro rozmyśla tyle o nadchodzącym śnie, to może zasnąć naprawdę na długo. Uspokoilo to krnąbrnego sługę.

Miał rację, przeciągając biesiadę. Dostał nie opalany pokój nad psiarnią. Wypity alkohol nie wystarczył, by uciec od rzeczywistości: całą noc słychać było donośne ujadania i wycie. Nad ranem w izbie zrobiło się tak zimno, że nie dało się dospać do świtu.

III

Wcześniej zatem udał się do fortecznej świątyni wszystkich bogów. Fornitx Albu było zbyt małe i bogowie musieli się podzielić wspólnym domem wymaganym przez prawo Iamporiu jako niezbędne minimum miejskie. Może gdyby Adalgirk poszukał w osadzie poza murami, to znalazłby świątynię poświęconę różnym bogom, albo przynajmniej ołtarzyki ofiarne, ale nie chciało się mu włóczyć wśród nędznych chałup.

W Pantejonie odnalazł niewielki posązek Virbisa, boga Cursus Honorum, któremu, jak sądził, został poświęcony. Adalgirk wierzył, że jego celem jest zrobienie kariery i towarzysząca temu wielokrotna zmiana losu. Czuł, że właśnie zakończyło się jego pierwsze życie, a przynajmniej pierwsza część życia związana z Aletxandrion i Trudą Barbarią.

Przy wejściu do świątyni kupił za parę drobniaków kilka czerwonych drewniaków i cienki wężyk trociczki. Zapalił drewniak przed posązką, od nich rozszedł kadzidło, a do skarbonki stanowiącej postument posągu wcisnął zwinięty banknot. Rozszedł się przyjemny zapach, hołd złożony Virbisowi był ważny. Drewniak dobrej jakości, albo dobrze podrobione, płonęły, wydając piękny zapach i strzelając kroplami żywicznego oleju, które spalały się w jasnych rozbłyskach. W Agostiu Nordi kwitła sztuka barwienia i nasycania świerkowych deseczek odpowiednimi pachnidłami. Niektóre podróbki pachniały piękniej i paliły się efektowniej niż drewno oryginalne.

Wychodząc z Pantejonu, rzucił okiem na rząd popiersi ubóstwionych basilicusów. Na podwyższeniu trwał twórca wielkiej konstrukcji państwa, Basilicus Carolus Maguns Partynik; niżej ustawiono gromadę mniejszych popiersi ubóstwionych agostów. Tu wybijało się wielkością popiersie twórcy małej konstrukcji państwa, Dioklecjana Agosta. W mrowiu pozostałych, mniejszych popiersi ubóstwionych keysirów ginął gdzieś pierwszy z nich, Gaius Julios Keysir.

Adalgirk odszukał posązek Gaiusa i wcisnął w szczelinę postumentu banknot o niższym nominale niż ofiarowany Virbisowi. Utożsamiał Gaiusa Juliusa z Virbisem, gdyż życie keysira

składało się z dwóch istotnych części, a sztuką, której dokonał, była przemiana starego Rom od greckiego, opartego na zgodzie grupy, do właściwego, opartego na formie duchowej. Z tej przemiany wynikły późniejsze konstrukcje państwowe, które trwać będą wiecznie dzięki doskonałości swojej.

Adalgirk wierzył, że i on, na własną, może skromniejszą miarę, zdoła dokonać znaczącej przemiany powierzonej sobie prowincji Iamporiu. Ostatecznie, obecnie Rom jest keysiriu wyłącznie ze względu na historię, gdyż znaczeniem i obszarem równa się ledwie średniemu carollum, czwartej, czwartej i czwartej części Iamporiu. Więc i dzieło wielkiego Gaiusa Juliosa jawiło się obecnie jakby w skromniejszych proporcjach.

W prefettum czekała go miła niespodzianka. Trzej żołnierze w kolczugach, których widział wieczorem w kantynie, okazali się jego przyboczną świtą przyslaną przez Theodorika, tetrarchę Ultum, już powiadomionego o wizytacji prokurtensa.

Dziś, w złożonych napierśnikach narzuconych na kolczugi i nagołennikach, żołnierze prezentowali się lepiej. Dosiadali ciężkich koni, ich wysokie, obudowane siodła wyposażono, w ochronie przed arkanem, w ustawione na sztorc tyki ze sterczącymi piórami. Oprócz długiej kopii, krzywego, partyjskiego miecza, każdy miał przy siodle długą, nabijaną ćwiekami kaburę na piliu fulguris. Adalgirk słyszał o oddziałach polane, ciężkiej jazdy północy, podstawowych formacjach zbrojnych Hyperborei, Sarmatii i Tartarii Alby. Jednakże wątpił w przydatność ciężkiej jazdy w zalesionych, krętych dolinach górskich Ultum.

Czwarty z jezdnych, oficer, zmieszany wczorajszą nieobecnością przy stole, przeprowadził Adalgirka przed frontem małego oddziału. Polane kolejno unosili przyłbice hełmów kantem rękawicy.

– Zawsze wydawało mi się, że Sarmati powinni inaczej wyglądać, to lud północny – grzecznie zauważył Adalgirk.

Oficer wyszczerzył mocne zębiska, udając uśmiech.

– W Ultum jest niewielu Sarmatów. Do oddziału zaciąga się każdego, kto jest zdolny podołać tej służbie, nosić to całe żelastwo.

Gdyby powiedział wprost, że polane to nazwa formacji wojskowej, czego jasny pan prokurtens raczył nie wiedzieć, Adalgirk spostrzegłby i zapamiętał tę impertynencję.

– A wielu polane ma Theodorik?

– Dwie etatowe centurie. Wystarczy na potrzeby Ultum.

Drugą niespodzianką poranka był okazały parochód, podstawiony do dyspozycji agostiańskiego prokurtensa. Jakby nieznany życzliwiec wiedział o jego niechęci do jazdy konnej. Adalgirk spochmurniał, przypomniał sobie, że wytwarzanie vapore-mobili zostało zabronione edyktem ukochanego i boskiego basilicusa Bubena Rufusa Qalby, już siedem lat temu. Wsiadł jednak po sznurowej drabince, gdyż nie wypadało odmówić gościnności władcy. Niechętnie oglądał

niepotrzebne ozdoby wykonane z cennej stali, notując w myślach, że tetrarcha odważył się złamać jedno z praw basilicusa. To spostrzeżenie może przydać się w przyszłości – myślał o tym, wygodnie rozparty, jeszcze wtedy, gdy rozległ się łoskot i sapanie ruszającego z miejsca parochodu, a rusztowy zaczął się gorączkowo uwijać, dorzucając drewno do paleniska.

IV

Parochód okazał się równie powolny jak wóz konny, ale jazda nim była przyjemniejsza. Kabinę pasażerów zadaszono żagle chroniącym od przykrej porannej mżawki. Żagle można było opuścić niżej, gdyby deszcz chciał zacinać. Bity trakt snuł się wokół poletek marnego jęczmienia i prosa albo wiódł przez zagajniki. Adalgirk nadal sądził, że w takim terenie użycie ciężkiej jazdy sarmackiej nie ma sensu, gdyż ta utknie, nie mogąc nabrać niezbędnego rozpędu. Tutaj lepsza by była solidna piechota lub lekkie oddziały jazdy zdolne zadać niespodziewane uderzenia.

Do mżawki zdążył się już przyzwyczać. To, że postrzępione szczyty i granie skrywała ciemnoszara podstawa chmur, było raczej zaletą deszczowej aury. Ukryte nie raniły jego poczucia estetyki swą barbarzyńską szpetotą.

Tym razem bogowie okazali się łaskawsi dla Adalgirka: obdarzyli go towarzyszem podróży, z którym mógł porozmawiać. Był to niejaki Caneva, rzeźbiarz. Został wynajęty przez tetrarchę Ultum, aby wykonać podobizny rodziny władcy. Brzuchaty staruszek z piórkami krótkich, siwych włosów okalających nieustannie wilgotną, pokrytą piegami łysiną, mógł, z uwagi na swą profesję, siedzieć w kabinie, a nie na rostrum.

Formalnie, agostiańskiego prokurtensa i prostego rzeźbiarza dzieliła duża różnica stanów, lecz zwyczajem dostojników z Aletxandrion było życzliwe traktowanie artystów. Jeszcze zanim wsiedli, zamienił z nim parę bezosobowych uwag. Również Adalgirk zbyt cenił dzieła najlepszych spośród rzeźbiarzy (oczywiście nie tych, którzy ozdabiają izby bogatych obywateli czy ich fontanny, lecz tych, których dzieła wymienia się w dysputach w Aletxandrion), by oprzeć się ciekawości i dokładniej nie wypytać. Nazwisko Caneva nic mu nie mówiło, ale mogło oznaczać i mistrza. Zdmuchnął więc kropelkę, która miała skapnąć ze skrzydlatego hełmu i zagadał.

– Mistrzu, forma „mistrzu” wydała się najodpowiedniejsza, niezależnie od klasy wykonawcy replik trójwymiarowych, co jest najtrudniejsze w waszej pracy? Co sprawia największy kłopot?

– Frędzle – zachichotał stary i potarł dłonią mokry kosmyk siwych włosów przyklejonych do łysiny.

– Co? Frędzle? – Adalgirk stracił zwykłą pewność siebie.

– Spróbujcie, panie prokurtensie, wykonać ze skały parę nitek wyłazających ze supła – odpowiedział przyjaźnie Caneva.

Adalgirk nie odezwał się, więc rzeźbiarz wywodził dalej.

– Widzicie, panie, skała jest tworzywem zupełnie nieodpowiednim. Jest piękna, gdy wypolerowana; mocna i trwała, choć krucha. Ale w niczym nie przypomina wiotkiej nitki. Zresztą, ta kruchość jest jej największym przekleństwem. Jedno fałszywe uderzenie młotka i cały wielki kamień został zmarnowany. Nieodwołalnie.

– Przecież wy, rzeźbiarze, macie swoje chytre wybiegi, sztuczki. Kleicie ułamki...

– Ja nie kleję. Nigdy. Nie łamię edyktu. – Stary się naburmuszył.

– Ale wielu tak robi.

– Nie najlepsi.

Zapadła chwila ciszy. Caneva poczuł, że jego opryskliwość uraziła młodego dostojnika.

– Frędzle stanowią nie tylko trudność techniczną. Trzeba oddać miękkość nitki, która układa się na innej miękkiej nitce, a nie na bryłce czegoś sztywnego.

– A kobiecie ciało?

– Nie – odparł zdecydowanie Caneva. – Przecież zostaje się rzeźbiarzem, by rzeźbić kobiety. Jeśli tego nie potrafisz, to lepiej zajmij się czymś innym – architekturą, może murarką.

– Zawsze sądziłem, że ludzkie ciało jest najtrudniejsze.

– Od pewnego momentu nie może być. Od chwili, kiedy zrozumie się, jakie jest, jak zginają się stawy, jak napinają i przesuwiają się mięśnie, jak marszczy się skóra. Oczywiście, to ciało, bo z twarzami inna sprawa. Tu albo uchwycisz to nieuchwytne, albo nie. Wynik widać dopiero na końcu. Mnie też zdarzały się nieudactwa.

– Frędzle – podsunął Adalgirk, widząc, że stary niechętnie mówi o rzeźbieniu ciała.

– Tak, frędzle. W ogóle tkanina – powiedział Caneva. – Trzeba sprawić, by kawał marmuru wyglądał jak koc, kapa czy materac; by wyglądało, że jest miękki. To trudne.

– Ale ty to umiesz robić, mistrzu.

– Czasem umiem – odmruknął stary. – Czasem sknocę robotę zupełnie.

– Co wtedy?

– Różnie: czasem pozwolą zacząć w nowym bloku, czasem trzeba odwołać się do reputacji,

żeby nie zdekapitowali.

– Ale dotąd nie zdarzało ci się to często?

– Nieczęsto, ale się zdarzyło. Parę razy.

Adalgirk podsunął staremu kubek z canewą. Rzeźbiarz pociągnął łyk.

– Hi, hi, wino jak ja.

Zaskoczony prokurtens nie przypuszczał, że trafił na znawcę.

– Ale może właśnie na to zasługuję. – Caneva opróżnił kubek.

Parochód zatrzymał się w przydrożnej stacji pocztowej. Przed kamiennym budynkiem już oczekiwali prymus stacji i dwaj zbrojni. Parochód podjechał pod bramę wodną. Adalgirk obserwował, jak uzupełnia się wodę w tendrze. Niewolnicy opuścili z bramy płóciennego węża; wystarczyło rozwiązać krępujący sznur, by pociekła struga. Potem wystarczyło węża unieść na pasach, by sflaczał, a woda przestała się lać. Czarne i białe drwa sypano wprost z koszy, z mostu do tendra. Nie było widać szczególnego marnotrawstwa, ale świątły basilicus z pewnością i tak miał rację, twierdząc, że lasy winny dostarczać taniego budulca, a nie być trzebione dla drwa idącego na opał.

Prymus stacji podał jeszcze wór z pocztą i parochód majestatycznie wyjechał spod akwaportu.

– A co najchętniej rzeźbicie? – zagadał znowu Adalgirk, gdy sapanie parochodu stało się cichsze i równomierne, a kłęby pary, wzniesione przy ruszaniu z miejsca, opadły.

– Nie co, a kogo – poprawił Caneva. – Kobiety, oczywiście kobiety, i żeby miały jak najmniej szatek na sobie.

– No pewnie. – Rysy twarzy Adalgirka wygładziły się.

– No tak, ale i dlatego, że fałdy tkaniny są bardzo trudne. Dzieło nie może sprawiać wrażenia, że modelkę zawinięto w kawał żagla. Natomiast kobiece ciało rzeźbi się samo, gdzieś tam głęboko pod czaszką siedzi wiedza o nim... – stary klepnął się w potylicę. – Można to robić z pamięci. A jak skorygujesz drobne niedostatki, to i modelka będzie wdzięczna.

Adalgirk pokiwał głową. Przejeżdżali środkiem nędznej osady. Drzemiący dotąd w kulbakach polane rozglądali się bacznie, czy z któregoś ze zrujnowanych domostw nie polecą kamień. Ale wybiegło ku nim tylko parę usmarkanych dzieciaków, które z rozdziawionymi gębami gapiły się na pojazd i eskortę.

– Kiedy byliście ostatnio zakochani, panie? – rzucił Caneva. Stare oczy rozbłysły na chwilę jak u polującego kota.

– Ja? – Adalgirk zamyślił się. Nawet nie zwrócił uwagi na niestosowność pytania. Czy kochał

Trudę Barbarię? Na pewno była piękną, w Agostiu Sudi nawet egzotyczną piękną. Właśnie dlatego ożenił się z nią. Ale też i oddalił ją bez większego żalu. Czy ona go kochała? Kilka razy powiedziała, że tak. Może to była prawda, może nie. On też powiedział jej to kilkakrotnie, bo tak wypadało. Nawet nie wiedział, jak przyjął oddalenie, bo uniknął bezpośredniej rozmowy. Sprawę załatwił z jej rodzicami. Sądził, że dali się załagodzić, otrzymując więcej pieniędzy, niż nakazywał zwyczaj.

– Nie odpowiadacie, panie – powiedział rzeźbiarz. – A ja, stary, jadę do Ultum wyleczyć się z zakochania.

– Hm? – mruknął zamyślony Adalgirk.

– Rzeźbiłem siostrę jednego tetrarchy, chociaż całkiem potężnego, samego Eglara z Turms. I cóż, stało się. Padło na mnie.

– I co?

– I nic. Nawet nie zauważyła. Pani, księżniczka, a tu stary rzemieślnik. To znaczy chyba zauważyła, ale nie okazała tego. Przynajmniej powstała dobra rzeźba.

– Piękna była ta tetrarchini?

– Wiecie, panie, rzeźbiarz widzi więcej urody kobiety, za przeproszeniem, niż wy. Każdy detal gładzi wzrokiem godzinami.

– Do Ultum jedziecie znowu się zakochać?

– Mam nadzieję, że tylko odkochać. Bo jak będzie rodzina tetrarchy, to raczej sporo fałdów szat.
– Caneva uśmiechnął się. – Trudna robota.

Na wieczór dotarli do Urbens Ultum. Omijając łukiem miasto, podjechali wprost do pobliskiej, masywnej, kamiennej fortecy.

Ponieważ władca miał przybyć następnego ranka, honory domu pełnił zarządca, Herminsz, niewiarygodnie garbiący się, niestary jeszcze człowiek z wyraźną już łysiną czołową. Tetrarchini nie przyjął gościa pod nieobecność władcy.

Adalgirk dostał wygodny apartament w wysokim zamku; rzeźbiarz, który zwał się jak tanie wino, izbę w pomieszczeniach służby.

Rankiem Adalgirk został przyjęty przez Theodorika i kilka osób z jego otoczenia. Tetrarcha nosił dobrej klasy syryjską szatę oraz germańskie spodnie. Bez ozdób, bez insygniów władzy, a przecież nie budziło wątpliwości, że to władca. Był w średnim wieku, ze śladami siwizny na skroniach i opalonej twarzy. Przecięta kilkoma głębokimi bruzdami zmarszczek, zdradzała kogoś, kto spędza większość czasu na świeżym powietrzu. Wysoki niemal jak Adalgirk, szczupły, o leniwych, elastycznych ruchach kota, musiał być groźnym przeciwnikiem w walce wręcz. Nie rozpał się od dostatku, jak większość królików małych państweczek, tworzących cegiełki architektury Iamporiu.

Jego jasna, z pewnością przywieziona z Agostiu Nordi, żona była podobnie spalona słońcem i miała podobne spojrzenie, jak Theodorik – spokojne i pewne, choć uważne. Adalgirk aż pożałował, że rozstał się z Trudą Barbarią. Podobna w typie urody do władczyni, może pomogłaby nawiązać bliższy kontakt z Theodorikiem. Jednak tetrarchini nie była aż tak jasna jak Truda Barbaria: miała duże, brązowe oczy, a włosy też nie lniane, lecz ciemnomiodowe.

Poza nią, w otoczeniu władcy stał poznany dzień wcześniej zarządca Herminsz oraz rostry, wysoki oficer byfferi, przy mieczu i w zbroi. Byffer miał coś niemilego w wodnistych ślepiach, jakby dłuwał swoim świdrowatym spojrzeniem gdzieś głęboko pod czaszką prokurtensa. Dało się odczuć, że łatwo wydobyl stamtąd coś paskudnego i nie mógł teraz inaczej spojrzeć na Adalgirka. Dwaj pretorianie stojący przy drzwiach i kilku usługujących niewolników z czerwonymi albo purpurowymi opaskami na czolach dopełniało grona witającego prokurtensa.

– Salud, Theodoriku Badv'ayr'sacr, władco Ultum... – zaczął z namaszczeniem Adalgirk, zwieszając głowę i kładąc rękę na sercu. Uniżona poza nie obowiązywała go, ponieważ godność agostiańskiego prokurtensa była niemal równa godności pośledniego tetrarchy. Spektakl ten miał jeden cel: nie należało już na wstępie zrażać satrapy.

– Salud, Adalgirku Quintusie, prokurtensie supra Ultum. – Theodorik szybko przerwał wyliczanie godności i wyciągnął prawicę jak do równego sobie.

Adalgirk od razu docenił starego lisa: musiał zrobić dobry wywiad na mój temat, bo jak by trafił z tym Piątym. I jeszcze podkreślił podległość Ultum mojej jurysdykcji...

– Sam już prawie zapomniałem, że kiedyś poświęcono mnie Budaiwie – kontynuował władca. – Moi Sarmati i Slawi przekręcili moje imię po swojemu i dziś już nikt inaczej o mnie nie mówi jak Theodorik Beda. Dobrze, że Iamporiu przypomniało sobie o małym Ultum. Niech więc je pozna dokładnie – gdy obrażał, to jednocześnie chwalił. – To moja pani, pani Ultum, Irmena. – Wskazał żonę.

– Córka sławnego Irmena? – zaryzykował Adalgirk.

Irma parsknęła śmiechem.

– Kobiety kiltgosh noszą swoje własne imiona – wyjaśnił Theodorik. Oszczędził uwagi, że imię Irmen nie istnieje. – Pana Herminsza zdążyłeś już poznać, prokurtensie. A to jest Aristam, mój prefettus, którego przydzielam ci jako pomocnika w pracy. Będzie wykonywał twoje rozkazy i odpowiadał za to, by wszystkie drzwi i wszystkie księgi były przed tobą otwarte.

Barczysty Byffer lekko skłonił się, ale jego drażące ślepia nadal nieruchomo obserwowały Adalgirka; przypominał węża o bezwładniającym ptaku. O Aristamie Adalgirk usłyszał już wcześniej, kiedy przygotowywał się do śledztwa. Miał on opinię zdolnego oficera, który często wpada w konflikt z Theodorikiem i który marnuje karierę na nędznej służbie, bo dla jakichś powodów nie może wrócić do rodzinnego królestwa. Aristam wydawał się człowiekiem najbardziej odpowiednim do współpracy w śledztwie przeciw swemu panu. Ale dlaczego Theodorik przydzielił prokurtensowi właśnie jego? Chciał łatwiej mieć ich obu na oku? Niepokojący, wrogi, świdrujący wzrok Aristama mógł wynikać ze zwykłych śledczych nawyków. Ostatecznie, Adalgirk nie był na tej sali jedynym, który rozwiązywał zagadkę.

– Jest u nas w Ultum zwyczaj, że jeśli przybywa ktoś godnością równy władcy, obdarowujemy go bronią. To stara tradycja, znacząca, że w Ultum zawsze było dość broni – powiedział Theodorik. – Dlatego przyjmij od nas ten krzywy miecz. – Skinął na rosłego pretora, który odpiął od pasa i podał prokurtensowi broń w skórzanej wykrzywionej pochwie, czarnej, szamerowanej białym metalem.

Theodorik wręczył miecz Adalgirkowi. Ten dobył błękitnego, niemal lustrzanego ostrza.

– Tartaryjska – powiedział, wpatrując się zafascynowanym wzrokiem w bezbłędny kształt. Był miłośnikiem pięknej broni, o czym, widać, już wiadano.

– Z Tartarii Major, gdzie ludzie nieustannie mrużą oczy.

Zasiedli wreszcie do posiłku. Jak na prowincjonalnej uczcie z anegdoty, podano po jajku dla uczczenia Ovusa, boga początku. Ledwie powstrzymał się przed zapytaniem, jak pod koniec uczczą Anusa, boga końca.

Potem wniesiono węgorza gotowanego w canevie i czereśnie; następnie maleńkie pierożki z mięsem, które zwali oreccinai. Pito lo Bruscu, którego klasę Adalgirk musiał docenić, po tym z oficerskiej kantyny Fornitx Albu.

Zgodnie z tym, co mawiano o kobietach z północnych Keysirii, Irma piła wino. Pochodzącemu z serca Iamporiu Adalgirkowi, to naruszenie należytej hierarchii bytów wydało się prostactwem denerwującym bardziej niż jedzenie jajka na początku biesiady.

Korciło go, by przedstawić wywód PseudoWiktoryna Areopagity, twórcy filozofii religii Iamporiu. Ów wyjaśnił, że godną cześć należy składać bogom w ich domach, świątyniach, ofiara zaś winna być symbolem, oddzielonym od materialnego przedmiotu – jak banknot, w którym darem była liczba, nominał, a nie kawałek papieru, na którym banknot wydrukowano. Uznał jednak, że zostanie to potraktowane jako impertynencja, a najprawdopodobniej nie zrozumie go towarzystwo, w którym kobiety pijają wino.

Kto ucztuje z rana, ten nie zrobi wiele do wieczora, więc posiłek był dość skromny. Theodorik umył dłonie i wytarł starannie w chustę podsuniętą przez murexa, niewolnika z purpurową opaską na czole, który obsługiwał władcy. Pod szarfą każdy niewolnik miał wytatuowaną rangę odpowiadającą barwie opaski.

– A może byś zaczął swą pracę od Malgum, panie Adalgirku? – zagadał grzecznie Theodorik, gdy cicho odbeknął po posiłku.

Adalgirk płucał palce w podsuniętej misie. Mimo sztuców tu jeszcze przestrzegano tego zwyczaju.

– Od Malgum?...

– To takie zapomniane miejsce, nawet w zapomnianym Ultum. – Theodorik uśmiechnął się, szczerząc mocne, białe zęby. – Zobaczysz, panie, szklane góry, skraj mojej włości.

– Prawdziwą szklaną górę? – szczerze zainteresował się Adalgirk pochodzący z ciepłego Egiptum.

– Nie jedną. Całe grupy, całe łańcuchy szklanych gór.

VI

Zapadał zmierzch. Theodorik wygodnie wyciągnął się obok Irmeny na pokrytym mięsistymi narzutami pościeli. Sączył wino. Irmena leżała obok, uniesiona na łokciach, i wpatrywała się w powierzchnię ciemnego płynu w kielichu, po której, gdy leciutko dmuchnąć, rozchodziły się kręgi fal. W kącie, jak nieruchoma rzeźba, przycupnęła niewolnica.

Theodorik przyglądał się z przyjemnością zamyśloną żonie, u której gęste fałdy, ale bardzo cienkiej szaty, ujawniały wiele pięknych miejsc. Jego wzrok pobiegł tam, gdzie łydka miękkim łukiem przechodziła w udo; potem tam, gdzie piersi zaczynały wzbierać i rysował się początek zagłębienia pomiędzy nimi; czy znowu, gdzie ledwie prześwitywało miejsce, w którym biodro przechodzi w kibić; albo tam, gdzie na ostrym szczycie piersi spod napiętej tkaniny już całkiem wyraźnie rysowało się ciemniejsze kółeczko.

Irmena poprawiła się na pościeli. Zmarszczyła brwi.

– Jest groźniejszy, niż myślisz. Tak mówi mi intuicja. To nie jest młody, zarozumiały bufon, zapatrzony w siebie, to młody wilk, silny, szybki i żądny krwi – powiedziała i dopiero wtedy spojrzała na męża.

– Myślisz, że niepotrzebnie podarowałem mu jeden z moich najpiękniejszych mieczy?

– Tak właśnie myślę. To nie jest ktoś, kogo obłaskawisz prezentami – urwała. Wskazała niewolnicy, by ta dołała im wina.

Aurelia, gdyby była wolna, pięknnością równałaby się z najpiękniejszymi paniami. Smukła, wysoka, jednocześnie gibka, o delikatnych rysach twarzy i wielkich, smutnych oczach sarny, była odziana w powiewną, białą szatę, co jeszcze podkreślało jej śniadą cerę i lśniący granat włosów spiętych czerwoną wstążką.

Theodorik powiódł wzrokiem za Aurelią. Jednak nieobecnie, niedbale. Irmena zauważyła to spojrzenie; wyczuwała niewielkie zainteresowanie władcy południową pięknnością. Od pewnego czasu trzymała Aurelię w swoim bezpośrednim otoczeniu, by podsunąć ją Theodorikowi, gdyby poczuł się znudzony nią samą. Gdy kąpała się, dbała, by to właśnie Aurelia, nie inna niewolnica, naga bądź półnaga usługiwała jej. Theodorik lubił odwiedzać żonę w łaźni; przy okazji mógł też podziwiać wdzięki Aurelii.

Jeśli już ma znaleźć sobie kochankę, niechże to będzie moja zaufana, najwierniejsza sługa – rozumowała mądra pani Irmena. Dotąd jednak Theodorik nie uwiódł Aurelii, zdawał się interesować wyłącznie Irmeną, a zaufani szpiedzy nie donieśli władczyni o żadnym nieznanym obiekcie zainteresowań Theodorika. Ciągłe jednak miała wrażenie, że na cienkiej smyczy prowadzi groźnego i pięknego drapieżnika, który w zasadzie i tak robi, co chce, a smycz ta dotąd się nie zerwała jedynie dlatego, że w istocie nigdy nie była napięta.

Nie była to jednak cała prawda. Mimo paru lat, które upłynęły, odkąd zjawiała się w Ultum, Irmena nadal fascynowała Theodorika. I to nie tylko niezwykłą urodą, bo przecież za rozsądne, choć duże pieniądze mógł sprowadzić równie piękną, a nawet nietkniętą niewolnicę, jak choćby Aurelia. Ale wcześniej nie spotkał kobiety, która umiałaby urzec go jak Irmena, a która też stałaby się dla niego równie ważnym doradcą i dobrym powiernikiem. Zresztą, jako jedna z niewielu kobiet podołała studiom medycyny u wielkiego Orthocelsusa Hyperboreja. Nie zdarzało się to wśród córek arystokratów, wychowywanych na żony pomniejszych władców. Theodorik wyróżniał Irmenę bardziej, niż zasługują na to kobiety, nawet żony władców, a nawet przywykłe do wyjątkowego szacunku kobiety kiltgosh.

– Może gdybym mu podarował niewolnicę? – Theodorik uniósł brwi i uśmiechnął się bezradnie. Nawet teraz wyglądał zaledwie na łaszącego się tygrysa. – Może by się nią zajął, a o nas pomyślał życzliwiej, co?

– Aurelii mu nie oddam, chyba że mi rozkażesz – zachnęła się Irmena. (Aurelia nie drgnęła, choć słyszała rozmowę.) – A poza tym myślę, że żaden prezent nie miałby znaczenia. To dworzani ze stolicy stolic, dobry gracz.

– Chyba żeby mu podesłać taką, która go zabije – powiedział, ale zaraz zrezygnował z pomysłu. – Co jest głupie, bo kosztowałyby nas zbyt drogo...

Irmena usiadła, objęła ramionami nogi i oparła podbródek na kolanach.

– Lepiej zastanówmy się, co planuje Columbans.

– Ty jesteś kiltgosh czy nie? – zachichotał, smakując spojrzeniem jej nową pozę. Oboje lubili tę szczególną pantomimę. – Przecież masz orzechowe oczy – wyjaśnił przyczynę swojej wątpliwości.

Uśmiechnęła się bardzo bezbrinnie, z dziecinną, więc bezradną przebiegłością.

– Theodoriku, nazwy to jedno, a to, co opisują, to drugie.

Skinął wesoło głową.

– Racja. Columbans to młody dupek. Wysłał tu swój pocisk. – Na myśl o Adalgirku spoważniał. – A jak ty sądzisz, ten pocisk może być groźniejszy niż sam Columbans. Więc po co to robią... Nawet jeśli ten młody wilk zbierze dość dowodów, zresztą nie wiem na co, to ja i tak tanio nie oddam skóry... – mruknął. – To o co mu chodzi?

– Myślę, że robi błąd – rzekła Irmena i znowu ułożyła się wygodniej. – Nie rozumie, że ma przeciw sobie nas dwoje.

– W ostatecznej ostateczności zabijemy natręta – powiedział Theodorik i rozpiął dużą płaską broszę spinającą na ramieniu jej szatę. Przez otwór okienny wpadał promień zachodzącego słońca, który nadawał jej włosom koloru miodu połysk miedzi. Tkanina sama osunęła się nisko. Leciutko pocałował Irmenę w ciemniejsze kółeczko, które wcześniej niewyraźnie rysowało się spod szaty, drugi pocałunek był mocniejszy.

VII

Do Malgum wyruszyli już następnego dnia. Właściwie Theodorik wrócił do swej stolicy jedynie, by przyjąć prokurtensa. Zamierzał jak najszybciej zakończyć objazd wysuniętych placówek nadgranicznych. Dołączając do niego, Adalgirk mógł błyskawicznie zwizytować granice tetrarchii, choć może nie całkiem tak, jak zamierzał to przeprowadzić. Ostatecznie, gdyby było trzeba, mógł powtórzyć inspekcję w nieobecności władcy.

Dotarcie do Malgum zajęło półtora dnia drogi, z czego ostatnie godziny stromo pod górę. Wreszcie mały oddział zatrzymał się w odosobnionej fortecy. Brakowało zwykłego osiedla towarzyszącego placówce wojskowej. Jałową ziemię zalegały kawałki luźnej skały. Nie rosło nic, prócz niewielkich splachetków marnej trawy wyskubanej przez kozy hodowane w intendenturze. Nawet woda w potoku była mętna, biaława, ilasta.

Tu zatrzymali się na nocleg. Zwykle Adalgirk włóczył się po świeżo poznanej okolicy, by zaobserwować jak najwięcej. Był przekonany, że osobisty ogląd odkrywa wiele szczegółów, czasem decydujących dla zrozumienia prowadzonej sprawy. Tym razem też było warto: Za kamienistym wzgórkim, na który nawet trawa nie sięgała, a tylko żółte porosty, odnalazł ruiny sporego osiedla. Tak na oko sprzed kilkuset lat. Stropy już dawno runęły, ale mury były jeszcze w niezłym stanie; wałało się też nieco belek.

Kopnął jedną z nich. Nie rozpękała się, choć zbutwiała. Wyszła od solidnego słońca. Dziwnego słońca: piekącego mocno, lecz w jego cieniu zaraz chwyciły Adalgirka dreszcze z zimna.

Cóż, znów natknął się na przykry przejaw niegospodarności władców Ultum: jak można dopuścić do opuszczenia ważnego osiedla.

Rozkład, zanik i bezład. Nawet góry, choć strome, co właściwie powinno przydawać im jakiejś wzniosłości, przypominały wysypiska gruzu lub kopce ruin.

Rozlatują się jak Malgum, są odrażające w trupim rozkładzie – pomyślał. Nad jedną z nich wznosił się równy pasek, oślepiający białością w słońcu.

Górskie szkło?

Obserwowane uważniej, ujawniało na przemian jaśniejsze i ciemniejsze pasy. Bardziej przypominało więc tort niż przezroczystą taflę.

Podczas wieczornego posiłku spytał Theodorika o górskie szkło. Wspomnił też o wymarłym osiedlu.

– To wszystko prawda – mruknął władca. – Pełno tego każdej zimy. Drobniejsze sypie się z nieba. Dotkniesz i topnieje. Podobno przed laty górskie szkło rzadko schodziło w doliny.

Adalgirk rozerwał placek chleba i sięgnął po rybę.

– Schodzi w doliny?

– A pewnie. Już mój dziad Stansaves wydawał mieszkańcom Ultum kawałki żagla do utykania okien. Teraz w pałacu wstawiliśmy szyby w pokojach używanych przez nas cały rok. Nawet w oknach pomieszczeń służby wiszą solidne kotary z żagla. – W Ultum w bogatszych domach znajdziesz w oknach szyby, a u zamożnych obywateli nawet przezroczyste.

Przez chwilę w milczeniu skubał palcami suchy i ościsty kawałek ryby.

– Tak bronimy się przed rozpleniającym się coraz bardziej górkim szkłem – dodał Theodorik i odrzucił skórkę, z której nie dało się już oderwać kawałeczków przyschłego mięsa. – Myślę, że dość skutecznie.

Adalgirk spojrzał bystro.

– A gdzie rozwój? By zadowolić obywateli, kraj winien się rozwijać – powtórzył powszechnie znaną prawdę.

– Czasem trudno jest po prostu utrzymać to, co jest – powiedział ponuro Theodorik. – Panowanie w Ultum nauczyło mnie tego. – Trudno utrzymać to, co dotąd było, choć było dobre.

Zapadał zmierzch w dolinie, jedynie okoliczne szczyty rozjarzyły się w świetle zachodzącego

słońca. – Jak wyszczerbione zęby trupiej czaszki. Szczególnie jadowicie pomarańczowiał pasek górskiego szkła widoczny z Malgum.

VIII

Ostre monti pulcinu tłumiło niesmak źle przespanej nocy. Wysokie góry nie lubią śpiących. Adalgirk do późna wałkował się na twardej pryczy z desek, a ból skroni pulsował.

Mozolnie żuł twardą, wojskową rację wędzonej ryby. Zadziwiała obfitość ryb w tutejszym pożywieniu.

Czym za nie płacą? Przecież ta jałowa ziemia niemal wcale nie rodzi.

Razem ze świtem wyruszyli. Pieszko. Adalgirk uniknął nienawistnej jazdy konnej. Władcy towarzyszył oddział pieszych byfferów. Dowodził nimi Smotana, Bohemian.

– To jest Glodis. – Smotana wskazał na najbliższą górę, która wściekle wystrzelała w niebo. Jak lilia zwęzła się ku piargowi, rzeczywiście przypominając gladius, który używano zanim przyjęto długie, proste miecze gockie, a później krzywe, partyjskie. – Dla Malgum wskazuje południe – dodał.

To Ultum stanowi dziwną mieszanicę... – pomyślał Adalgirk, sapiąc na podejściu. – W polane służą Syryjczycy, piechotą byfferi dowodzi Bohemian.

Kręta ścieżka pięła się wśród piargu. Pasma górskiego szkła zmieniły się w rozległe płyty, spowijające zbocza gór. Najdalsza placówka Ultum, Fortens Primus, wznosiła się podobno ponad rygłem zawanciałej doliny.

Dlatego z niego taki przystojniak, skoro jak wiewiórka gania od jednego swojego fortu do drugiego... – pomyślał nieżyczliwie o władcy, by zaraz przystanąć i zetrzeć dłonią pot z czoła, spod hełmu. – Brzuszko klęśnie ssane żarem górskiego słońca...

Adalgirk uważał się za bardzo przystojnego mężczyznę. Dlatego zdążyła go już zirytować obojętność tetrarchini dla jego męskiej urody, nie udana czy wymuszona, lecz nieprzyjemnie naturalna. Dotąd zdobywanie kobiet nie sprawiało Adalgirkowi większych trudności. Zdobyć Trudy Barbarii też nie.

Wreszcie osiągnęli plaśń cyrku. Niżej rwący i wybystrzony, tutaj potok rozlewał się leniwie w błotniste bajora. W górze piętrzył się wysunięty biały jezior obejmujący całą szerokość doliny; spod jeziora z hukiem wywierała woda. Jeszcze wyżej na czarnej skale zewsząd otoczonej błyszczącą bielą, widniały mizerne drewniane budowle Fortens Primus.

– Górskie szkło. – Aristam uśmiechnął się. – Mamy tutaj tego dość i jeszcze trochę. – Jego oddech zamieniał się w mgiełkę, mimo że słońce piekło nieznośnie.

Z góry schodziło ku nim kilku ludzi. Kiedy zrównali się z orszakiem, każdy kantem dłoni uniósł przyłbicę hełmu. Pierwszy z nich miał hełm skrzydlaty.

– Salud, jasny panie – wydukał niezbyt służbowo. – Fortens...

– A jak ty się zwiesz? – swoim zwyczajem Theodorik przerwał formalne grzeczności.

– Wołodym, sotnik służbu – rzucił pyzaty oficer, prężąc się służbowo.

– Tartar – szepnął Theodorik na użytek Adalgirka.

– Tartar, a nie mruży oczu?...

– Z Tartarii Alby, nie z Tartarii Major – odszepnął władca. – Prowadźcie Wołodym do Fortens – rozkazał głośno.

Rozkaz tetrarchy ożywił setnika. Znów poczuł się dowódcą. Uszeregował swój oddział: część pozostawił za przybyłymi, sam z resztą ustawił się przed orszakiem. Teraz on odpowiadał za bezpieczeństwo tetrarchy.

– Psie zęby załóż – rzucił rozkaz.

– Co takiego? – szepnął Adalgirk znowu dotknięty, że musi prosić o radę tych, których przybył kontrolować.

– Psie zęby to naszyjnik, jaki zakładacie niewolnikowi za przewinienie mniejsze – podsunął Aristam. – Teraz owińcie je wokół stóp, zębami na zewnątrz. Najlepiej po dwie kolczatki na jedną stopę, a podpierajcie się mieczem i krisem.

Adalgirk miał w saku kilka kolczatek dla nieposłusznych niewolników. Sam nie zakładał ich nikomu, ale wiele razy rozkazywał je założyć. To nieposłusznemu palaczowi, to fryzjerowi, to wieśniakowi, który nie zwolnił drogi dość wcześnie. Miały znak rodowy pana i otwierały się wyłącznie kluczem prokurtensa Adalgirka, a zaciśnięte sprawiały, że z nabrzmiałej szyi spływały brunatne, błyszczące krople ciemnej krwi.

Teraz zakładał te opaski na swoje własne stopy, tyle że kolcami na zewnątrz.

Górskie szkło było powarstwione, brudne, spływało wodą, szklista gładź z bliska zmieniała się w ziarniste grudy. Cóż, w gruzy waliła się teza geografów, że przyroda wytwarza górskie szkło, by samorzutnie dążyć ku pięknu. Stopnie wykute przez żołnierzy były zbyt rozlazłe, zbyt obłe. Nie szło się po nich łatwo. Władca radził sobie, wspierając się na sztylcie i krótkim, paradnym pałaszu. Wprawny Aristam darł po śliskich schodkach w górę. Każdy z żołnierzy pomagał sobie ciężkim piliu. Niedoświadczony Adalgirk spróbował chwycić się migoczącej, pogruźlonej powierzchni, ale niepewnie wstawiona w stopień stopa ujechała i Adalgirk osunął się na żwir. Dłoń boleśnie zraniona górkim szkłem obficie krwawiła.

– Jest w porządku, panie prokurtensie? – zapytał władca wkłuty stalowymi ostrzami w szklaną ścianę.

– W porządku – odkrzyknął, bo cóż innego miał odrzec Adalgirk. Zacisnął zęby i zabrał się do wspinaczki. Zbyt długi miecz nie dawał wygodnego wsparcia na stromiznie. Wkrótce jednak zrozumiał, jak należy obciążać stopy, jak ustawiać ciało, jak wykorzystywać miecz, i było łatwiej. Krew z rozciętej dłoni Adalgirka różowiła tylko pierwsze przebyte stopnie.

Po kilkunastu metrach karkołomnej drapaniny, szklana ścianka położyła się. Adalgirk stał na szklistej, łagodnie nachylonej powierzchni. Pożłobiona, pełna głębokich szczelin, nadal nie miała nic z doskonałości gładzi. Oślepiła za to bielą, ciągnąc się hen aż pod czerniejące, potargane granie.

Żołnierze zbili się w grupkę; owijali twarze chustami.

– Gyspodan Adałgiruk – zagadał Wołodym. Zaciągał śpiewnie, z tartaryjska. – Możecie owinać oczy muślinową chustą albo założyć tartaryjski głas, inaczej w godzinę oślepniecie.

Adalgirk zamierzał z dumą odpalić, że oczy prawdziwego laddino nie boją się jasności, ale wtrącił się sam Theodorik:

– Ja używam tych ich głasów, więcej przez to widać niż przez chustkę – doradził, zakładając na nos skórzane oprawki mające zamiast szkieł siateczkę uplecioną z końskiego włosia. – Optycy aletxandryjscy mogliby nauczyć się lepiej czernić szkło na użytek północnych keysirii. – Uśmiechnął się.

Nie wypadało wynosić się ponad władcę.

– Dobrze, założę głasi.

– Smetona, wydajcie jedne tartaryjskie głasi panu Adalgirkowi – rzucił Aristam.

Głasi służyły dobrze. Oczy przestały łzawić. Można było rozglądać się wokół. Większość żołnierzy nosiła głasi, ale niemal wszyscy dodatkowo zawinęli szczelnie twarze. Dopiero na to zakładali hełmy.

Dalsza droga była łatwiejsza, chociaż trzeba było kluczyć wśród coraz głębszych szczelin i rozpadlin. Wokół płynęły strumyki wody, niknąc w mrocznych ponorach; gdzieś w głębi huczały i turkotały niewidoczne ciekły. Jak Adalgirk wyczytał w jednym z traktatów poświęconych filozofii

natury, górskie szkło wiodło wieczną walkę z wodą; teraz był naocznym świadkiem tej walki. Stwierdził też, że toczy się nieustanna walka ciepła z zimnem: stopy obute w skórzane trzewiki marzły – ale tylko stopy, gdyż mimo lekkiego stroju upał odbity od świetlistej bieli był szczególny, przytłaczający, wysuszający na mumię. Żołnierze pociągali wodę z manierek. Aristam zgarnął dłonią nieco wody z płynącego cieku.

– Nie pijcie tego, panie sotniku – ostrzegł Wołodym. – Mówią na forcie, że to powolna trucizna.

– Żołnierzowi prędką śmierć, powolna trucizna nie straszna – zawyrokował dufny Aristam i wychleptał dwa łyki zebrane garścią.

Po godzinie marszu w upalnym słońcu i oślepiającej bieli już wszyscy byli udręczeni pragnieniem; bardziej żołnierze w zbrojach, nieco mniej tetrarcha i prokurtens idący w lżejszych szatach. Żołnierze co chwilę pili wodę płynącą migotliwymi strugami. Adalgirk też, chociaż widział drobne, czarne ziarenka brudu czy iłu niesione przez zimne potoczki.

Przed nimi piętrzyła się krucha, stroma grzęda z nieznośnie osuwającego się piargu. Nawet wejść na ten piarg nie było łatwo ze śliskiej, tu nastromionej powierzchni. Jeden z byfferów rozbił sobie twarz o kamień wystający z wyjątkowo gładkiej tafli górskiego szkła.

Grzędą w zakosy wiodła ścieżyna mozolnie wydeptana przez niewolników donoszących zaopatrzenie do Fortens Primus; mizerna, rozpadała się wraz z osuwającym się piechurem. Bardziej pomagał długi drąg piliu i żołnierze sforowali się do przodu.

Wreszcie znów świetlista powierzchnia zacisnęła się na szpetnych, czarnych, osypujących się kamieniach. Został tylko wąziutki, ciasny korytarzyk wykuty toporami. Dojście do Fortens Primus.

Nieźle – pomyślał z uznaniem Adalgirk. – Tu jeden stawia czoło centurii.

Dalej było jeszcze ciaśniej, droga wiodła mroźnym korytarzem, nad którym zamykał się półprzezroczysty strop. Było tak chłodno, że zęby chciały szczekać.

Fortens Primus został trafnie ulokowany: na kruchej, skalnej grzędzie, która niknęła pod rozległą szklistą płasnią – wróg idący od gór, od przełęczy, po tafli górskiego szkła, był dobrze widoczny, a klucząc wśród szczelin, nie zdołałby przeprowadzić składowego ataku; od dołu zaś wąska grzęda, a potem drażony tunel znakomicie zabezpieczały tyły. Natomiast oczywistą wadą tego położenia była konieczność dostarczania z dołu wszystkiego oprócz wody, którą gotowano i solono przed spożyciem.

Tetrarcha snuł się po blankach.

– To jest dobre miejsce – powiedział do Adalgirka. – Stąd można utrzymać całą dolinę.

– A co jest za tą przełęczą? – zapytał prokurtens.

– Za tą dokładnie, nie wiadomo. Może Rom, może Retxia Romania, może Byfferium. – Władca wzruszył ramionami. Bez wahania przyznał się do niewiedzy. Adalgirka aż coś w środku ugryzło.

Jeśli się nie wie, należy sprawić wrażenie, że się wie.

– Mam wiele takich fortów. Każdy nazywa się Fortens Primus. Dlatego dla odróżnienia dodaje się nazwę doliny.

– A tu?...

– Madarasch. Albo podobnie. Zapytaj o dokładną wymowę Smotaną. – Theodorik machnął dłońmi, co oznaczało, że to nie musi go interesować.

Pomieszczenia fortu były w środku nieoczekiwanie ciemne i spodziewanie ciasne. Wydawało się, że górskie szkło chce zepchnąć w dolinę albo zmiażdżyć wątlą placówkę ludzi. Widząc jego potęgę i zaplecze, skąd nadciągały posiłki do milczącej walki, Adalgirk nie miał wątpliwości, że zwycięstwo należy do połyskliwej, zimnej masy.

Wspomniał o tym, kiedy wieczorem z władcą, Aristamem i Smotaną stali na blanku południowej baszty i przy winie obserwowali, jak zachodzące słońce zmienia kolory grani i dolin.

– Tak jest, panie prokurtensie, dokładnie, jak mówicie – wyjaśniał Smotana, odsłaniając królicze, przednie zęby, z których lewy był szarawy, nadpsuty. – Co rok jest trudniej, a każda zima pochłania straty. Ściągam niewolników do kucia chodnika, a potem nie ma czym ich żywić. Tacy Syryjczycy albo Nubiowie mrą tu jak muchy. Najlepiej, gdy się trafi Hyperborej albo Tartar. Ci potrafią przetrwać mrozy.

Adalgirk czuł, że setnik próbuje zapewnić sobie lepsze zaopatrzenie i uzasadnić ponoszone straty, chociaż te mogą brać się też z jego nieudolności.

– Wiele zależy od fachowości – zauważył spokojnie. Niezależnie od funkcji prokurtensa, dobro lamporiu pozostawało jego dobrem i czuł się zobowiązany, by przy każdej okazji dbać o sprawne zarządzanie. – Wielu strat można uniknąć.

– Patrzcie, panie, na ten pas na skale, o tam, daleko za płasnią górskiego szkła! – zdenerwował się Smotana. – Dokładnie dotąd sięgało to cholerstwo, kiedy nasz jasny pan objął swoje rządy po ojcu, Theodoriku Albie! Dokładnie tam! – wykrzykiwał. Do głębi urażono jego profesjonalizm.

Czarna linia ograniczała zasięg nieoczekiwanie wysoko, równo z fortem.

– Tu?... – prychnął Adalgirk.

– A tu, panie prokurtensie! Ledwie tu! Jasny pan Theodorik Alba kazał wznieść nowy Fortens Primus na skale, która jak gladius wznosiła się nad doliną! – wykrzykiwał Smotana.

Młody, ale rozważny prokurtens dojrzał w tej furii pewność zwycięstwa, więc nie odpowiedział.

– Tak jest dokładnie. Choć wydaje się to niewiarygodne – rzekł Theodorik, próbując uśmierzyć niepotrzebny spór. – Tę linię sam kazałem narysować, co mówię, przez dolinę usypać z kamieni, a na

skalach narysować, kiedy objąłem Ultum. Podobnie jak ty, nie chciałem uwierzyć oficerowi. Kto to był?... Pewnie pamiętacie, Smotana.

– Stary Jan Sarmatian, jasny panie. Ja wtedy byłem ledwie prostym byfferem. Dopiero od dziesięciu lat zszedłem z fortu i dowodzę centurią.

– Właśnie. Szesnaście lat temu miałem wątpliwości. Dziś wierzę. Co rok wizytuję moje pierwsze forty. Ten w Madarasch...

– Madaretsch – poprawił Wołodym.

– Madaretsch. I wszystkie inne. Wszędzie jest tak samo. Coraz trudniej. Górskie szkło schodzi w doliny. Jest piękne. Prawda, panie Adalgirku?, choć rani.

– Jest piękne, choć kruche i rani – potwierdził Adalgirk. Niestety, prostacki tetrarcha gustował w szpetocie, więc trzeba będzie ją chwalić przez jakiś czas. – Warto było przyjść tu aż z Aletxandrion i je obejrzeć. – Tym razem myślał tak naprawdę.

– Kiedyś wyżej stał stary Fortens Primus – kontynuował władca. – O tam, wysoko, na przegięciu, gdzie tak wiele szczelin. – Wskazał w górę doliny. – Poprawcie mnie, Wołodym, jeśli się mylę.

– Mówią, że dokładnie w tym miejscu. Jeszcze dzisiaj można znaleźć tam bele drewna i łupiny naczyń.

– Ultum schodzi do doliny spychane przez tę zimną masę. Górskie szkło pokonuje królestwa. Nawet Ultum.

Też Ultum – poprawił w myślach Adalgirk.

Wieczorem Adalgirk dostał osobną komnatę. Należało to docenić, jako że była to jedna z zaledwie kilku w Fortens Primus. W zasadzie mógłby zacząć pisać swój raport dla agosta, a właściwie dla Columbansa, keysira Rom, bo przecież tylko do niego trafi. Spalona słońcem twarz piekła, nawet splukana wodą.

X

Po zmroku o drewniane stropy Fortens Primus załomotały krople deszczu. Wielka, ciemnoszara chmura nadeszła od zachodu. Adalgirk obserwował ją przez okno, gdy się zbliżała rozświetlana błyskawicami. Grzmotów nie było słychać. Wiedział już, że wyładowania idą do sąsiednich dolin.

Gdy uderzenia deszczu stały się gwałtowne, wściekle miotane wiatrem, zasunął kotarę okna i zabezpieczył na kołkach.

Łomot nasilił się, pochodnia ledwie błyskała, a kotara okienna wkrótce przypominała zmokły, ociekający flak. Ostatecznie, sam poprosił o komnatę w wieży fortu. Na posłaniu wyściełanym skórami niedźwiedzi trząśł się z zimna do rana. Nawet nie przypuścił, żeby mieli tu jakieś usługujące niewolnice.

Rano dowiedział się, że inni oprócz chłodu cierpieli od wypitego szkła górskiego; całą noc ganił do fortowej latryny. Marna pociecha, że innym było jeszcze gorzej.

Dziś czekało uciążliwe przejście skrajem tafli górskiego szkła do bocznej doliny. Niezbędne były wszystkie techniczne szykany: psie zęby, umiejętne wspieranie się na broni. Już nie sprawiało mu to większej trudności – zdążył podejrzeć tajniki techniki chodzenia po śliskiej tafli. Młody i wysportowany, bez zbroi, niecierpliwił się powolnym tempem marszu.

W bocznej dolinie, na stoku góry jeszcze szpetniejszej niż inne: nieforemnej przyzmy usypanej ze złomów czerwonej skały, znajdowała się kopalnia Ultum. Niemal nieprzerwana linia objuczonych niewolników wspinała się po tafli górskiego szkła, a dalej po piarzystym zboczach do wybranych jam ziejących czarnymi otworami; tam ładowali do koszy złomy rudy i szli w nie kończącym się cyklu zbroczem w dół, znów jasnoszarą taflą i jeszcze gdzieś dalej niewidocznym w cieniu dnem doliny. Regularnie, wzdłuż linii tragarzy stali rozstawieni uzbrojeni żołnierze, pilnujący, by praca nie została przerwana. Przygarbieni, muskularni niewolnicy pochodzili z Tartarii Alby, inni stanowili zwykłą zbieraninę z różnych prowincji Iamporiu.

Adalgirk zauważył, że niewolnicy chodzą na ogół w sandałach, chociaż też na ogół mają rany na poczerwiałych stopach. Bosych niewolników nie spotykało się. Rozrzutna troska – pomyślał niechętnie. Spytał setnika.

– Nazywają ich Czarne Stopy – rzucił Smotana, krzywiąc twarz wysmaganą słońcem. – Nogi czernieją i gniją od górskiego szkła. – Najdłużej wytrzymują ci z północnych keysirii, Tartarowie są najlepsi.

Gdy zrównali się z wykopanymi jamami, na ich spotkanie podszedł chudy, żyłasty człowiek, w uśmiechu ukazujący pozbawioną niemal wszystkich zębów prawą stronę górnej szczęki. Musiał kiedyś bardzo mocno oberwać piliu – ocenił fachowo Adalgirk. Był to zarządzający kopalnią, Ardułf.

Pozdrowił władcę należnym gestem dłoni, choć przyłbicę służbowego hełmu miał już uniesioną. Wymienili banalne powitalne grzeczności.

– Chcesz, panie prokurtensie, przejrzeć rachubę naszej kopalni? – odezwał się poufale Theodorik, lecz jednocześnie stanął blisko Ardułfa. Gest oznaczał, że ufa swojemu zarządcy i gotów jest odpowiadać za możliwe niedociągnięcia.

Adalgirk nie mógł nie zareagować.

– Ależ... – udał zmieszanie. – Przecież agostiańska inspekcja to nie wyszukiwanie drobnych nieścistości w księgach. To ma być raczej... odnowienie więzi z keysiriu. – Drugie zdanie było równie prawdziwe jak pierwsze.

– Tu łączy się niebo z ziemią. Gromy dla Jowisza kują hefajstowi ludzie – zainwokował pan Ardulf, wywołując ogólne zakłopotanie.

Dureń... – pomyśleli zgodnie Adalgirk i Theodorik.

Chyba powinienem dać go na pożarcie temu aletxandriońskiemu psu. Może by się nim udławił – dodał w myśli Theodorik.

– Żelazo. To nasze największe bogactwo – powiedział do Adalgirka. – Dzięki temu Ultum może jeszcze egzystować, choć jest coraz trudniej. Nadal stać nas na vapore-mobile, chociaż basilicus już zdążył ich zakazać, bo są jakoby nieopłacalne. Dla Ultum przynoszą znacznie więcej pożytku, niż kosztują, dlatego myślę, że w duchu edyktu Qalby jest nadal ich tu używać.

Adalgirk zmilczał tę uwagę.

– Za żelazo kupujemy wystarczającą ilość żywności, by zapewnić przetrwanie wszystkich mieszkańców i ich niewolników oraz dostatek obywateli wyższych rang.

Potem wspięli się na szczyt, który prędej czy później zostanie rozebrany mrówczą pracą dziesiątków niewolników. Wokół, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się pasma szczytów, większość z nich zalegało świetliste, górskie szkło.

– Jest tego coraz więcej – mruknął Smotana. – Co roku więcej i dalej sięga.

Na jednej z gór Adalgirk wypatrzył lustrzany, jarzący się punkt.

– To sozogion – wyjaśnił Wołodym. – Jasny pan zlecił tam prowadzenie obserwacji jednemu starymu Żydowi.

– Lubię dyskutować z Żydami. – Adalgirk leciutko uśmiechnął się. – Jeszcze żaden z nich nie zdołał zrównać się ze mną w dyskusji. W ich argumentacji zawsze powtarzają się te same słabe punkty.

– Może dyskusja z tym dostarczy ci przyjemności walki z godnym przeciwnikiem – zauważył Theodorik z ledwie zauważalną ironią.

Schodzić z boczem było znacznie łatwiej, niż się wspinać: osuwanie się ruchomych, płaskich złomów nawet pomagało.

Już poniżej wylotów szybów kopalnianych jeden z niewolników zbliżył się z nadto do grupy idących. Adalgirk widział, że był wychudzony, stary i zgarbiony, poczerniałe stopy pokrywały rozległe wrzody; na czole nosił najmarniejszą, szarą opaskę. Zwykle, zagonione bydlę pociągowe.

Przypadkiem właśnie przy nim zatrzymała się grupa schodzących.

Właściwie można by sprawdzić, jak ostrze tego nowego miecza pije krew – pomyślał Adalgirk. Bez zastanowienia dobył krzywego miecza otrzymanego w prezencie od władcy i ciął niewolnika na wprost przez czoło. Ostrze zagłębiło się znakomicie aż po nasadę nosa.

Ten nonszalancki sposób traktowania jak śmieci wyeksploatowanych szarych niewolników trwał w Aletxandrion od dobrych kilkunastu lat. Modę przywleczono, hen, zza wschodnich granic wschodnich tetrarchii Agostiu Indicu. Była to ryzykowna zabawa, gdyż nawet wśród najpośledniejszych szarych niewolników znajdowali się tacy, którzy dysponowali wolnością wykupioną w znacznym procencie. Zabójstwo niewolnika dokonane przez kogoś wolnego niskiej rangi mogło więc pociągnąć za sobą kłopotliwy i kosztowny proces, a nawet groźbę odpowiedzialności karnej stosownej do części wolności posiadanej przez zabitego. Jednakże agostiański prokurtens mógł wypróbować miecz na każdym niewolniku, a już z pewnością na takim jak ten.

Gdy Adalgirk, wycierając ostrze w skraj płaszcza, odwrócił się w oczekiwaniu na uznanie za piękny cios i zamierzał zaraz zaproponować sute wyrównanie za zabitego, zobaczył przed sobą żółte z wściekłości, wyłazące z orbit ślepiec Theodorika. Płonęła w nich dzikość bestii.

– Coś zrobił!? – ryknął tetrarcha. – Dlaczego?! To mój niewolnik. Skąd będę brał ludzi, skoro tak głupio mi ich zabijasz?! Ten mógł jeszcze pracować przez cały sezon! – krzyczał pobladły Theodorik Beda. Nie było to zachowanie odpowiednie dla władcy. Tylko prostak mógł być takim skąpcem i tak pazernie trząść się nad swym mieniem.

Adalgirk cofnął się odruchowo; nie odezwał się ani słowem. Jakby niewidzialna ręka przytrzymała mu szczękę.

Gniew władcy był tak niewspółmierny do straty, że proponowanie rekompensaty, oczywiście niewysokiej, nie miało sensu.

Władca wreszcie się uspokoił; gniewnie milcząc, zawrócił na pięcie. Wołodym kazał zdjąć z zabitego szatę i sandały, a ciało przysypać stertą kamieni, by nie stało się źródłem zarazy.

Gdy powrócili do Fortens Primus, Adalgirk w samotności swej komnaty zabrał się do raportu dla Columbansa. Lapidarne słowa ułożyły się same:

„Ultum prowadzi prace wydobywcze. Huta i kuźnia mieszczą się zbyt wysoko w dolinie. Dlatego transport drewna opałowego jest niepotrzebnie kosztowny. Tak właśnie powstaje marnotrawstwo Ultum, a przykładów jego podam więcej...”

Opinię o hucie wziął z wyobraźni, gdyż dno doliny spowijał cień i nie udało mu się dostrzec ani huty, ani kuźni, chociaż Smotana i Wołodym wskazywali mu ją kilkakrotnie.

Potem zgasił kaganek. Za ciężką, mokrą od deszczu okienną kotarą szalała kolejna burza. Nawet pogoda w Ultum nie umiała zjednywać przychylności agostiańskich prokurtensów.

Od rana Adalgirk unikał tetrarchy. Sytuacja była bardzo niezręczna. Wybuch wściekłości wykluczył Theodorika Bedę z grona ludzi godnych szacunku, co do tego Adalgirk nie miał wątpliwości. Natomiast nie był do końca pewien, czy on sam właściwie zareagował na znieważający wybuch prowincjonalnego władcy. Czy to, że zmilczał, wypadło rzeczywiście tak godnie, jak miało wypaść? Może trzeba było zrównać się na miecze? Przecież nie został później przeproszony. Może więc lepiej będzie, jeśli echo tej sprawy ucichnie w dolinie, a już w żadnym wypadku nie powinno dotrzeć do Aletxandrion.

Również dla władcy ta sytuacja była niewygodna, więc gdy Adalgirk wyraził wolę zwizytowania sozogionu, Theodorik natychmiast się zgodził. Wymienili kilka słów. Obaj czuli, że nie są to te słowa, które powinny zostać powiedziane.

Adalgirkowi towarzyszył Aristam, pięciu byfferów i paru niewolników niosących bagaż. Przez cały dzień zdołali ledwie zejść do ujścia doliny. Trzeba było zatrzymać się na biwak w lesie. Wątle ognisko podsycane gałązkami jedliny bardziej kopciło, niż dawało ciepło. Adalgirk, pólżąc na barłogu z gałęzi przyrzuconych kapą, usiłował pić wino, w którym było więcej octu niż alkoholu.

Spytał Aristama wprost o przyczynę gniewu Theodorika, ale bardziej interesowało go, jak oficer odebrał jego własne zachowanie.

– Jasny pan dba o niewolników. Nie pozwala próbować na nich broni. Przywykliśmy do tego – odpowiedział byffer. – Co pięć lat przeprowadza spis tak wolnych, jak niewolników. Każdy zgon musi zostać rozliczony i wyjaśniony. Niewolnicy kosztują, a dochody tetrarchii nie wzrastają. Nawet ubywa ludzi w Ultum, wolni uciekają, bo coraz gorsze plony. Trudno wytrzymać.

– Ten nie był wiele wart – zauważył Adalgirk.

– Ten nie, ale za nowego trzeba zapłacić więcej. Zresztą w Ultum są drożsi niż w Rom. Dodatkowy transport kosztuje.

Pozostała kwestia właściwej odpowiedzi na grubiaństwo.

– Podziwiam twoje opanowanie, panie – podsumował rzecz Aristam, układając się do snu. – Z walki nie wynikłoby nic dobrego, w żadnym przypadku. Jako prokurtens, wiedziałeś, co należy zrobić. – Nie brzmiało to jak ironia.

Adalgirk nie wiedział co dalej. Zareagował instynktownie. Aristam przekonał go, że właściwie. Wyraźnie Virbis czuwał nad swym podopiecznym. Płomienie ogniska wiły się i pełgały na wszystkie strony. Adalgirk próbował odczytać z nich przesłanie czy wskazówkę od swojego boga, ale ani płomienie, ani dym nie chciały ułożyć się w zrozumiałe sentencje, nawet w słowa.

Przez całą noc czuwali wartownicy, niewolnik zaś dorzucał dREW do ognia. Ziąb był mniej

dojmujący, a żaden niedźwiedź nie usiłował zaatakować.

XII

Żyd zmarł parę miesięcy temu, sozogion zaś obsługiwał jego uczeń, a obecnie następca, Recho, Hyperborej.

Przekonali się o tym po żmudnym, niemal całodniowym marszu najpierw zasypaną ruchomym piargiem doliną, a potem piarzystym, męcząco osypującym się zboczem. Przynajmniej do tej doliny górskie szkło nie zdołało jeszcze wtargnąć.

Sozogion wznosił się samotnie na grani, umocowany czterema grubymi linami, mocno już sparciałymi. Adalgirk ocenił, że niedługo przestaną wykonywać swoje zadanie, a drewniane, obite blachą pudło runie w przepaść pod naporem wiatru.

Recho gnieździł się w maleńkiej celi mieszkalnej sozogionu. W jednej klitce jadł i spał, w drugiej pracował. Nie opuszczał posterunku, zaopatrzenie zaś donosili mu niewolnicy tetrarchy konwojowani przez żołnierzy.

Wodził trochę nieprzytomnym wzrokiem po przybyłych, zdziwiony ich liczbą i zainteresowaniem, jakie nagle wzbudziła jego osoba. Od niedawna prowadził sozogion, a wcześniej ledwie praktykował u starego bar Gadiego. Jeszcze nie zdążył zgromadzić ciekawszych wyników i obawiał się, że zostało to zauważone w Ultum. A praca w sozogionie była pewnym kawałkiem chleba na długie lata.

Zarośnięte rudą szczeciną policzki Rechona, zmierzwione włosy i niechlujny ubiór dopełniały marnego wrażenia.

Prokurtens Adalgirk w myślach kreślił kolejne niemiłe zdania raportu. Chociaż, oczywiście, trudno było przypuszczać, że sozogion będzie zadbany na poziomie sozogionów aletxandrińskich, tym bardziej gdy cała tetrarchia sypie się w gruzy.

– Może byśmy tak skorzystali z gościny twojego małego państwa, panie Recho? – Aristam zdjął hełm i chustką przetarł spocone ciemię. Mimo młodego wieku łysiał mocno, a kiedy spocone włosy przylepiły się do czaszki, widać to było wyraźniej. Adalgirk bardzo dbał o wygląd zewnętrzny, a o włosy w szczególności. Należyty wygląd był jednym z motorów *Cursus Honorum*, niewczesna zaś łysina czy sflaczałe mięśnie mogły utrudnić pięcie się po szczeblach kariery. Chociaż od pewnego wieku i stanowiska należy stateczniej wyglądać i wtedy trzeba będzie wyłysieć.

Aristam pomylił się lub zrobił to celowo: Rechonowi w żadnym przypadku nie przysługiwał

tytuł pana, jako że nadal pozostawał pomocnikiem, choć pracował samodzielnie. Formalnie nieprędko jeszcze uzyska tytuł mistrza. Jednocześnie Aristam uszanował tradycyjną integralność sozogionu, co z ust prefettusa dowodzącego oddziałem uzbrojonych po zęby żołnierzy zabrzmiało jeszcze sympatyczniej.

– Ach, tak, tak... – zakręcił się Recho. – Ależ już... – bąkał. – Jestem ujęty wizytą.

Zaraz z obszernego schowka wykutego w skale, czy raczej wykorzystującego naturalną kawernę, wydobył wino, suchary, wędzony boczek, oliwki, ocet i suszoną rybę. Biesiada pod gołym niebem zapowiadała się nieoczekiwanie okazale.

– Praca ciężka, warunki surowe, ale przynajmniej kuchnia to wynagradza, panie Recho – powiedział Adalgirk, kładąc na rozmoczonym w winie sucharze mały owoc kaperu wyłowiony z piekającej zalewy. Pozostał przy formie pan, widząc, że Recho reaguje na tytułowanie.

– Lubię swoją pracę – wystękał Recho, mozolnie żując pas boczku. – Lubię powietrze wokół i góry. A że na razie staram się zrozumieć dzieło mistrza bar Gadiego?... Cóż, pracuję wytrwale, to i moje własne dzieła przyjdą...

Adalgirkowi ta estyma dla odrażającego barbarzyństwem otoczenia wydała się głupia i niestosowna. Recho jest głupcem, jeśli ceni rzeczy pozbawione porządku i symetrii. Nigdy nie osiągnie niczego wielkiego. Pozostanie tylko małym trybikiem maszyny państwa, gromadzącym ważne akurat liczby i obserwacje. I to tylko dopóty, dopóki Theodorik nie znajdzie kogoś sławnego, kim można będzie się chwalić, i nie wyrzuci Rechona.

Lecz aby trybik dobrze działał, należy go czasem naoliwić, oliwą ludzkich trybików jest zaś pochwała.

– Sukcesy wymagają pracy i czasu. – Pokiwał głową. – Myślę, że łatwo dogonisz i przegonisz mistrza bar Gadiego, panie Recho.

– To nie będzie łatwe. Znacie oczywiście jego traktaty, panie prokurtensie?

Adalgirk został ugodzony nieoczekiwanie i raczej niechęć. Czasu na studiowanie sozygistów nie zostawało w Aletxandrión zbytnie wiele, a i ochoty brakło, skoro ważniejsze było choćby doskonalenie się w sztuce mówienia i prowadzenia sporów. Jedynie doskwierało wewnętrzne przekonanie, że biegłość w nudnych traktatach może się kiedyś okazać decydująca dla kolejnego mianowania.

– Filozofia Żydów ma szczególne słabości, a to rzutuje na ich osiągnięcia w innych dziedzinach – rzucił z udaną swobodą. – Rzuca przygnębiający cień. – Udał zasmucenie.

– Tak?... A co jest ich słabością? – Głos Rechona stwardniał nieoczekiwaną pewnością siebie. Ktoś wszedł na jego podwórko.

– Przyjęcie tylko jednego boga, a odrzucenie innych. To jest błąd zasadniczy.

– Raczej błąd polityczny, bo bardzo utrudnia im egzystencję w Iamporiu. Wprawdzie obecnie są tolerowani, ale wielu z nich musiało oddać życie, zanim przekonaliśmy się, że odrzucenie przez nich kultu boskiej cząstki basilicusów, agostów czy keysirów, nie jest jawnym wypowiedzeniem posłuszeństwa władcy.

– Raczej niewielu przeżyło... – zachichotał Adalgirk i przepłukał usta haustem wina – ...nasze przekonywanie się o tym.

Recho uśmiechnął się blado, a Aristam nadstawił ucha.

– Ja wierzę w wielu bogów, w istniejącą hierarchię istot boskich – powiedział Adalgirk po chwili. – Ze wszelkimi współzależnościami i konfliktami. Wierzę, że tak jest, bo ich istnienie nadaje sens naszemu istnieniu. Tym różnię się od wielu... – urwał i powiódł wzrokiem po obecnych.

Mówił szczerze, a tych wielu, o których wspominał, to koledzy czy intelektualiści i filozofowie z Aletxandrion. Modne tam było obecnie negowanie wszystkiego poza chwilową przyjemnością i śmiercią. Nie bez znaczenia był fakt, że poza Aletxandrion, stolicą stolic, sercem Iamporiu Iatternu, ludzie na ogół wierzyli w bogów. Warto było więc zaakcentować jedność z obecnymi. Rzeczywiście, Aristam przytaknął skinieniem głowy.

– Rozsądne będzie, jeśli struktura tamtego, wyższego świata okaże się zbliżona do struktury naszego – wywodził Adalgirk. – A tu szczególną cechą jest hierarchia i zależność, uporządkowanie: ten jest wyższy, ten stoi niżej. Wszystko jasne i określone, jak kolejne struny harfy. Jeśli tak, to nie ma żadnego powodu, by te oba światy nie mogły się wzajem przenikać. Istoty ludzkie mogą więc mieć więcej lub mniej cząstki boskiej. Skoro tak, to należy tej cząstce oddawać cześć, a przynajmniej cząstkę czci oddawaną któremuś z bogów.

– A obecność cząstki boskiej winien stwierdzić odpowiedni organ administracyjny. – Raczej stwierdził, niż podbarwił wątpliwością Recho. Klasa argumentacji i jasność myśli Adalgirka zaskoczyły go. W młodym urzędniku nasłanym przez agosta spodziewał się wyłącznie bufona i zarozumialca.

– Tak, obecność istoty boskiej winno się sprawdzić ponad wszelką wątpliwość, więc lepiej, by zrobił to ktoś kompetentny i kwalifikowany niż osoba przypadkowa. Najgorszym rozwiązaniem byłoby określanie boskości przez wszystkich, przez motłoch. – Adalgirk spojrzał na tragarzy, którzy posilali się w stosownym oddaleniu, za załomem skały.

– Co, w takim razie, jest słabego w filozofii Żydów? – zapytał Recho szczerze ciekaw zdania prokurtensa. – Obecność tylko jednego boga zawęży wprawdzie wyższy świat do jednej osoby i pozbawia naszych władców pierwiastka boskości, ale poza tym wszystko pozostaje bez zmian... Żydzi zresztą wierzą w istnienie istot pomocniczych w tym drugim, wyższym świecie, aniołów, diabłów, ale hierarchia jest jasno określona: nawet one pozbawione są pierwiastka boskości i nie oddaje się im czci. Hierarchia istot jest nawet czystsza i jaśniejsza, bez naszych przenikań i niejasności – zapalał się Recho. – Co fałszywego widzisz, panie Adalgirku, w takim obrazie świata? – zapytał z tryumfem podkreślającym spójność wywodu.

Z rozmów z mistrzem bar Gadim znał filozofię Żydów, choć wiarę dzielił z Adalgirkiem, szczególnie mocno czcząc swoich hyperborejskich bogów.

– Są cztery główne powody, dla których koncept jednego boga jest niewątpliwie sprzeczny – powiedział Adalgirk, dolewając sobie wina. Po całodziennym marszu nawet mocno zaoctowane dawało się pić. – Właściwie trzy główne i jeden pomniejszy.

– Aż tyle?

– Musisz wyjść z założenia jednego boga Żydów: jako jedyny, jest nieskończony; nieskończenie dobry na ten przykład.

– Dlaczego nie zły?

– Dlatego, panie Recho, że smakuje ci ten boczek, że lubisz swoją pracę. – Adalgirk uśmiechnął się. – Za wiele dobrego jest w naszym świecie. Zło jest wtórne, spotyka nas rzadziej. Przecież najpierw ktoś musi wykonać piękną rzeźbę, aby ktoś inny mógł ją zniszczyć, utracając nos lub rękę. W tym sensie.

– Raczej widać subtelną równowagę dobra i zła – poddał Recho.

– Niezupełnie. Zło jest właśnie dlatego tak dotkliwe, bo nie jesteśmy do niego przyzwyczajeni. Nie jest zwykłą regułą.

Aristam gapił się w dal, obserwując zachód słońca za potężnym masywem, oblepionym niemal do spodu żarłoczną bielą. Sączył kubek za kubkiem. Nie obchodziły go przemądrrałe dywagacje. Bezskutecznie usiłował rozszyfrować, czy prokurtens jest głupcem. – Zręczność w uczonej syllogizmach nie wyklucza przecież głupoty, gdyż może ją skrywać. Wino uniemożliwiało sensowną konkluzję.

Żołnierze pili bez umiaru, by wypić jak najwięcej darmowego wina.

– Właśnie. Ale jeśli bóg jest jeden, więc dobry, to on określa skalę dobroci, staje się jej końcem, nieskończonością. Przynajmniej tak sądzą Żydzi. – Niespożyty Adalgirk wywodził płynnie, argumentował jasno. Recho nie domyślał się, że był to znaczący fragment adalgirkowego traktatu dyplomowego, dlatego tak zwarty i logiczny...

– Zgoda, ale gdzie te ważne powody? – zaniepokoił się.

– Pierwszy poważny: to dlaczego pozwala nam tak cierpieć? Dlaczego dopuszcza to wszystko, co się działo i dzieje w świecie, dlaczego tak dręczy swoje dzieło, jeśli sam jest dobrem?... To oczywista sprzeczność.

Adalgirk przegryzł jedną i drugą oliwkę: pestki otaczał nadgniły miąższ. Wypluł je. Cenił stoły, gdzie podawano oliwki, a nie to, co dzieliło z nimi tylko nazwę. Choć trudno było winić Rechona, że w jego skalnej norze oliwki zdążyły nadgnieć.

– A drugi powód? – W dyskusjach z mistrzem bar Gadim Recho nie znalazł dobrych argumentów przeciw, więc teraz starał się jak najwięcej wyciągnąć z tego młodego mądrali.

– Drugi poważny. – Adalgirk splukiwał winem smak marnych oliwek. – Jeśli jest nieskończenie dobry, to dlaczego pozbawia nas wolności?

– On? Przecież to świat jest tak ułożony, z niewolnikami podzielonymi na rangi, stojącymi nad nimi wolnymi, też podzielonymi na rangi i wreszcie stojącymi nad wszystkimi władcami też ułożonymi w stosowną hierarchię.

– Nie świat, panie Recho – prychnął Adalgirk. W naturalny sposób nabierał szacunku do sozycisty, gdyż ten umiał docenić jakość jego wywodu. – Pamiętaj, że to dyskusja z Żydem. Nie znam narodu, któremu jego bogowie, tu akurat jeden z nich, nie nakazali i jednocześnie nie zabronili tak wiele. On ujął ich w ciasne tryby.

– Żyją według tego prawa.

– Właśnie. Ale dlaczego takie surowe, skoro ich bóg taki dobry?...

Chwilę milczeli. Recho czuł się przytłoczony. Dotąd był świadkiem dysput, w których mistrz bar Gadi potrafił wybrnąć z trudnych sytuacji. Teraz jednak argumenty gdzieś uciekły, a umysł Rechona przypominał pustą skorupę, w której mogły rezonować tylko myśli rozmówcy.

– Dwa ciężkie, celne ciosy. – Tylko na tyle zdobył się dla podtrzymania dyskusji, a właściwie monologu Adalgirka, gdyż był zbyt ciekawy reszty.

– Zgoda – przytaknął Adalgirk temu uznaniu dla siebie samego. Od początku wiedział, że wygra. Szkoda, że Recho nie był Żydem, zwycięstwo byłoby pełniejsze.

– Teraz trzeci powód, panie Recho, najważniejszy. – Dla wywołania napięcia starannie żuł kawałek boczku. – Jeśli jest jeden bóg, to stanowi on koniec skali, czyli nieskończoność, nie tylko nieskończoność dobroci, ale też i mądrości, i piękna. Rozumiesz?... Wie wszystko, jest pozaczasowy.

Nie trzeba było wywoływać napięcia, Recho nie nadażał, zdobył się tylko, by bezradnie przytaknąć.

– No, a jeśli tak jest, to po co stwarzał ten cały niedoskonały świat? Przecież te wszystkie nasze radości, cierpienia, symetria czy budowle są dla niego kompletnie zbędne. Przecież stwarzając świat, siebie też zmienił, więc albo przed, albo po był niedoskonały, rozumiesz, panie Recho? Monoteizm jest wewnętrznie sprzeczny. A Żydzi na dodatek opowiadają, że dał im takie surowe reguły, jakby chciał ich czegoś nauczyć. Właściwie niby po co?

To, o czym Recho teraz myślał, to jak zanotować wywód, by nic nie pogubić, gdy będzie nad tym później rozmyślał. Zgadł już, że Adalgirk nie wie tego dyskursu spontanicznie, lecz że to gotowy i wcześniej dobrze przemyślany tekst.

– Czy to ty, panie prokurtensie, jesteś autorem tego traktatu? – zapytał. – Chętnie go

przestudiuję.

Aristam chrapał zawinięty w niedźwiedzią skórę. Zapijaczni żołnierze grali w kości, myląc się i kłócąc.

Pytanie Rechona okazało się kłopotliwe dla Adalgirka: To był ledwie jego traktat dyplomowy, kompilacja prac wielu filozofów, głównie omówień konceptu Platoniusza, nie zawierający niemal żadnej myśli oryginalnej autora. Jak coś takiego, w czym roiło się od powołań na cudze dzieła, dać Rechonowi? Przecież wtedy dobre wrażenie prysnie.

– Podeślę ci zwój. – Skinął głową, wiedząc, że nigdy tego nie zrobi. – A nie ciekawi cię powód czwarty, szczegółowy? – znął.

– Ależ tak.

– Już prawie sześć tysięcy lat czekają na swojego Mesjasza, i co? I nic. Mieli swoich proroków, którzy im to przepowiadali, ale prorocy od pewnego czasu przestali przychodzić, prawda? To jest czwarty argument przeciwko bogu Żydów: czas. Wiesz, kto z proroków był ostatni?

– Nie znam tak dobrze historii Żydów. – Recho speszył się. Jego masywne, niedźwiedziowate ciało jakby zapadło się w siebie.

– Jedni z nich mówią, że Jan bez Głowy, Iaens Decapitus; inni, że Maria z Nazaretu – powiedział Adalgirk, obserwując uważnie twarz Rechona, na ile zapadający zmrok na to pozwalał. Nie zauważył jednak nic szczególnego na tej twarzy. Adalgirk starał się dotrzeć do kogoś z wyznawców szalonej prorokini, do jedynej sekty zakazanej w Iamporiu, przez to, oczywiście, rozproszonej i nielicznej.

Chciał dotrzeć nie tylko po to, by wykazać się schwytaniem kogoś z nich, lecz by więcej się o nich dowiedzieć. Jego traktat o filozofii Żydów był najślabszy właśnie w opisie sekty marianów, zwolenników Marii Szalonej; zgromadzenie istotnie nowych danych mogłoby doprowadzić nawet do retrospekcji i podwyższenia oceny. Niestety, jeśli Recho nawet słyszał coś o marianach, to nie dał tego po sobie poznać.

– A twoje wyniki, panie Recho? Co takiego ciekawego wnoszą? – Adalgirk zmienił temat.

– Kontynuuję systematyczne badania poprzedników. Potwierdzam ich spostrzeżenia: gwiazdy gasną, słońce świeci coraz słabiej, panie Adalgirku.

– To rzeczywiście prawda?

– Tak. Niestety. Dlatego klimat coraz surowszy. Dlatego obumiera całe Agostiu Nordi. Swoją drogą, dlaczego nie pojechałeś na południe, panie prokurtensie?...

– Do Nubii?

– Nawet dalej, do Afriki Niger, tam, gdzie pustynia zmienia się w żyzne pastwiska. Tam jest

jeszcze przyszłość. Mare Nostru stanie się kiedyś Mare Nordicu dla naszego Iamporiu.

– Póki co, najpierw wyludni się Hyperborea, obie Tartarie, Sarmatia, Germania i jeszcze wiele carolii... Zdążymy przeżyć swoje życie. – Adalgirk się uśmiechnął.

– Mam nadzieję. – Recho pokiwał głową. – Choć gwiazdy gasną każdej nocy.

– Jak gasną? Każda świeci coraz słabiej? Czy znikają z firmamentu?

– Jedne tak, inne tak. Oczywiście, trudno mi o precyzję, jak w wielkich sozogionach, ale za to tutaj powietrze czystsze. Nie mam wątpliwości, że tak się dzieje. To samo głosił mistrz bar Gadi.

– Jak to tłumaczysz, panie Recho?

Ten wzruszył ramionami.

– Jak wszyscy sozygiści. To nadchodzący zmierzch świata, zmierzch bogów. Tak przecież miało być.

– Ależ to zmierzch twoich bogów, hyperborejskich, panie Recho, a nie wszystkich. – W głosie Adalgirka brzmiała nie skrywana ironia.

– Liczby nie kłamią, panie prokurtensie. Gwiazdy gasną. Wszystko się kończy.

XIII

Sozogion był dobrze utrzymany. Większość instrumentów umieszczono w wykopach. Na czas złej pogody Recho rozciągał nad nimi spłowiałą, szarą płachtę. W świetle poranka to maleńkie państwko myśli, administrowane przez Rechona, wyglądało schludnie i solidnie.

Rano Adalgirk wygramolił się spod skór i obserwował, jak słońce ospale wylazi znad odległej pozębionej grani. Szczelnie zawinał się w płaszcz, mimo to nieznośne dreszcze wstrząsały jego ciałem.

Recho też nie marudził, lecz prowadził swoje dziwaczne obserwacje, z których dopiero konkluzje zdołają zrozumieć intelektualiści pokroju Adalgirka. Wpatrywał się w czerwoną tarczę wspinającą się pośród szarych mgieł i coś notował.

Myśl mętna, ale działanie profesjonalne – ocenił zmarznięty Adalgirk.

– Wiele praktycznego zdołacie z tego wyciągnąć w krótkim czasie, panie Recho? – rzucił

głośno. Któryś z żołnierzy obrócił się pod skórą i mruknął niegrzecznie. Dla niego sen był najważniejszy.

– Co jest dla was praktyczne, panie prokurtensie? – Recho nie był potulny, jak podczas wczorajszej dyskusji. Wykonywał właśnie swoją pracę, podczas której nie potrzebował pouczeń.

– Na przykład: Gdzie jest Rom? Jak daleko stąd do Rom? – wyjaśnił Adalgirk, ignorując ton sozygisty. Samotnik miał prawo do dziwactw.

– Akurat to jest proste do wyliczenia. Rom powinno być już za tą przełęczą. – Wskazał na łagodny łuk zamykający dolinę nad przypominającym stąd czarne ziarenko Fortens Primus. – Sądzę, że właśnie tam kończy się władztwo naszego pana Theodorika Bedy.

– Pewnie strzeżona granica.

– Górskie szkło nieźle chroni przed obcym wojskiem, ale wprawny zwiadowca zdołałby przejść przez przełęcz. Nie jest tam bardzo stromo, a trzymając się skraju, można by uniknąć większości szczelin. Ale to droga tylko dla pojedynczych, dla najlepszych.

– To prawda – powiedział Adalgirk, uważnie przyglądając się drodze wskazanej przez Rechona. – Ale przed pojedynczymi zwiadowcami łatwo się zabezpieczyć, mając fort w dolinie. To dobrze chroniona granica tetrarchii – podsumował.

Adalgirk zmienił umyślony akapit raportu: „Wizytowany sozogion prowadzony jest rozrzutnie, ponad miarę możliwości finansowych Ultum, a wyniki uzyskane przez sozogistę, Hyperboreja Rechona, i jego poprzednika, Żyda bar Gadiego, ani w części nie uzasadniają ponoszonych nakładów”.

Ostatecznie, nie było w tym stwierdzeniu słowa kłamstwa. To, że niektóre gwiazdy zaczęły przygasać, już wiadano w Aletxandrii, Recho zaś niewątpliwie był człowiekiem inteligentnym, choć miernie wyedukowanym. W otoczeniu basilicusa uważało się, że mieszkańcy północnych keysirii, a Hyperboreje w szczególności, nie nadają się zbytnio do tak subtelnej pracy, jak zajęcie sozogisty.

XIV

Po powrocie do Ultum Adalgirk zaczął wypytywać Aristama, jak można by to i owo ulepszyć w tetrarchii. Młody jeszcze setnik miał nieoczekiwanie wiele uwag i zastrzeżeń. Uderzało jednak jego zacierzenie i uporczywe trwanie przy swoim, kiedy Adalgirk próbował podważać niektóre argumenty. Nie należało więc sprzeciwiać się bez istotnej potrzeby, gdyż prawdopodobnie

zapalczywy Byffer zostałby sojusznikiem Adalgirka w starciu z Theodorikiem. Może nawet zaświadczyłby przed agostem.

Adalgirk coraz częściej wspominał, że chciałby zetknąć się z wyznawcami Marii z Nazaretu, wspominał i przy Aristamie, i przy żołnierzach, dbał też, by gdy o tym mówił, w pobliżu był jakiś niewolnik. Stale podkreślał, ile gotów byłby zapłacić za każdą wiadomość. Każda bowiem nitka, wiedząca do celu, mogła być ważna, nawet cienka i marnej jakości. Udało mu się skaperować parę osób do współpracy, ale o należytej sieci popleczników zbyt wcześnie było mówić. Starał się podkreślać, że chodzi mu wyłącznie o wiedzę o marianach; że oprócz przeprowadzanej wizytacji nadal pracuje nad filozofią Żydów i nie może pominąć tak ważnej grupy.

Na dworze bywał rzadko, gdyż nad kontaktami z władcą nadal ciążyło wspomnienie przykrew sprzeczki. Ich nieczęstym i krótkim rozmowom brakowało swobody i życzliwej lekkości. Piękna Irmena unikała prokurtensa, zamiast zacząć ulegać jego czarowi. Oznaczało to, że chwila Adalgirka na dworze Ultum jeszcze nie nadeszła. Może Irmena będzie jego, dopiero gdy poślubi ją dla zachowania ciągłości władzy, jako nowy tetrarcha Ultum, w miejsce usuniętego, nieudolnego Theodorika Bedy. Nieomylny instynkt dworaka, wyćwiczony w Aletxandrii, gdzie pozwolił przetrwać i nawet położyć podwaliny kariery, mówił Adalgirkowi, że obecnie lepiej zwolnić tempo i przez pewien czas trzymać się na uboczu.

Dzięki temu miał dość swobody na gromadzenie materiałów obciążających obecne administrowanie Ultum. A czas ten należało starannie wykorzystać, gdyż ten sam instynkt mówił, że okazja do powrotu na sale dworskie wróci wielokrotnie, choćby z powodu znudzenia władców, obracających się ciągle w ciasnym kręgu tych samych ludzi.

Od tetrarchy wyjednał do pomocy w rachunkach i sekretarzowaniu wolną Żydówkę, Magdaleny. Była młoda i Adalgirk żałował, że nie jest niewolnicą, chociaż nie wątpił, że na dłuższą metę nie będzie to miało większego znaczenia, i aby dopiąć swego, po prostu trzeba poczekać. Na razie nie zamierzał wiązać się trwale z żadną kobietą.

Magdalena była z wolnych, ale tak niskiej rangi i z tak bardzo zadłużonej rodziny, że jej ojciec, stary Esamon bar Lew, nie mógł odmówić, kiedy władca zażądał, by oddać córkę na służbę. Chociaż to polecenie było brutalnym uregulowaniem należności.

Nawet sam Adalgirk zdziwił się, że władca tak szybko zadośćuczynił jego niemal aroganckiej prośbie.

Boi się mnie czy co... – pomyślał o Theodoriku. – To za tę chwilę strachu, którą ja przeżyłem... A może to moc słów: agostiański prokurtens... – Miłe, łechcące próżność rozmyślenia skończyły się, kiedy uświadomił sobie, że mógł przecież sam wskazać kobietę, na którą miałby ochotę.

Magdalena wyglądem różniła się od innych Żydówek spotykanych wcześniej w Aletxandrii, czy reszcie Agostiu Sudi. Była wysoka, mocno zbudowana, miała miodowe, falujące włosy i niebieskie oczy. Wyglądała raczej jak Byfferka czy Sarmatianka niż Żydówka. Choć jej posągowa uroda i spokojna godność w zachowaniu robiły wrażenie.

Z początku powierzył jej jedynie prowadzenie gospodarstwa w domu, który wynajmował. Potem, gdy zorientował się, jak sprawnie potrafi rachować i pisać, obciążył ją sporządzaniem niezbędnych poleceń i wysyłaniem ich. Z zalotami nie narzucał się, gdyż pewny swych walorów, wiedział, że w takich sytuacjach czas robi swoje.

XV

Magdalena podniosła wyczekująco wzrok znad ozdobnego zwoju. Ceremonialny raport musiał zostać sporządzony na godnym materiale.

– Naturalnym porządkiem Iamporiu Iatternu jest przenikanie się pierwiastka boskiego i ludzkiego – dyktował Adalgirk. Nie wątpił, że Magdalena szpieguje dla Theodorika, ale wolał sam podsunąć mu mniej groźne fragmenty raportu, może to wystarczy, by ten nie szukał więcej. I tak trzeba przesłać raport oficjalną pocztą, oczywiście oficjalną wersję raportu; gdy znajdzie się coś naprawdę ważnego, powstanie wersja tajna.

– To, co jest boskie w przywódcach Iamporiu, niezbicie w jego przesławnych basilicusach, agostach i keysirach, ale nawet i niższych hierarchach kongregacji, carolusach i tetrarchach, zostaje wyniesione nad swą ludzką otoczkę i ubóstwione, dając świadomość, iż każdy z bogów czczonych przez nas niósł w sobie kiedyś element ludzki i niesie go nadal w sobie. Czyni to bogów nam bliskimi, a jednocześnie przydaje im czci znacznie pełniejszej, niż gdyby było inaczej. – Inwokacja była chyba celna, akcentowała klasę Adalgirka jako stróża zasad.

Każdy z waszych bogów to ubóstwiony człowiek? – rzuciła domyślnie Magdalena.

Adalgirk skrzywił się. Kobieta nie powinna przerywać mężczyźnie, a tym bardziej Żydówka obywatelowi Aletxandrion. Jednak nie chciał urażać jej niepotrzebnie. Wyładował złość w myśli, że Magdalena ma zbyt duże dłonie i stale nabrzmiałe żyły na przedramionach, jej zaś wysoka sylwetka pozbawiona jest delikatnego wdzięku filigranowych Żydówek spotykanych w Aletxandrion.

– Wydaje się, że właśnie tak jest – powiedział uprzejmie. Ostatecznie, umiała pisać i czytać, więc nie mogła być równie głupia jak większość kobiet, choć z pewnością nie warto w rozmowie z nią silić się na precyzję argumentacji. – Przenikanie się pierwiastka boskiego i ludzkiego oznacza, że nie istnieje zasadnicza różnica między tym, co ludzkie, i tym, co boskie. Jak to po raz pierwszy wywiódł PseudoWiktoryn Areopagita, każdy z bogów, któremu oddajemy dziś cześć, to pierwiastek boski żyjącego kiedyś człowieka.

– Więc oddajecie cześć ludziom, bogów zaś nie ma? – zawołała zdumiona.

– Pierwiastkowi boskiemu każdego z nich.

– To kto stworzył świat? Też ludzie? – Szeroko otwarte, jasne oczy Magdaleny przekonywały, że nie szydzi.

– Na ogół uważa się, że świat istnieje wiecznie, ale nie zostało to przesądzone ani przez filozofów, ani przez sozycystów. I jeśli nawet kiedyś powstał, to skoro ludzie nim administrują, korzystają z jego owoców, a wcześniej sieją ziarno i pielęgnują uprawę, by te owoce wzrosły... Dlaczego nie? Mając w sobie pierwiastek boski, ludzie i to mogli...

– Stoimy na barkach gigantów stworzycieli?

– Świat już istnieje, więc obecnie nie trzeba go tworzyć od nowa. Ale gdybyśmy żyli w okresie, gdy się stawał, może i my mielibyśmy w tym jakiś udział... Utrzymanie w działaniu może być równie trudne jak tworzenie. Oczywiście, wszystko nowe tworzy cząstka boska w wybranych spośród ludzi. – Pewność siebie, z jaką to mówił, nie pozostawiała wątpliwości, że uważał się za jednego z tych wybranych. – Nie do pomyślenia jest, by niewolnik nosił w sobie pierwiastek boski.

Albo kobieta – dodał w myśli. Magdalena pomyślała tak samo. Zdradziło to jej spłoszone spojrzenie. Po chwili jednak pewnie podniosła wzrok.

– I to wszystko? – Uśmiechnęła się jakby z wyższością. – A Jowisz, Saturn, to też tylko ludzie?

– Protoplaści plemion. Założyciele. To ich pierwiastek boski czcimy.

– I nikt nie głosił innej nauki?

– Wielu rozdziela świat ludzi od świata bogów, ale ja sędzę, że to błąd. Święty porządek Iamporiu Iatternu wywodzi się z boskości i należna jest mu cześć.

Adalgirk wiedział, do kogo mówi. Nie chciał dręczyć Magdaleny argumentacją przeciw Bogu Żydów. Nie należy płoszyć zwierzyny, jeśli ma wejść w pułapkę.

– Był jeden z filozofów, głoszący naukę zbliżoną do tej, którą ty wyznajesz – powiedział cicho.

Magdalena wzdygnęła się.

Chyba nie sądzisz, że nie wiem, kim jesteś – pomyślał.

– To Platoniusz albo Secuns Plato, ścięty w Argentum – wyjaśnił uspokajająco. – Głosił istnienie jednego boga ponad innymi, którzy jedynie pośredniczą między nim a światem ludzi. Boga doskonałego, więc samowystarczalnego. Ale bóg Platoniusza ma wszelkie wady logiczne...

– Ścięto go, a mimo to agostiański prokurtens rozważa jego nauczanie. – Kiedy Magdalena unosiła głowę znad zwoju, jej oczy rozblyskiwały i rozblękitniały od światła wpadającego przez otwór okienny. Nie mógł tego nie zauważyć, i nie mógł się tym nie zachwycić. Wbrew sobie.

– Iamporiu jest wielkie i wielkoduszne; pozwala głosić wszelkie myśli, byle logiczne – zyczliwie pouczył sekretarkę. – Secuns Plato powiedział, co miał do powiedzenia. Zdekapitowano

go, by nie zniszczył swojego dzieła. Tak głosił cesarski edykt. Odtąd wolno analizować poglądy Platoniusza.

– Odwoływał w czasie procesu swoje tezy?

Adalgirk zasepił się.

– Nie. Nie słyszałem o czymś takim. Pisz dalej – przykazał. – Jestem tu, by opisać prawdę. – To zdanie wygłosił na użytek Theodorika. Prawdopodobnie jeszcze dziś wysłucha relacji z ich rozmowy.

Patrzyła wyczekująco, gotowa dalej notować, więc spojrzał przychylnie na nią i nawiązał do poprzedniej myśli.

– Bo jeśli Bóg jest absolutny i doskonały, to świat nie jest mu do niczego potrzebny. Rozumiesz, Magdaleno? – Patrzył w okno, więc nie widział, czy skinęła potakująco. Lepiej nie wymuszać na rozmówcy takiej deklaracji.

– A jeśli taki absolutny bóg Platoniusza istnieje, to nie ma żadnego znaczenia dla naszego świata. Bo, Magdaleno, każde oddziaływanie z czymkolwiek musiałyby być skazą na jego doskonałości. Bo jeśli potrzebuje tego oddziaływania, to nie jest doskonały; a jeśli nawet oddziałuje, tylko by oddziaływać, to w trakcie oddziaływania jakoś się zmienia, więc albo przed, albo po nie jest doskonały. Dlatego nie ma Boga doskonałego, a jedynymi, możliwymi bogami, są boskie pierwiastki w ludziach...

Czyż kobieta może zrozumieć taki subtelny wywód? – pomyślał. – A tym bardziej prosta, uboga Żydówka, chociaż piśmienna? Nic dziwnego, że zamilkła.

– Theodorik Beda nie dba o przyrodzoną swej randze charyzmę – podyktował. – Niewątpliwie jest człowiekiem dużego formatu i ma zalety przywódcze, ale jego pierwiastek boski, jeśli Theodorik go posiada, nie jest należycie honorowany ani przez jego poddanych, ani przez żołnierzy. Więcej, jeśli któryś próbuje zwrócić się doń z należną czołobitnością, jest ostro strofowany. Wynika to z nieufności Theodorika, który sądzi, iż należna forma łatwiej pozwala ukryć fałsz i kłamstwo.

Magdalena nie protestowała.

– Jest to błędem, gdyż należyta forma wynika ze świętości władzy Iamporiu, władca zaś winien umieć sam wykryć fałsz wokół siebie.

Pióro Magdaleny głośno chrobotąło po żółtawej powierzchni zwoju.

– Stary Beda się zmienił – mruknął Aristam do Smotany. – Odkąd służę u niego, nie urządzał manipulum. To nie w stylu Theodorika.

Smotana zdjął hełm i przetarł spocone czoło.

– Podejmuje prokurtensa jak myśli, że tamten tego oczekuje.

Stali obok zbitej z desek trybuny, na której zasiedli najznamienitsi w Ultum; honory władcy pełniła Irma, sam Theodorik zaś uganiał się konno wśród swoich polane. Po lewej ręce Army zasiadał przypominający żurawia Herminsz, po prawej zaś prokurtens.

Adalgirk gładko przełknął kolejny dyshonor, gdyż w myśl aletxandrińskiej etykiety, jako urzędnik równy rangą tetrarsze, to on winien zasiąść na miejscu gospodarza. Zresztą, afront był niezamierzony, gdyż jak donieśli Adalgirkowi zaufani, zbyt wiele starań wcześniej podjęto, by urządzić manipulon – tak sobie zgreczył nazwę igrzyska – w terminie, który mu odpowiadał. Pomyślał, że prowincjonalny władczka chce się podlizać, ale czyni to niezdarnie i obraza przestała piec, a sytuacja zaczęła intrygować. Najbardziej był ciekaw sprawności Theodorikowej jazdy.

Pani Irmena taktownie nie wypytywała go o jazdę konną, do której był zmuszony, towarzysząc tetrarsze na miejsce igrzyska. Zauważyła przecież, że Adalgirk, dosiadając znienawidzonego zwierzęcia, jechał sztywno, niepewnie, kurczowo reagował na ruchy końskiego łba. Odgadywała jego myśli:

Żołnierze powinni walczyć pieszo, w zwarciu, a nie na tych partyjskich potworach, którym cieknie piana z pysków. To godne prostackiego parta, nie laddino...

Potem zbyt starannie wycierał dłonie, aż wzbudziło to zainteresowanie gwardzistów; obecnie pozostało mu wino, którym studził gotującą się ambicję. Ale i tak nie był dla pani Irmeny błyskotliwym towarzyszem rozmowy. Widząc zły humor Adalgirka, nudziła się sama.

Przed i obok trybuny rozsiadło się parę setek mieszkańców Ultum, ciekawych igrzyska, rzeczy nie oglądanej w ich krainie. Wśród grupki kobiet Adalgirk wypatrzył wysoką sylwetkę Magdaleny. Jeśli wszystkie jej towarzyszki to Żydówki, jest ich tu całkiem spora kolonia. Trzeba sprawdzić spisy – zanotował precyzyjny umysł urzędnika.

– Mówisz na Theodorika „stary”, a przecieżeś ty starszy – zachichotał Smotana i splunął.

Aristam obruszył się.

– A, gdzie... Beda starszy. Ledwie byłem wyrostkiem, jak się koronował.

– Tylko ciebie senatorska uroda szybko wzięła. – Bezczelnie wydał gębę Smotana, aż Aristamowi przysła ochota, by mu przyłożył.

– Tak, co pokolenie w moim rodzie – odpowiedział jednak spokojnie, przyglądając resztkę włosów na ciemieniu. – W końcu urodzi się senator.

Smotana wyciągnął bukłak.

– Za przyszłego senatora, panie Aristam.

Aristamowi bardzo spodobał się toast kolegi. Spojrzał na niego życzliwiej.

Oddział polane formował się do szarży. W partyjskich zbrojach, w skrzydlatych siodłach, na ciężkich, masywnych rumakach. Czoło stawić im miała kilkakrotnie liczniejsza grupa manipulatów, uzbrojonych niewolników dowodzonych przez oficerów byfferskiej piechoty.

Adalgirk oceniał, czy oddział jezdnych zdoła zahamować przed końcem polany.

– Ilu tych polane? – rzucił.

Herminsz komicznie wychylił się zza znudzonej władczyni.

– Theodorik wystawił pół centurii – wyjaśnił.

– A przeciw nim? – Adalgirk patrzył przed siebie, a rozmawiał z Herminszem, ignorując Irmę, jakby nie istniała. Irmena denerwowała go z paru powodów. Po pierwsze, nie okazywała mu względów, jakich mógł oczekiwać z racji stanowiska i urody. Po drugie, gdyż okazywano jej względy większe, niż są należne kobiecie. Po trzecie, piła wino. Bez wątpienia odgrywała decydującą rolę w Ultum. Zdążył zauważyć, że Theodorik nie utrzymuje nałożnic, zadawałając się tylko tą jedną kobietą, krnąbrną, pewną siebie i swojej urody.

– Dwie i pół setki – odparł Herminsz. – Ale to niewyszkoleni niewolnicy. Tydzień przyuczania niewiele pomoże.

– Może przesiądziemy się, panie Adalgirku? – powiedziała Irmena. – Będzie ci wygodniej rozmawiać.

Tym sposobem, nieoczekiwanie, prokurtens znalazł się na odpowiedniejszym dla siebie środkowym miejscu. Nikt nie zwrócił na to uwagi, a środkowe miejsce nie było oznaczone. Irma chyba nie pierwszy raz przesiadała się w łoży honorowej, obsługujący niewolnicy szybko i zręcznie zamienili się miejscami. Pani wdała się w rozmowę z żoną Herminsza; Adalgirk musiał więc nadal wypytywać się o mało ważne szczegóły widowiska, Herminsz zaś garbił się jak zwykle.

Swoboda, z jaką Irmena przesiadła się, oddając mu pierwszeństwo, zaniepokoiła Adalgirka. Może celowo zasygnalizowała mieszkańcom Ultum butę prokurtensa? Dała do zrozumienia, że prokurtens zagraża władcy? Jeśli znajdzie się teraz jakiś głupawy fanatyk i zaatakuje gościa... z pewnością zostanie łagodnie potraktowany przez władcę. Który nawet jeśli zdekapituje winnego, to wysoko wynagrodzi jego rodzinę. To ważne dla wielu nędzarzy. A w takim przypadku Theodorik ujdzie kary.

Stało się, trzeba brnąć dalej.

– Czy manipulaci mają też pileia fulgurai? – spytał Herminsza. Herminsz silnie wzruszył swoimi

wielce pogarbionymi ramionami, co było niewątpliwym osiągnięciem.

– Oczywiście – sapnął. – Mają pełne wyposażenie piechura byfferi. Piliu fulguris, arkan, miecz gocki i godziwą zbroję. Myślę, że będą dobrym sprawdzianem dla naszej jazdy.

– Wybranej, najlepszej półcenturii. – Adalgirk wykrzywił usta. Zaraz też grzecznie podsunął Irmie półmisek z gronami, tak by audytorium zauważyło.

– Nie. – Herminsz zatrząsł się niemal konwulsyjnie, co miało wyrażać ubawienie mniemanym żartem Adalgirkowym. – Jak znam naszego jasnego pana, to wziął pierwszych pięćdziesięciu z pierwszej centurii albo ostatnich z drugiej. – Błado się uśmiechnął.

Adalgirka zaczynało nużyć to jałowe gadanie. Irmena nadal zajęta była rozmową z Herminią.

– Nie od dwudziestego do siedemdziesiątego?

– Też tak mogło być – grzecznie zgodził się Herminsz, co czyniło Adalgirkową próbę przerwania rozmowy jeszcze trudniejszą. – No, panie Adalgirku, rozsiądź się wygodniej i patrzeć, nieczęsty to widok w Ultum – rzekł, kraśniejac z ukontentowania.

Adalgirk złodowaciał na tę poufałość.

– W Aletxandrion naoglądałem się igrzysk i polowań, i manipulów – wycedził – ale to w Ultum będzie przeżyciem swoistym.

Herminsz krzywo zerknął i wreszcie zamilkł.

W istocie Adalgirk pierwszy raz oglądał manipulum. W wielkim Aletxandrion bardzo rzadko urządzano tę formę igrzyska; krwawy bunt dobrze uzbrojonego i zorganizowanego oddziału manipulatów stanowił realną groźbę. Natomiast naoglądał się walk zwierząt, polowań, rozszarpywania skazańców czy starć gladiatorów. Takie igrzyska urządzano w bezpiecznych amfiteatrach, przy każdej ważniejszej okazji. W Ultum amfiteatr dawno zmienił się w ruinę. Nie miało to akurat znaczenia, gdyż spektakl manipulum urządzano na otwartym polu.

Wyraźnie Theodorik lekceważył niebezpieczeństwo rebelii.

– Zaraz ruszy – zauważył gorączkowo Aristam i pociągnął łyk z bukłaka Smotany.

– Tam jest moich dziesięciu oficerów i żołnierzy – mruknął Smotana. – Nie chciałbym któregoś z nich głupio stracić.

– Będzie na ostre.

– Zgadza się. Polane mają ostre kopie.

Jeźdźcy ruszyli. Narastał grzmot końskich kopyt.

Odpowiedziała mu nierówna palba pieszych niewolników. Jeden z rozpędzonych jeźdźców runął z konia.

– Zaraza! – warknął Smotana. – To jest cena głupich, pańskich zabaw! Ultum traci ludzi, żeby zabawić dupka z Aletxandrion.

– Twoi byfferzy są wśród pieszych – przytomnie zauważył Aristam.

– Zaraza. Dbam nie tylko o swoich. Dbam o Ultum.

Aristam błysnął wodnistym spojrzeniem.

– A jeśli by sam jasny pan oberwał od niewolnika?

– Ach! Byłoby marnie – zachnął się Smotana. – Pewnie dostalibyśmy dupka na stałe.

Polane położyli kopie. Chwila tętentu, gdy wszyscy wstrzymali oddechy i półcenturia z rozmachem wbiła się w ciżbę pieszych. Do widzów dotarły chaotyczne strzępy komend byfferskich oficerów. Nie pomogli. Niewolnik nie staje się żołnierzem w ciągu tygodnia. Polane przebili się przez pieszy oddział i hamowali zgodnie, gdzieś na skraju polanki. Theodorik pędził z kraja konnego oddziału, potem ominął ciżbę, a teraz głośno krzyczał i gestykułował, zbierając oddział. Kilka koni bez jeźdźców rozbiegło się. Pogonili za nimi wyznaczeni niewolnicy. Z ciżby piechurów rozległy się jęki rannych i stratowanych.

Nie czekając, aż manipulaci przegrupują się, oddział konnych złożył się do nowej szarży.

– Ach! – jęknęła Irma, jęknął Smotana i Aristam, gdy pancerni jeźdźcy znów rozpędzili się w stalową lawinę. Nawet Adalgirkowi trudno było wytrwać w niechęci. Musiał przyznać, że przydaliby się na tartaryjskich stepach.

Nagle gromadę jeźdźców spowiała biała mgła. Dopiero teraz wypalili z płomienistych chorągwi. Jęk, krew i trupy w oddziale pieszych. Mimo to dowodzący oficerowie zdołali złożyć linię obronną. Nadaremnie. Słabsza niż poprzednio, nie wytrzymała uderzenia.

W tłumie, tumulcie, niektórzy polane potracili kopie i cięli krzywymi, partyjskimi mieczami, siejąc spustoszenie. Zaraz byli znów na wolnej przestrzeni za oddziałem pieszych.

Znów ułożyli się w szpicę i ponowili atak, najpierw paląc z ognistych chorągwi, jak zwano wieńce pileia fulgurei otaczające kopie. Formacja jezdnych z impetem przecięła ciżbę pieszych przypominających już, niestety, stado spłoszonych owiec.

Adalgirk ziewnął ostentacyjnie. Herminsz spojrział zgorszony: Na jego cześć to igrzysko, a ten się nudzi?

Niestety, niezręczne ziewanie prokurtensa zauważył nie tylko Herminsz. Od grupy żołnierzy odłączył wysoki oficer; wprawdzie barczysty, nie miał masy należnej wzrostowi, choć duże dłonie i kwadratowa szczeka znamionowały wielką siłę.

Przecisnął się ku Irmie, potracając Adalgirka, aż ten rozlał wino na karki widzów stojących przed trybuną.

– Centuria polane pozdrawia panią Ultum – rzucił oficer. Raczej powinien powiedzieć: pozostała półcenturia.

Adalgirk nie wytrzymał, rąbnął intruza łokciem. Przeliczył się. Tamten miał pod tuniką skórzany kaftan i czekał na atak, gdyż nie hołdy, ale właśnie znieważenie Adalgirka było jego celem.

Jak wilk, rzucił się do gardła Adalgirkowi. Krótkim ciosem palnął prokurtensa w twarz. Obaj runęli na ziemię. Adalgirk zaraz odzyskał przytomność. Czuł miażdżące gardło knykcie obcego. Jedną ręką próbował się uwolnić, drugą sięgnął po kris. Ale ktoś oswobodził go spod napastnika. Aristam i Smotana brutalnie zwlekli agresywnego oficera, wykręcając mu ramiona.

Rozwścieczony Adalgirk miał ochotę uderzyć krisem obezwładnionego. Zrezygnował, przypominając sobie zwyczaje Ultum. Przyłożył zimne ostrze do błyskawicznie puchnących powiek.

– Kim ty jesteś, oficerze? – Głos pani Irmeny przypominał syk żmii.

– Gojko, Slav, połsotnik, semicenturion – mruknął niefortunny napastnik.

– Zabrać go! – warknęła Irma. – Ukarz go przykładnie, panie prokurtensie – dodała. Jej oczy miały czarne błyskawice.

– Och! Niech osądzi go tetrarcha, ja nie chcę drugi raz oglądać tej tępej gęby. – Adalgrik wzruszył ramionami. Był pewien, że szyja Slava znajdzie się na pniu. Chciał jeszcze zrobić ironiczną minę, ale sprzeciwiła się obolała twarz.

Na polu zdezorientowaną cizbę niewolników raz za razem rozbijały ataki ciężkiej jazdy.

Theodorik był dobrym aktorem. Nie czekał, aż niewolnicy rozpełzną się w beładnej ucieczce, lecz zakończył manipulum, gdy jeszcze strona wystawiana sprawiała pozory wojska.

Dał znak i z grupą konnych przedelfilował przed trybuną. Kilku wyróżniających się polane poklepał po ramieniu, zrównując się z nimi w jeździe. Wszystkim atakom przewodził, w ostatniej chwili odjeżdżając w bok z linii, nie draśnięty pociskiem.

Adalgirk czuł niechęć, widząc jego sprawność w dowodzeniu. Nie mógł nie zauważyć też znakomitej formy fizycznej władcy.

Potem Theodorik zachował się jeszcze gorzej. Wrócił przed szereg pieszych manipulatów i uroczyście uwolnił kilku wyróżniających się w walce, wskazanych przez dowodzących oficerów. Odtąd mieli przejść, jako wolni, do służby w oddziale pieszych byfferów. Jeszcze później polecił nieść z pola walki rannych niewolników i udzielić im pomocy, zamiast po prostu kazać ich dobić.

Przesadza z dbałością o siłę roboczą – pomyślał prokurtens.

Kilka razy wybuchały wiwaty na cześć władcy, zagłuszając jęki rannych. Theodorik po salucie zeskoczył z siodła i podbiegł do Army. Cisnął niewolnikowi obie rękawice i uściskał dłonie pani.

– Myślę, że to go lepiej usposobi – rzucił uradowany.

– To ty dobrze się bawiłeś – odpowiedziała Irma – bo mogłeś sobie urządzić igrzyska...

Zakłopotany władca przypominał uczniaka złapanego na kradzieży jabłek w sadzie.

– No, tak...

– Prokurtens oberwał od naszego ambitnego durnia i jest wściekły.

– Zaraza. A szesnastu zginęło, żeby się dobrze bawił.

– Właśnie. Ale nie bądź zbyt surowy dla durnia. – Irma uśmiechnęła się.

Drapieżny grymas podkreślił zmarszczki na twarzy Theodorika.

– O, nie. Sam mu trochę zazdroścę.

XVII

Do obowiązków Adalgirka należało przeprowadzenie wielu rozmów z wolnymi obywatelami tetrarchii. Do domów prywatnych osób zapuszczał się w towarzystwie Aristama i czasem dwóch żołnierzy. Adalgirk ostentacyjnie traktował oficera jak przewodnika po nadużyciach Ultum. Aristam rzetelnie ujawniał wady i ciemne strony tetrarchii. Wysłuchiwał uwag i spostrzeżeń Adalgirka. Wydawało się, że traktuje je bardzo poważnie.

Dziś Adalgirk nie miał ochoty na żadne wizyty. Stworzył już sobie spójny obraz Ultum, biedniejszego organizmu w kongregacji prowincji. Upadek rolnictwa powodował tu powszechne osłabienie praw i zwyczajów stanowiących o sile Iamporiu. Choć może było odwrotnie: to nie inwazja górskiego szkła i coraz marniejsze plony były przyczyną nieprzestrzegania praw i zwyczajów, lecz odwrotnie: to skarlenie ducha przyniosło w następstwie osłabienie administracji.

Adalgirk snuł się więc ulicami Ultum; wreszcie trafił na forum. Jako ochrona i przedstawiciel tetrarchii, towarzyszył mu nieodłączny Aristam. Po rynku kręciło się wielu Germanów, Sarmatów, a nawet Hyperborejów czy Bohemian. Wśród tych rosnących ludów północy wysoki i muskularny Adalgirk wcale nie wyróżniał się postawą. Więcej nawet: masywni, Inianowłosi Byfferowie czy Hyperboreje często przewyższali go wzrostem. Irytowało to przywykłego do wzbudzania podziwu swym wyglądem agostiańskiego prokurtensa.

Zaobserwował, że wiele wolnych, ale nie wyglądających na dziwki kobiet porusza się po mieście samotnie, bez asysty przybocznego niewolnika.

Za kurią widać było porośnięte zielskiem ruiny miejskiego amfiteatru.

– Gdzie, jak sądzisz, panie Aristamie, powinniśmy dzisiaj zajrzeć? – zapytał prowokacyjnie.

– Właśnie tu, panie prokurtensie. Stąd idzie zaopatrzenie dla aren Rom i Aletxandrion.

Aristam miał rację tylko połowicznie: Rom od stuleci leżało w gruzach.

Podeszli ku porośniętą trawą lejowi, ruinom amfiteatru. Nie były opuszczone. Tam, gdzie kiedyś mieściła się arena, wzniesiono solidne klatki z nie okorowanych bali. Trzymano w nich niedźwiedzie. Po jednym w każdej. Włochaci władcy lasów północy regularnie przemierzali szczupłą przestrzeń, łypiąc ponuro na widza.

Trzymano tu około czterdziestu niedźwiedzi i tyleż turów czy żubrów. W mniejszych klatkach więziono rysie.

Zagroził im drogę strażnik o brutalnej, nie ogolonej twarzy. Na jego uzbrojenie składała się cudaczna mieszanka zbroi legionowej, sieci i trójzęba gladiatora.

– Panowie, co tu? – rzucił ostro. – To teren prywatny.

– A któż tu włada? – parsknął Adalgirk, ubawiony dziwaczną personą.

– Jasny pan, Welesij Medwydnyj.

– No to prowadź do swojego jasnego pana albo go nam sprowadź.

Na nienawykłej do refleksji twarzy strażnika pojawił się wyraz namysłu i zakłopotania. Oczy rozszerzyły się. Bawiło to Adalgirka coraz bardziej.

– Nu, dobre. – Wieniec ze złotych listków laurowych na skroniach prokurtensa przekonał w końcu cudaka i chociaż niechętnie spoglądał na towarzyszącego dygnitarzowi oficera byfferów w pełnym rynsztunku i złoconej zbroi, wskazał drogę gościom.

Przeszli wśród rzędu drewnianych klatek, śledzeni nienawistnym lub tępym wzrokiem ich zniewolonych mieszkańców. Na małym, zabłoconym placu stał tłusty, siwawy, nieprzyjemny osobnik, zajęty pijacką kłótnią z kilku innymi brudasami.

– Czego, Gawrił? – rzucił do strażnika.

– Ti jasne pane chotja... – zaczął meldować Gawrił.

– Sami wiedzą, czego chcą – warknął Welesij Medwydnyj. – A wy tu co, panowie oficerowie?!

– rzucił do gości. – Odwach jest gdzie indziej, a tu jest ruina Welesija.

– To jest agostiańska inspekcja, panie Medwydnyju – wycedził Adalgirk, zirytowany zachowaniem grubianina.

– Agostiańska, nie agostiańska, może i sam basilicus zajrzeć moim medwedom do... klatek. A proszę bardzo. – Pan Welesij zakołysał się. – Tu tajemnic nie ma: Medwed ma białe kły i pazury jak krisy oficerskie.

– Jesteście Tartar?

– Sarmatian.

Aristam parsknął śmiechem.

– Znaczy znad granic Sarmatii – poprawił się Welesij – ale faktycznie żyłem w Tartarii.

Adalgirk skinął głową.

– A te zwierzęta też z Tartarii?

– Ależ skąd, jasny panie. – Welesij trzeźwiał na zawołanie, znaczy w razie potrzeby. – Tu łapanie. W zagajnikach Ultum.

– A dalej? Gdzie je wysyłacie?!

– Iamilia Romania, Aletxandrion. Tam, gdzie jeszcze szlachetna sztuka igrzysk nie odeszła w zapomnienie.

Adalgirk czujnie obrócił się do Aristama.

– Gdzie płacą cło?

– Opuszczając Ultum. Wtedy płacą od sztuki. Jeden niedźwiedź to tyle, co dwa rysie.

W zmętniałych oczach Welesija dwójka intruzów jawiła się niewyraźnie i nieokreślenie. Nie miał zupełnej pewności, czy nie jest ich więcej. Może to wino sprowadziło mu ich na udrękę.

– Niedźwiedzie wróciły do Ultum – wyjaśnił. – Zimy sroższe, wioski pustoszeją, więc wróciły. Pełno ich znowu w Retxii, Bohemii czy Sarmatii. A stąd już bliżej do stolicy...

Adalgirk przyznał z niechęcią, że to może być prawda.

– Oni zawsze mówią, że są z Sarmatii – powiedział Aristam, gdy pożegnali pijanego gospodarza ruin amfiteatru. – Im bardziej mętny interes prowadzą, tym bardziej się zapierają swojej nacji.

– Kto? Tartarowie?

– Z Tartarii Alby. Sarmatia dla nich to coś wyżej, to przedsiónek wielkiego świata.

Adalgirk wydał usta, skrzywił się lekceważąco.

– Wszystko to gdzieś daleko, na skraju Agostiu Nordi? Gdzie w zimie nie wschodzi słońce, a ziemia nie rodzi zboża?

Aristam pozostał poważny.

– Tak się mówi. Naprawdę jest inaczej, chociaż całe Agostiu Nordi wali się w gruzy. Jak Ultum albo gorzej. Dlatego tylu ich stamtąd przyjeżdża.

– Dobrze, że przestali przyjeżdżać zbrojnie.

– Tak. Po kilku wojnach nadszedł czas oddechu.

XVIII

Adalgirk tkwił całe popołudnie w rachubie celnej. Jako prokurtens mógł tam wejść, kiedy chciał. Był pewien swojego domysłu i rzeczywiście łatwo znalazł to, czego szukał. Już na studiach wyróżniał się biegłością w studiowaniu protokołów finansowych. Przypadkowa wizyta w cyrku winna wydać owoce.

Wieczorem wrócił do amfiteatru. Sam. Strażnik Gawrił poznał go i nie robił trudności. Welesij siedział na zydlu przed jurta, gapiąc się w płonące ognisko, i nadal pił. Ileż się w nim tego zmieści – pomyślał Adalgirk.

– Dalszy ciąg inspekcji, panie prokurtensie? – spytał niedźwiednik, podnosząc czerwoną twarz.

– Możesz jasno myśleć? – rzucił Adalgirk gniewnym tonem.

Grubas kazał jednemu ze swoich ludzi wylać sobie na głowę kubeł wody, a zaraz potem drugi.

– Teraz tak – mruknął, przecierając twarz dłonią i wyciskając wodę z włosów. – Siadajcie, panie.

Adalgirk przycupnął na pniaku przyrzuconym niedźwiedzim futrem. Niewolnik napełnił dlań winem cynowy pucharek. Kwaśne i cierpkie, smakowało jak ocet. Prawdopodobnie też robiło sito z wątroby.

– Twój interes nadaje się do przejęcia przez sąd, a ty do dekapitacji – rzucił Adalgirk i

pociągnął łyk, krzywiąc się z obrzydzeniem. Welesij znieruchomiał. Sługa stanął w pobliżu, a jego brutalna twarz stężała w wyrazie nienawiści. Zwęszył w gościu wroga. Należał do wolnych, nie miał na czole tatuażu.

– Odpraw tego wołu – mruknął Adalgirk.

– Siemion, to rozmowa. Zostaw nas.

Siemion oddalił się posłusznie.

– Skąd takie wnioski, po tak krótkiej inspekcji?

– Przejrzałem listy podatkowe. Płacisz podatek tylko raz – kiedy wyjeżdżasz z Ultum.

– Tak już powiedziałem.

– Ale skoro tu łapiesz zwierzęta, to dlaczego na kilka dni przed wyjazdem do Rom wracasz tu z Retxii? I w trzy dni nałapiesz tyle niedźwiedzi? To po co przesiadujesz wcześniej w lasach Retxii Romanii?

Welesij szarpnął się. Spróbował sięgnąć po broń.

– Nie będzie rozsądnie zabić agostiańskiego prokurtensa, i to zaledwie o sto kroków od forum. To zupełnie jakbyś sam sobie łeb uciął, nie czekając na moje osądzenie, Welesiju Medwydneyju.

– A to nie był wyrok?

– Mógł być. To znaczy będzie, jeśli nie wrócę, bo zapisałem go w swoim oficjum dla egzекutora, na jutro do wykonania.

Handlarz uspokoił się.

– Mówcie, panie prokurtensie.

– Twój nędzny, mały przemyt nie jest tak wielką stratą dla Iamporiu, jak pożytkiem może być twoja pomoc... – Adalgirk wpatrywał się badawczo, usiłując rozszyfrować myśli handlarza, ale mętne oczy tamtego błędziły bezradnie.

– Pomoc dla Iamporiu jest obowiązkiem każdego wolnego człowieka. – Odpowiedź brzmiała jednak składnie i sensownie.

– Może nawet zmienić wolnego człowieka w obywatela.

Na twarzy Welesija zarysował się zawód.

– Może zaopatrzyć w pieniądze.

Ślepią grubasą ożywiły się.

– Ale sprawić to może naprawdę wielką pomoc. – Adalgirk uśmiechnął się i zaraz udał troskę.

– Bo przecież głowa jest tak wiele warta, a najpierw ją trzeba będzie spłacić.

– Co chcesz, panie, najpierw?

– Dasz mi znać, kiedy wyruszasz z następnym transportem do Aletxandrion, ale tak, żeby nikt inny nie zauważył twojego posłańca. W szczególności ten pretor, co był tu ze mną.

– Dobrze. Co więcej mam zrobić?

– Dostaniesz przesyłkę do Aletxandrion. Ale będziesz ją musiał wywieźć tak, aby żaden z celników jej nie zauważył. Choćbyś miał ją wetknąć swojemu medwedowi do...

– Dlaczego mam coś ukrywać? A jeśli to tetrarcha mnie osądzi?

– Nie udawaj głupca, Welesiju – sucho powiedział Adalgirk. – Doskonale wiem, że się oplacasz władcy, a jeśli nie władcy, to celnikom. Nikt inny oprócz mnie nie osądzi cię za twój przemyt. Dlatego będziesz słuchał mnie. Nie zapomnij, że prokurtens jest ponad tetrarchą...

– Dobrze, będę.

– To po pierwsze, a po drugie, chcę odszukać w Ultum marianów, Nowych Żydów.

– Nic o nich nie słyszałem.

– To rozpytaj o nich łagodnie, Welesiju. Może pora się nawrócić na ich wierzenia? Oni przyjmują obcych do swojej wspólnoty...

Wracając, czuł niesmak. Pozyskiwanie informatorów było rutynową działalnością. Uczono go, jak to robić, i umiał to robić. Jednakże czuł niesmak, nie znosił pospolitowania się, zniżania do poziomu nędznego łajdaka, z którym trzeba się układać. Od Welesija wiele zależało, gdyż to jego zamierzał Adalgirk wykorzystać dla przerzutu do Rom i właśnie dlatego grubas budził szczególną odrazę prokurtensa.

W najbliższym, ciemnym zaułku zręcznie zniknął w cieniu, dobył krisa i odczekał kilka minut, jak nakazywała procedura. Nikt nie szedł za nim, więc najprawdopodobniej Welesij Medwydnyj zdecydował się na współpracę.

Zresztą, tak musiało się stać. Północne niedźwiedzie nie mogły równać się atrakcyjnością w walce z afrykańskimi i indyjskimi lwami. Interes prowadzony przez Welesija nigdy nie nabierze rozmachu. Niedźwiedź zawsze pozostanie skłonny do kompromisów.

Tetrarcha Theodorik leżał na pościeli wyścielonej skórą niedźwiedzią. Obok wylegiwała się Irma. Oboje sączyli lekkie gotto auro. Na zydelku w kącie tkwiła Aurelia, jak nieodłączny, piękny mebel. Obserwowała, czy przypadkiem komuś z władców nie skończyła się zawartość pucharu.

Wcześniej Theodorik łąził po chłodnej komnacie, aż wreszcie żona nakłoniła go, by wreszcie się położył, a nie mierzył komnaty tam i z powrotem niczym zaszczuty drapieżnik swą klatkę.

Wypił pierwszy puchar jak kubek wody. Następny też spotkałoby to samo, gdyby żona nie przytrzymała jego dłoni.

– To najlepsze wino, jakie mamy, warto zwrócić uwagę na jego smak – powiedziała z uśmiechem. Był to jeden z piękniejszych uśmiechów pani Irmeny. Jej wielkie, ciemne oczy mogły promieniować niewiarygodnym blaskiem. Doskonale wiedziała, jak tym czarować i kiedy wykorzystywać swą piękną broń.

Theodorik spojrzał nieprzytomnie. Tym razem nawet uśmiech Irmeny nie pomógł. Jego myśli błądziły daleko.

– To bardzo dobre wino – mruknął i opróżnił puchar. Aurelia uniosła się jak cień i uzupełniła zawartość naczynia.

Irmena dała jej znak spojrzeniem: Nie śpiesz się. Położyła dłoń na ramieniu męża, ale w jej oczach pozostała tylko resztką czarującego uśmiechu.

– Widzisz, żyję wśród ludzi. Pracuję dla nich przez lata – rzucił Theodorik. – Wydaje mi się, że pochwalają to, co robię. Aż przyjeżdża jeden cholerny szpicel keysira i nie mogę być pewny nikogo. Wszystko obraca się przeciw mnie.

– Mnie możesz być pewny – zadeklarowała cicho, lecz zdecydowanie.

Theodorik wiedział, że to prawda.

– Siebie chyba też, czyż nie, mój władco? – Znowu spróbowała się uśmiechnąć.

– No, tak.

– Dwoje myślących tak samo może przewrócić świat. Nie wierzysz?

– Często masz rację. Mam nadzieję, że i tym razem – mruknął. Jej wymuszony entuzjazm nie porwał go. Manipulum zakończyło się kompletnym fiaskiem, przez jednego krewkiego durnia. Theodorik nie zdekapitował oficera. Chociaż dotąd nie był pewien, czy dobrze zrobił. Adalgirk łatwo mógł się dowiedzieć, jak łaskawy los spotkał zapalczego Slava i potraktować łagodny wyrok jako kolejny, osobisty despekt.

– Spróbuj podsumować, czym on naprawdę ci grozi – powiedziała Irma.

– Tworzy siatkę szpicli. Jestem o tym przekonany. Werbuje różnych. To ma znaczenie: raport oparty na świadectwach wielu ludzi będzie ważki. Adalgirk jest fachowcem.

– A twoi szpicle? Zaniedbałeś tę robotę, Theodoriku.

– To prawda. Oparłem się na pretorii i jej ludziach.

– Bo nie chciałeś pozbyć się Aristama.

– Bo jeśli nie on, to kto inny by mnie krytykował. Przynajmniej miałem go stale przy sobie i mogłem szybko reagować na wszystkie zarzuty. Zresztą za późno, żeby tworzyć własną siatkę.

– Tak?

– Organizowana w pośpiechu będzie słabsza od Adalgirkowej, w dodatku pozbawiona atrakcyjności nowej szansy. Tą drogą muszę przegrać.

– A inne drogi?

– Nie wiem.

Machinalnie przesunął dłonią po skroni Irmeny.

– Co to jest?

– Och nic. Lekkie owrzodzenie. Medyk to suszy. Przepisuje mi to, co sama bym sobie przepisała.

– Boję się o ciebie. W Retxii Romanii jest epidemia wrzodów.

- Ach... To i problem tetrarchów Ultum sam się rozwiąże.
- Columbans nie potrafi utrzymać tej tetrarchii. Wyludni całe Ultum.
- Tym gorzej dla niego.
- I dla nas. Lepiej wyzdrowiej.

Przyjrzał się jej uważniej. Irma gorączkowała. Niezwykły blask jej oczu to mogła być szklistość wywołana gorączką. Leżała szczelnie zawinięta w niedźwiedzią skórę, ale nie miała dreszczy.

– A gdyby tak zabić Adalgirka, a nie ambitnego oficera, który bronił honoru jednostki? – podsunęła stary pomysł, by odwrócić zainteresowanie od swojej osoby.

Theodorik przecząco pokręcił głową.

– To byłby poważny błąd. Nasz koniec. Columbans wysłałby karną ekspedycję. Zabicie prokurenta byłoby wystarczającym powodem.

– Ultum jest dobrze uzbrojone.

– Tak, ale przeciw rabusiom czy buntownikom. Ultum jest częścią Iamporiu. Ludzie są wierni przede wszystkim Iamporiu. Nie mam ochoty wszczynać nowej rebelii. Zresztą, wcale nie jestem pewien, ilu z nich stanęłoby po mojej stronie, gdybym wystąpił przeciw keysirowi.

Teraz wyglądała na zafrasowaną, więc zmienił temat.

– Ten twój posąg powstaje bardzo szybko.

– Widziałeś? – zachnęła się. – Caneva starannie go ukrywa, żeby przedwcześnie nie zdradzić niespodzianki.

– No, wiesz... Muszę wiedzieć, czy nie wyrzucam pieniędzy na partacza. Co wieczór zakradam się do jego pracowni.

– Nie mówiłeś.

Machnął tylko ręką.

– Niewolnicy, których przydzieliłem Canevie, nadal pozostali moimi niewolnikami.

– I ty uważasz, że masz marnych szpicli! – zawołała ze śmiechem. – Caneva rzeczywiście jest dobry. Od razu zbiera grubą warstwę alabastru. Moja podobizna wyłania się z bloku niemal gotowa.

– Głowę, ramiona i dłonie odrobił bezbłędnie. Nie wyrzuciłem pieniędzy. Żeby to tylko nie pękło pod młotkiem.

– Wtedy pozwól mu zacząć jeszcze raz w nowym bloku. Jest tego wart.

Theodorik przytaknął skinieniem głowy. Drugi blok alabastru czekał w piwnicach właśnie na taki szczególny przypadek. Władca nie zamierzał dekapitować rzeźbiarza. Z początku był niechętny Canevie, a zaprosił go tylko dlatego, że nie wypadało odmówić Eglarowi z Turms, władcy potężnemu zarówno obszarem, jak i wojskiem. Jeszcze niedawno Theodorik z nim zażarcie wojował.

Właściwie decyzję podjęła Irmena, twierdząc, że keysirski zwyczaj sporządzania trwałych podobizn podnosi prestiż władcy. W pomniejszych jednostkach administracyjnych Iamporiu kamienne wizerunki władców zastępowano tanimi kopiami starych rzeźb, które po prostu podpisywano imieniem odpowiedniego hierarchy lub członka jego rodziny. Oczywiście podobieństwo mogło być wtedy wyłącznie dziełem przypadku.

Theodorik nie miał wątpliwości: podobiznę wykonywano po mistrzowsku. W pracowni wyłaniała się z alabastru druga Irmena. Nawet podniósłby kwotę obiecaną Canevie, ale mistrz go o to nie poprosił.

Zły nastrój minął. Przyszłość jawiła się w jaśniejszych barwach.

XX

Starania Adalgirka, by dotrzeć do sekty Nowych Żydów, nie odnosiły skutku. Medwydnyj nie mógł lub nie chciał pomóc. Inne drogi, na razie, też prowadziły donikąd. Widocznie zrobił błąd już na początku, zbyt otwarcie rozpytując wśród oficerów Theodorika o marianów, organizację przecież zakazaną. Z drugiej strony, sprawdził w rachubie, że gmina żydowska jest w Ultum dość liczna; pośród nich powinni się ukrywać tajemniczy sekciarze.

Medwydnyj miał w dodatku sporo kłopotów, gdyż pochorowali się jego ludzie, chociaż nie ci, którzy przybyli z ostatnim transportem zwierząt z Retxii. Przynajmniej tym tłumaczył swoją nieskuteczność.

Dni stawały się coraz krótsze, często padał deszcz i mocno wiało. Szczelnie zawinięty w szkarłatny płaszcz, właśnie zmagął się z wiatrem hulającym po wymarłym forum, gdy minął go zgarbiony, też walczący z wiatrem stary człowiek. Wiatr targnął wianuszką siwych włosów otaczających jego piegowatą łysinę.

– Mistrz Caneva? – rzucił Adalgirk. – Witajcie.

– Pan Adalgirk, przed którym drżą tetrarchie? – odkrzyknął pogodnie stary, przekrzykując świst wiatru.

– Wpadnijcie do mnie kiedyś na parę słów. Nie ma sensu tu marznąć.

– Kiedy?

– Jak będziecie mieli chwilę wolnego czasu, mistrzu.

– To zaraz.

– Niech będzie zaraz. Chodźcie – roześmiał się Adalgirk. Spodobał się mu ten pomysł. Przyspieszył kroku, bo zaczęło mżyć, a wiatr siekł ostro drobinkami wody o twarz. Caneva ruszył za Adalgirkiem.

W domu niewolnicy pospiesznie zasłaniali otwory okienne kotarami. Adalgirk surowo pogonił ślamazarnych: na posadzkach przy oknach zdążyły się zebrać kałuże wody.

Za to na palenisku urządzonym w stylu północnego agostiu trzeszczały już płonące polana. Dym nie chciał uciekać do komina, lecz snuł się po komnacie, szczypiąc w oczy.

Znalazło się grzane wino, wędzona ryba, kilka pieczonych gołąbków, chleb i czosnek, i trochę czereśni. Adalgirk uznał, że to wystarczy, by godnie podjąć rzeźbiarza.

– Poszczyściło się z zamówieniem u tetrarchy? – zapytał życzliwie, wyciągając się wygodnie. Niewolnik okrył go niedźwiedzią skórą.

Adalgirk zdążył poznać ten praktyczny, północny zwyczaj i sam zakupił kilka niedźwiedzych skór. W drugiej zanurzył się Caneva z kawałkiem węgorka w dłoni.

– Sądzę, że jestem obecnie sprawdzany – rzekł i sięgnął po kubek. – Jeśli zdam egzamin, sypną się następne zamówienia – powiedział marzycielsko i zanurzył usta w winie.

Adalgirk uniósł brwi pytająco.

– Rzeźbię tetrarchinię. Mam nadzieję, że podobizna zdobędzie uznanie.

– To trzeba by jasną panią trochę upiększyć, żeby się sobie bardziej spodobała.

– Irmeny nie trzeba upiększać. Ona jakby rzeźbi się sama. Ja ją tylko wydobywam z kamienia.

– Caneva, Caneva. – Adalgirk uśmiechnął się. – Wygląda na to, że już wyleczyliście się z afektu do poprzedniej modelki.

– To prawda. Tyle że teraz jest jeszcze gorzej.

– Teraz ta?

Caneva przytaknął spojrzeniem.

– Kochliwi jesteście.

– To nieprawda. Ponad dwadzieścia lat nic, aż tu nagle raz za razem.

– Rzeźbicie ją nagą, mistrzu?

– Nie. Jeszcze mi życie mile. Władca tak zakochany jak Theodorik kazałby mnie zabić po ukończeniu jej aktu.

– To taki prostak? – Adalgirk uniósł brwi. Czy to możliwe, aby mężczyźnie mogło aż tak zależeć na kobiecie...

– Ja mu się nie dziwię. Sam bym kazał zabić rzeźbiarza – mruknął Caneva. – Zresztą doskonale potrafię sobie wyobrazić, jak ona pod szatami wygląda – dodał. – Nosi miękkie szaty... Myślę, że mógłbym ją nagą wyrzeźbić z wyobraźni i pomylić się bardzo niewiele.

– Gratulować takiej pewności siebie.

– Może gratulować, ale wiem, co mówię.

– A następne zamówienia?

– Pewnie sam Theodorik. To będzie ciężka robota, bo on albo wyjeżdża, albo jest stale zajęty. Potem może dwóch jego małych synków.

Chwilę ucztowali w milczeniu.

– Niedługo trzeba będzie zrezygnować z węgorki – zauważył Adalgirk.

– Dlaczego?

– Kiedy zaraza rozszerzy się na całą tetrarchię, do Ultum zaczyną spływać rzeką trupy. Węgorki żywią się trupami.

Caneva popatrzył nieprzytomnie.

– Zaraza?

– Chyba, mistrzu, tylko wy jeden jeszcze nie wiecie. Zaraza. Nie ma co do tego wątpliwości. Dotarła tu z Retxii Romanii czy Dacji. Myślę, że przywłókł ją ten handlarz rysi i niedźwiedzi, Medwydney; oczywiście on sam się zapiera.

– To zjedzmy tego ostatniego węgorka – zaproponował pogodnie Caneva. Zaraza nie wzbudziła jego zainteresowania. Myśli krążyły wokół pracy, choćby jak zacząć zbierać skałę, by spod niej bezbłędnie wyłoniły się uda Irmeny.

Magdalena przebywała w domu Adalgirka codziennie; przychodziła wczesnym rankiem, wychodziła wieczorem. Oprócz zwykłej pracy, przepisywania tekstów, zarządzała gospodarstwem domowym. Mogła wielu z tych obowiązków uniknąć, ale widać nie starała się.

On też przyzwyczał się do niej, polubił te chwile, kiedy przychodziła. Powtarzał sobie żartobliwie, że gdyby Geniusz był kobietą, to właśnie Magdalena mogłaby być duchem opiekuńczym Adalgirka. Ostatecznie, trudno się dziwić. Jestem dużo wyższy niż wielu jej ziomków – myślał chętnie. – Musiała się mną zainteresować.

Ona również stała się wkrótce dla niego kimś więcej niż sprawnym domowym administratorem. Nie wiedzieć kiedy, polubił patrzeć, jak sprawnie stawia litery na zwoju księgi; na kosmyk złotobrazowych włosów, który wymykał się jej spod chustki. Lubił, gdy podnosiła duże, błękitne oczy z niemym zapytaniem, kiedy on nieco dłużej układał w myśli kolejne zdanie. W tych chwilach Magdalena była piękna. Nie lubił jej zbyt dużych dłoni; kiedyś przemrożone, miały niemiłą skłonność do czerwienienia; nie lubił jej profilu, który wydawał się mu zbyt prostacki, bo taki nieregularny. Nos może zbyt wystający, czoło chyba zbyt pochyle.

Dość długo był już bez kobiety, a wizyt w miejscowym lupanarze nie chciał ryzykować z powodu zarazy, która rozszerzała się wolno, ale nieustannie. Choroba trwała na ogół dość długo i zwykle kończyła się śmiercią. Tylko najbogatszych było stać na pomoc medyka, która też nie dawała gwarancji wyzdrowienia. To wystarczało, by chwilowo odstraszyć od kobiet za pieniądze. O pięknych, niezależnych heterach nikt w Ultum nie słyszał (co mogło być sprawką Irmeny).

Adalgirkowi nie pozostało nic innego, jak rozpocząć grę, w której reguł nie ma, chociaż istnieją skuteczne metody postępowania. Wykorzystywał każdą okazję, by nieznacznie dotknąć palców Magdaleny, gdy coś mu podawała, bądź lekko położyć dłoń na jej dłoni, by ją powstrzymać, gdyż właśnie przyszła mu lepsza myśl i postanowił zmienić dyktowane zdanie. Zawsze wcześniej dyskretnie wycierał dłonie z potu, by skóra jego palców była sucha i przyjemnie szorstkawa.

Nie unikała tych delikatnych zetknięć, lecz jej twarz barwił wtedy leciutki rumieniec.

Z czasem, gdy mijał Magdalene lub gdy szli razem, zaczął delikatnie niby przypadkiem obejmować ją w pasie. Nie unikała jego ramienia, nie protestowała, raczej sama zdawała się wtulać w jego objęcia.

Był niemal pewny, że może zaryzykować wyznanie. Ryzyko zblażnienia wydawało się niewielkie, a i powstrzymać się było mu trudno, chociaż starał się pamiętać, że Magdalena jest osobą wolną. Nawet nie pomyślał, że mógłby ją poślubić, dzieliła ich zbyt duża różnica stanów. Zresztą, Żydzi mieli swoje dziwaczne obyczaje i również z tego powodu ożenek był prawdopodobnie niemożliwy. Pewnego pochmurnego poranka podyktował jej parę akapitów o niesprawności Theodorika w walce z epidemią. Magdalena potulnie pisała, choć jakby otrząsając się z odrazą.

Przypominała kota, złapanego za skórę na karku i przemocą wleczonego w stronę, w którą udać się nie ma ochoty. Jeśli była zausznicą Theodorika, nie powinna okazywać takich uczuć. To zaś, że je okazała, dodało Adalgirkowi pewności.

– Dlaczego piszesz takie rzeczy, panie? – prychnęła wreszcie. – Przecież Theodorik nie może zrobić nic więcej. Palone są domy i dobytek zmarłych na zarazę. Trute szczury. Sypią truciznę do mętnych bajor i kanałów, by nędzarze nie czerpali z nich wody, a tylko z rzeki. Theodorik osobiście kieruje tym wszystkim, pomimo że jego żona rozchorowała się jako jedna z pierwszych...

– Nie chciałbym mówić teraz o Theodoriku – przerwał jej. Oschły, służbowy ton, jakiego używał, mówiąc o tetrarsze, gdzieś znikł. Adalgirk mówił przyjemnym, ciepłym, niskim głosem.

Magdalena podniosła błękitne oczy znad zwoju raportu. W tym momencie była naprawdę piękna.

– Dopisałaś już?

– Tak.

– Dobrze. Chciałem porozmawiać o nas. O nas obojgu.

Spokojnie obserwował, jak rumieniec pokrywa twarz Magdaleny, a jej oczy zaczynają błyszczeć. To upewniło go, że może powiedzieć więcej. Odetchnął z ulgą, nieco przesadnie, by to zauważyła.

– Przychodzisz codziennie i wtedy wszystko jest na swoim miejscu – zaczął. – Gdy wieczorem wychodzisz, zabierasz ze sobą sporą część mnie, mojego serca. Chciałbym, żeby było inaczej, żebyś była tu na stałe. – Zawiesił głos i postanowił zaryzykować: – Kocham cię, Magdaleno.

Umilkł, czekając odpowiedzi.

Opuściła pióro, stawiając dużego kleksa na zwoju raportu. Jutro trzeba będzie starannie to zeszkrobać.

– Ja... ale... ja... – bąkała, czerwieniąc się i blednąc. Jej oczy były teraz wielkie i wprost świeciły.

Adalgirk podszedł, ujął jej głowę w dłonie i przytulił. Odpowiedziała na uścisk.

– Wiesz, ja też... – wybąkała.

– Chcę, żebyśmy byli razem. – Puścił ją i usiadł obok, bacznie wpatrując się w jej oczy. To musiało wywrzeć efekt. Lekko odgarnął dłonią kosmyk jej brązowozłotych włosów.

– Adalgirk – wyszeptwała. – Przecież jestem Żydówką. Jak sobie to wszystko wyobrażasz? Nie mogę zostać twoją żoną.

– Chcę, żebyśmy byli razem – powtórzył. – I ty też tego chcesz.

Przysunął się do niej i spoważniał.

– Trzeba się tylko zastanowić, jak to urządzić – powiedział.

Magdalena drgnęła, wyczuwając zmianę w jego tonie: jakby dobił właśnie transakcji i przeszedł do omawiania drugorzędnych szczegółów.

– Oczywiście, nie możesz zostać moją żoną – powiedział. – To znaczy, formalnie możesz, gdyż już w Aletxandrión oddaliłem Trudę Barbarię, ale keysir, ani tym bardziej agost, nie zgodzą się na nasz związek. Zbyt duża jest różnica stanów, nawet zapominając o tym, że wywodzisz się z Żydów.

Magdalena milczała. Oczy wlepiła w posadzkę. Nie wiedziała, co sądzić o słowach swojego pracodawcy, w którym podkochiwała się już od dawna. Była szczęśliwa, ale intuicja podpowiadała ostrożność.

– Musimy to jakoś urządzić – zastanawiał się. – Przecież nie może być plotek... Wiesz, opinia, stanowisko... Takie tam rzeczy... Nasz związek nie powinien zniszczyć naszego życia, lecz wzmocnić nas oboje. Jak to zrobić?

Znowu ujął ją w ramiona, by upewnić o swoich uczuciach. Jej włosy pachniały przyjemnie, chociaż, jak każda Żydówka, nie używała pachnideł. Nie próbował dostać zbyt wiele za pierwszym razem, gdyż najprawdopodobniej nie dostałby nic.

Zwycięstwo należy starannie przygotować.

XXII

Wiedział, że aby ją dostać, musi sformalizować związek. Wrócił do tej sprawy po tygodniu.

– Myślę, że już wiem, co zrobić – powiedział, gdy Magdalena czesała jego włosy i z czułą troskliwością upinała w nich złocisty wieniec prokurtensa. Adalgirk wybierał się z wizytą do Theodorika.

Na jego słowa jej dłoń zadrżała i blaszany listek wieńca boleśnie drapnął go w czoło.

– Zawrzemy żydowskie małżeństwo. Przed twoim ojcem.

– Ale twoja kariera?... I wszystko inne...

– Możemy ukryć związek przed światem – ożywił się. – Oficjalnie ojciec sprzeda mi ciebie w niewolę, co przecież może uczynić jak każdy ojciec. – Poruszył głową i znowu nadział się na ostrą blaszkę.

Zainteresowana, odłożyła złocistą spinkę.

– Jednocześnie spiszę z nim tajną umowę ujawniającą wszystko oraz zobowiązującą mnie, że nigdy, póki ty żyjesz, nie poślubię żadnej kobiety. Do umowy dołączę list znieważający keysira i agosta. Będzie to rękojmia dla niego, gdybym nie wywiązał się z umowy. Wiesz, będzie mnie mógł zniszczyć, gdybym cię znieważył albo oddalił.

Westchnęła.

– Nie protestuj. Tak trzeba zrobić. Jestem uczciwym człowiekiem i mam czyste zamiary. Nie chcę, żeby pozostały jakiegokolwiek wątpliwości.

– Naprawdę chcesz zostać Żydem?

– A mogę nim zostać?

– Tak. Nowym Żydem.

XXIII

Adalgirk ukończył pierwszą część protokołu. Był z niej zadowolony. Zarzuty o niegospodarność Theodorika wyglądały na dobrze umotywowane. Główny powód wizytacji, upadek produkcji wina w Ultum, jakoś rozplynął się wśród innych, znacznie poważniejszych. O dziesięcioleciach srogich zim i chłodnych, deszczowych lat bardzo mało było w raporcie. Keysir Columbans nie powinien już pamiętać, co stało się pierwotną przyczyną wysłania Adalgirka do Ultum.

Oczywiście, Adalgirk nie mógł przesłać raportu drogą oficjalną, było jasne, że zostanie przez Theodorika przeczytany. Dla oficjalnej poczty podyktował Magdalenie oficjalną wersję, która opisywała obecny stan Ultum surowo, ale raczej rzetelnie. Stanowiła całościowy opis gospodarki, sytuacji ludnościowej i panujących nastrojów. Nieco zarzutów i sporo uszczypliwości wplótł dla pozoru wiarygodności tej wersji, gdy wpadnie ona w ręce tetrarchy.

Dla przesłania wersji prawdziwej zamierzał wykorzystać handlarza Medwydnyja. Sprawdził tę drogę: wysłał krótki list do Columbansa i otrzymał nietkniętą odpowiedź. Niestety, Medwydnyj nie mógł na razie opuścić Ultum, gdyż Theodorik w obawie przed rozszerzaniem się zarazy obstawił

zbrojnymi pikietami wszystkie punkty graniczne. Przepuszczano tylko imperialną pocztę, i to nie posłańców, lecz same przesyłki wędzone uprzednio w oparach siarkowych.

Adalgirk podejrzewał, że obsadzenie granic wojskiem to wybieg Theodorika tym czytelniejszy, że zaraza już zdążyła przeniknąć do Ultum. Argument tetrarchy, że chce ochronić dalsze prowincje na południu, nie miał sensu, kiedy i tak docierali do nich podróżni z Dacji. Drugi, że ogniska zarazy w Ultum zaczynają same wygasać, też był słaby. Adalgirk sądził, że choroba uderzyła tylko w podatnych na nią, oszczędzając innych, których lepiej ochronili ich bogowie. W takim przypadku wszelkie kordony, czy kwarantanny nie miały innego sensu, jak tylko przeszkodzenie w przesłaniu Columbansowi tajnej wersji raportu.

Theodorik hołdował poglądom innych, medyków. Przekonała go Irmena, która zanim poślubiła Theodorika, przez trzy lata studiowała wraz z bratem w szkole Orthocelsusa Hyperboreja. Za Hyperborejem też Irma twierdziła, że choroba nie rodzi się w człowieku samoistnie, lecz jest przenoszona przez niewidzialny, acz śmiertelny nośnik. Dlatego Theodorik wiele wysiłku wkładał w działania, mające zniszczyć nośnik zarazy: żołnierze palili domy i dobytek zmarłych na zarazę; zatruwano bajora z mętną, nieruchomą wodą, by zmusić ludność do picia wody bieżącej. Mówiono: „Theodorik truje ryby”, co nie było prawdą, gdyż stawy rybne tylko osadzono wojskiem, by nie pito z nich wody.

Brakowało wojska do tych zadań, więc Theodorik powołał pod broń samotnych, młodych mężczyzn z niższych rangą stanów wolnych. Takie zbrojne grupy, kongregulii, dowodzone przez żołnierzy, mogły podołać niezbędnym działaniom. Kongredzy byli opłacani żywnością, bo traktowano to jako służbę, ale nie brakowało ochotników, gdyż wśród kongregulii zaraza właściwie się nie szerzyła. Pojedyncze przypadki izolowano, jak kiedyś nauczał wielki Orthocelsus Hyperboreja.

Ostatnio, zbyt często, niemal na każdym kroku zauważał Adalgirk nieznośne i niezrozumiałe objawy sympatii ludu Ultum do swojego władcy. Trudno będzie zmusić ich do posłuszeństwa, jeśli Columbans zdejmie z tronu Theodorika, a wyniesie Adalgirka. Temu przecież miała służyć tajna, prawdziwa wersja raportu.

Tymczasem Theodorik z wielką energią kierował obroną przed zarazą. Więcej czasu spędzał poza Ultum niż w stolicy, mimo że Irmena zachorowała już na samym początku plagi i ciągle leżała w niemocy. Gdy rozwinęła się jej choroba, Theodorik spędził przy niej cały tydzień, zanim wziął się do działania. Mówiono, że przy jego energii zaraza w ogóle nie zaatakowałaby Ultum, gdyby nie stracił tych siedmiu dni. Mówiono też, że to właśnie Irmena odpędziła załamane go władcę od łoża boleści, zmuszając, by zajął się swym krajem.

Dwa ostatnie słowa wypowiedziane przez Magdalene dały Adalgirkowi do myślenia. Podejrzenie, że w Ultum działa zamaskowana sekta Nowych Żydów okazało się prawdą. Magdalena stawała się tym cenniejsza, jako potencjalny łącznik z ludźmi, do których od dawna chciał dotrzeć.

– Czy trudno będzie mi zostać Nowym Żydem? – zapytał ją, gdy znowu byli razem.

– To zależy od ciebie. Po pierwsze, musisz chcieć.

– Przecież wiesz.

– No dobrze. Musisz poznać naukę Marii z Galilei.

– Maria Szalona? Ostatnia prorokini Izraela? – Nie zdołał powstrzymać cichego gwizdu. – Więc ona rzeczywiście istniała?

– Nie obrażaj jej, skoro chcesz zostać jej uczniem – skarciła. – Nie była szalona. To specjaliści od ogłupiania, płaceni przez Iamporiu, próbowali ją ośmieszyć.

Nie odezwał się.

– A czy istniał Carolus Maguns Basilicus, a Dioklecjan Agost, a Gajus Julios Keysir...? Wszyscy twórcy architektury społecznej Iamporiu?

– Ale w ich przypadku mamy szereg świadectw, kronik...

– A czy istniał Adalgirk Quintus, agostiański prokurtens, zapyta ktoś za tysiąc i osiemset dwadzieścia lat – powiedziała, drocząc się Magdalena. – Tak, są świadectwa o Marii, też pisane, chociaż administracja tropi marian, odkąd powstali.

– Nie znam nauki Marii z Galilei. Studiując w Aletxandrion, przygotowałem traktat o religiach, ale do nauki mariańskiej nie zdołałem dotrzeć – stropił się ostentacyjnie.

– Maria miała widzenie objawione. Anioł powiedział jej, że została wyznaczona, aby z niej narodził się Bóg jedyny – mówiła Magdalena spokojnie, ciepłym głosem. Widać było, że mówi o tym z przyjemnością.

– Bóg Żydów? – Adalgirk nadstawił uszu. Starych czy Nowych, filozofia Żydów mogła wieść na te same manowce.

– Skoro jest jeden, to nie może być tylko bogiem Żydów. Po prostu Bóg.

– Mów dalej.

– Bóg jednak odrzucił ten świat. Nie stał się jego częścią przez ciało jakiegoś człowieka. Zmienił swój zamiar.

– Zmienił zamiar?

– Tak. Może uznał, że nie zasłużyliśmy na tyle miłosierdzia.

– To okrutne.

– Nie, ponieważ miał do tego prawo, a poza tym odrzucając świat, zostawił niektórym z nas drogę do swojego królestwa.

– Niektórym z nas? Czy na przykład mnie też?

– To zależy tylko od ciebie, czy pójdziesz drogą do Boga.

– To co byłoby, gdyby wstąpił do naszego świata, jak planował?

– Byłoby nam łatwiej iść do Niego. Miał sam unieść stąd ze sobą część zła, aby nam było łatwiej. Anioł powiedział Marii, że pozostawia w Jej rękach łaskę. To nie jest tak wiele łaski jak wtedy, kiedy by Bóg wstąpił w świat, który stworzył, ale dość, by zbawić wszystkich ludzi.

Adalgirk chodził tam i z powrotem z założonymi do tyłu rękami. W głowie kotłowały się myśli: starał się nadażać za wywodem Magdaleny, gdyż słuchał nie znanych sobie tez filozofii Nowych Żydów, a jednocześnie rozważał, dlaczego Theodorik przygotował taką właśnie pułapkę... Precyzja słów Magdaleny znaczyła, że wywiad tetrarchy głęboko przesiąknął do tajemniczej gminy, a jednocześnie władca słowem nie zdradził się przed Adalgirkiem, szykując cios. Mistrz gry – pomyślał z niechętnym uznaniem. – Chyba że to jest zwykły przypadek...

– A co należy robić, żeby otrzymać tę łaskę? – rzucił, zatrzymując się.

– Trzeba zmienić całe swoje życie. Musisz kochać ludzi.

Uśmiechnął się.

– Nigdy nie stroniłem od miłości. Jeśli chcesz, opowiem ci dokładnie o moich kobietach.

– Może je raniłeś, nie kochałeś? – Popatrzyła surowo. – To zupełnie inny rodzaj miłości. Dodatkowo musisz raz na zawsze zrezygnować z zemsty... Rozumiesz?

– Przecież każda kara jest formą zemsty. Czyżby Maria była wrogiem instytucji Iamporiu Iatternu? Znaczy, nie dopuszczała władzy?

– To co innego. Powinieneś zawsze, kiedy postępujesz wobec innego człowieka, robić tak, jakbyś chciał, żeby z tobą postąpiono, gdybyś to ty był na miejscu tamtego.

– Ale cała architektura społeczna oparta jest na przymusie i przemocy. Jakże inaczej można zapewnić sobie posłuch?

Rozłożyła ręce bezradnie. Pytał przecież prokurtens Iamporium.

To najbardziej wywrotowa nauka, jaką słyszałem – pomyślał Adalgirk. – Ciekawe, ile w tym

jest nauki marianów, a ile spreparował Theodorik, aby zarzucić na mnie swą sieć?

Zapatrzył się w okno, z którego odsunięto kotarę, bo dzień był ciepły i słoneczny.

– Zostaw mnie samego, Magdaleno – przemówił po chwili, nie odwracając głowy. – To zbyt wiele naraz. Muszę to wszystko przemyśleć, pogodzić się jakoś z tezami Marii.

Magdalena po chwili wyszła, zdziwiona jego nagłym duchowym oddaleniem i tym, że nawet nie objął jej na pożegnanie.

XXV

Theodorik szybkim krokiem przemierzał korytarz. Po drodze cisnął usługującemu niewolnikowi rękawice od konnej jazdy.

Irmenę właśnie przeniesiono z sali przeznaczonej na pracownię Canevy do jej sypialni.

Zastał żonę, gdy niewolnice okrywały ją dokładniej i krzątały się wokoło. Irma odprawiła służebne skinieniem głowy, zanim zdążył się odezwać.

Dokładnie okutana w skóry i aksamit, nie drżała z zimna.

– Ile razy jeszcze każesz mi wyjeżdżać? – zaczął z wyrzutem, ale oczy ich obojga już śmiały się do siebie. Schorowana, wybladła twarz Irmy rozbliły na widok Theodorika wewnętrznym światłem. Chciał podejść blisko i wyciągnął ręce, by wziąć ją w ramiona.

– Nie! – cofnęła się odruchowo. – Zostań tam, przy nogach. Musimy przestrzegać reguł. My oboje nie możemy chorować jednocześnie.

– Nie ma to dla mnie znaczenia. – Wzruszył ramionami, siadając jednak na samym skraju łoża.

– Mylisz się – powiedziała ciepło. – Twoje życie to służba, nasze życie to służba dla Ultum i dla Iamporiu. Sam mi to powiedziałeś, kiedy mnie poślubiłeś. Wtedy ja uważałam, że to za trudne...

– Nie zmieniłaś się wiele od tamtego czasu – powiedział czule, choć bez przekonania. Irma wychudła, jej ciemnomiodowe włosy były matowe i łamliwe.

– Nie zdążyłam – parsknęła. Była znowu śliczna, kiedy się śmiała, jej duże, ciemne oczy zdawały się jaśnieć naturalnym blaskiem, nie gorączką. – Przecież nie było to aż tak dawno... A teraz...? – Machnęła lekceważąco smukłą dłonią. – To kiedyś minie, w ten, czy w inny sposób...

– A jak się dzisiaj czujesz?

– Nieźle, ale nie podchodź. – Podciągnęła się na łokciach i usiadła, zsuwając przykrycie. Była tylko w cienkiej, przeświecającej bieliźnie. Chciała, żeby zobaczył, że nadal ma ładne, jędrne piersi.

– Jakoś nie widać tych wrzodów.

– Są, jest ich dosyć. Jedne się goją, inne otwierają. Zaczynam przypominać mapę wojskową.

– Może być. Potrafię odpowiednio poślu... czytać mapy wojskowe.

Oboje roześmiali się, chociaż ona ciszej.

– Jak długo będziesz mnie trzymać na tak daleki dystans?

– Ja nadal zarażam, Theodoriku. Już dwie niewolnice złapały to ode mnie. Jedna jest umierająca.

Podniósł brwi pytająco.

– Aurelia – odpowiedziała. – Ale ty musisz koniecznie przestrzegać zaleceń medyka.

– Sama jesteś lepszym medykiem niż Qabelar.

– Moje zalecenia są właśnie takie – powiedziała z profesjonalną mocą.

– A ja? A mnie ile razy jeszcze będziesz skazywać na wygnanie? Więdnę bez ciebie, Irmeno.

– Ja też więdnę... Tak być musi. Przynajmniej Ultum ma z ciebie pożytek. Szpiedzy donoszą, że ludzie chwalą swojego władcę. Nawet niewolnicy.

– Niewolnicy zawsze myślą to samo, a szpiega wyczuwają instynktownie.

Irma zbladła nieco i osunęła się na posłaniu.

– Ach!

Podskoczył ku niej.

– Nie. Nie podchodź – powiedziała cicho, ale nieoczekiwanie twardo. – Po prostu zakręciło mi się w głowie. Theodoriku, kochany, wezwij, proszę, jakąś niewolnicę, może Argentę, muszę trochę odpocząć. Nie złość się, Theodoriku. I proszę, zajrzyj do Aurelii, zanim umrze. Ona zasługuje na to.

Theodorik spełnił prośbę Irmeny. Zgodnie z rozkazem pani, Aurelia leżała w jednej z jej komnat, a nie w izbach niewolników. Była sama na drewnianej pryczy przyrzuconej kilkoma skórmi wyleniatymi w służbie władcom.

Naga, bo szkoda odzieży dla umierającego niewolnika, spocona, gorejąca wewnętrznym płomieniem, zżerana zarazą. Zawsze dotąd jawiła się Theodorikowi jako piękna oprawa pięknieszego klejnotu. Tak dalece wiązał ją z Irmeną.

Choroba okazała się okrutniejsza dla Aurelii niż dla Irmeny. Żebra sterczały przykro wyraziście, wychudłe, zwiotczone piersi płasko zsunęły się na boki, patykowate nogi i ramiona kontrastowały z wyduętym brzuchem; dawną gładkość skóry zastąpiły gruzły, strupy i czerwone blizny.

Tylko oczy błyszczały w gorączce.

– Dlaczego przyszedłeś, panie? – spytała. – Zwierzęta i niewolnicy umierają w samotności.

– Właśnie dlatego przyszedłem, bo umierasz.

– Może nie chciałam, żebyś mnie taką widział...

– Jestem twoim panem, Aurelio.

– To prawda. Zresztą, gardziłeś mną, kiedy byłam zdrowa i piękna... – zawahała się. – Piękniesza – dodała nieśmiało.

Theodorik uniósł brwi.

– Gardziłem?

– Tak. – Kiwnęła szybko głową. – Pani Irmena powiedziała, że jestem dla ciebie. Więc czekałam.

– Pani Irmena tak powiedziała?

– Właśnie tak. Dużo rozmawialiśmy o tobie. Jaki jesteś.

– Po co?

– By cię uszczęśliwić, jeśli zechcesz. Myślę, że poznałam cię dobrze z jej słów.

– Jesteś dziewczyną, Aurelio?

– Oczywiście. Inaczej pani kazałaby mnie ściąć. Przecież byłam dla ciebie.

– Trudno z tym ci było?

– Niespecjalnie. – Niezdarna próba uśmiechu napięła skórę i upodobniła jej twarz do czaszki.

Pomyślał, że tak wycieńczona kobieta nie powinna próbować zalotów.

– Kochałaś mnie, Aurelio?

– Przedmiot kocha właściciela, niewolnik też powinien.

– Nie o tym myślałem. – Niezdarnie machnął rękoma. – Ale czy więcej?... – zapytał niepewnie.

– Cóż to ma za znaczenie? Przecież i tak odchodzę...

Poczuł ogromne zakłopotanie. Codziennie oglądany przedmiot, no, powiedzmy, obiekt, ujawnił przeraźliwie ludzką naturę. Lepiej było nie wchodzić w głębię tej duszy.

– Nie musisz odpowiadać.

– Dobrze – wybawiła go z kłopotu.

– Aurelio, chcę ci podarować wolność – powiedział poważnie.

Głęboko westchnęła.

– Wreszcie. Właściwie czekałam na to, Theodoriku.

A jednak dotknęło go, że niewolnica zwróciła się doń po imieniu.

– Ty?

– Tak. Mówiłam ci, że wiele o tobie rozmawialiśmy... Znam cię na tyle.

Trudno było się złościć. Tym bardziej że coraz lepiej rozumiał, jak bliską osobę traci. On tę bliskość zauważył dopiero teraz. Dlatego Irmena tak nalegała, by porozmawiał z Aurelią.

– Wiedziałam, że taki dzień nastąpi.

– Szczęśliwy dzień? – spytał, znowu niezbyt pewnie. Oczekiwał wybuchu radości za wyświadczoną łaskę, a tu po prostu... spodziewano się tego. Zrobił ledwie tyle, ile oczekiwano.

– Szczęśliwy, jeśli potem umrę – mruknęła.

– Ty bredzisz, Aurelio?

– Jeśli chcesz sprawdzić, to wezwij pana Qabelara do tego bezsensownego, podziurawionego worka na duszę, jakim obecnie jestem.

– Jesteś przede wszystkim arogancka.

– Chwalę cię, panie. Nie wezwałbyś przecież weterynarza do niewolnicy, jak czyni wielu panów, ale swojego najlepszego medyka... najlepszego po pani Irmenie... – Uniosła się na łokciu.

Próba chichotu przerodziła się w kaszel.

Odruchowo chciał podejść i podeprzeć jej głowę.

– Nie zbliżaj się! – syknęła.

– Tak... Ale wyjaśnij, co miałaś na myśli – rzekł ostrzej, prawie rozkazująco.

– To proste. Jako wolna kobieta, znalazłabym się w bardzo kłopotliwej sytuacji wobec mojej ukochanej pani. Ciało niewolnicy władczyni może władcy podsunąć, ciało wolnej kobiety, nigdy! Ale jest dobrze, ja umrę... – wysapała. Rozmowa bardzo ją jednak męczyła. – Widzisz, Theodoriku, ja ciebie i kocham Irmenę najbardziej spośród ludzi, a zaraz potem ciebie. Naprawdę. Jako niewolnica i jako wolna.

– Lepiej zdejmę ci opaskę z czoła na znak uwolnienia. Tatuażysta umieści odpowiednią sentencję na tle twojego piętna.

– Ani się waż. Niech to zdejmie jakaś inna niewolnica.

– Tak, racja – westchnął władca, któremu kilkakrotnie, w ciągu paru minut, wykazano bezsilę. – Masz rodzinę?

– Nie wiem, czy ktoś jeszcze żyje. Są zapisani w rachubie. Wiem, że ich dobrze zaopatrzysz. Przecież taki jesteś, panie. – Lekko opadła na posłanie. – Chociaż na to nie zasługują. Już raz im za mnie płacono...

Wzruszył ramionami.

– Panie, dziękuję za to, co zrobiłeś – powiedziała. – Moje życie skończy się wspaniałym dniem.

– Zezwalam ci, wolna Aurelio, mówić do mnie po imieniu.

– Ach, Theodoriku, to ostatnie zdanie było najwspanialsze. – Skrzywiła się boleśnie. – Roześmiałabym się, gdyby mnie wszystko tak nie bolało.

– Wezwać kogoś?

– Nie warto. Wiesz, może skorzystam z mojego prawa jeszcze ze dwa razy... To znaczy, oficjalnie. Bo dotąd zawsze tak myślałam i mówiłam o tobie do Irmeny.

Theodorik pokiwał głową. Aurelia umierała, ale właściwie pogodnie, z ironią. Może zdrowa, była równie filuterna jak jej pani?

– Lepiej już idź... To jeszcze nie ta chwila... Zbyt długo musiałbyś czekać. Proszę, wezwij jakąś niewolnicę.

– Dobrze.

– Nie jesteś tak chłodny i oschły, za jakiego chcesz uchodzić – rzuciła za nim.

Czy oprócz Irmeny i Aurelii jest jeszcze ktoś w tym pałacu, kto tak o nim mówi? Szkoda, że ona odchodzi. Szkoda, że z ludźmi można szczerze rozmawiać, dopiero kiedy umierają.

XXVII

Medyk Qabelar krzątał się w sąsiedniej komnacie. Praca z przemądrzałą, a na dodatek wykształconą pacjentką nie należała do łatwych. Każdą decyzję musiał konsultować, wyklócać, w księgach wynajdować powody i uzasadnienia.

Piekielna wiedźma ma absolutną pamięć, wielokrotnie powtarzał to do siebie. Choć oczywistą zaletą sytuacji było, że nie musiał kłamać, jak w innych przypadkach. – A on nawet nie to, że nie umiał, po prostu nie lubił kłamać.

Dzisiaj, niestety, wyjaśnienia zażądał przybyły do Ultum władca. Theodorik oczekiwał prawdy.

– Czy przeżyję tę prawdę, jasny panie? – odpowiedział Qabelar pytaniem na pytanie i śmiało spojrział w oczy tetrarchy.

Theodorik spiorunował wzrokiem zuchwałego medyka.

– Gwarantuję, że tym razem tak.

– Irmena nie ma żadnych szans. Musi wkrótce umrzeć. Walka została przegrana.

Theodorik szarpnął się jak spętane zwierzę. Chciał zbesztać Qabelara i krzyknąć, że nie będzie dłużej płacił nieukowi. Zaraz jednak przypomniał sobie, ile zapłacił, by wielki Qabelar opuścił Tertium Cartxago i zamieszkał w Ultum. Spojrział na spoconą łysinę, pokornie zgiętego lekarza.

– Ale dlaczego? Przecież to trwa tak długo, inni rozchorowują się, umierają, a ona wciąż żyje. Niewolnica zdążyła się zarazić, zachorować i umrzeć, a Irma żyje.

– Dzięki medykamentom. Niewolnica i wielu innych też jeszcze by żyli, gdyby ich leczono. Choroba Irmeny przeszła w formę przewlekłą i powoli niszczy organizm chorej.

Theodorik poczuł, że drży mu powieka. Jeszcze chwila i przestanie nad tym panować.

– Ile będzie jeszcze żyć?

– Dwa do trzech tygodni.

– Ależ w dwa do trzech tygodni zdołam stłumić zarazę w Ultum!

– Tak. A wtedy umrze Irmena. Po niej jeszcze przez jakiś czas umierać będą inni, których dosięgła przewlekła odmiana plagi.

– Czy trzeba coś sprowadzić? Jakieś rzadkie specyfiki, które dałyby jej szansę? Nie licz się z kosztami.

– Ma wszystko, co niezbędne, ale to nie dość. Nie sądzę, jasny panie, żeby ktoś z moich zacnych kolegów w boskim Aletxandrion, albo nawet w dalekim Capitum Indicum, wiedział więcej o tej chorobie niż ja.

– Może jednak Irmena zdoła ją pokonać...

– To znikoma szansa. Gdyby zdołała pokonać chorobę, to poprawa byłaby już od dawna widoczna. Ona umrze nie na zarazę, lecz na jej następstwa.

Theodorik zaplótł palce, aż trzasnęły stawy.

– Mogłem ten czas spędzić przy niej!

– Niczego nie wyrzucaj sobie panie. Dzięki temu ty się nie zaraziłeś, rzeką nie płyną trupy, a wsie nie wyludniły się. Plaga została powstrzymana. Irmena miała tu najlepszą możliwą opiekę, twoja obecność niczego by nie zmieniła.

– Ach! – warknął tylko Theodorik, powstrzymując wybuch.

Ty cholerny lizusie! Nie masz odwagi mnie obwinić, bo drżysz przed moim gniewem – pomyślał.

Szybkim krokiem wyszedł z komnaty.

XXVIII

Wzburzony, trafił do pracowni rzeźbiarza. Caneva krzątał się wokół okazałego posągu Irmeny. Rzeźba była prawie gotowa.

Zgarbiony Caneva drobnymi, precyzyjnymi ruchami pędzla zmieniał półprzezroczysty, blad różowy kamień w idealną niemal replikę tkaniny. Stonowane, pastelowe kolory nie konkurowały z pięknem modelki. Caneva był mistrzem w rzeźbieniu tkanin i był mistrzem w rzeźbieniu kobiet.

– Dobra farba, dobrze wsiąka. Tak zwracają się, jasny panie, twoje pieniądze wyłożone na moje materiały – zagadał do Theodorika chmurnie przyglądającego się jego pracy.

Władca milczał. Irmena lekko pólleżała na stosie poduszek; miękka choć kamienna szata łagodnie układała się, skrywając, ale jednocześnie dając wyobrażenie o pięknych kształtach modelki. Prawe ramię Irmena unosiła ku Theodorikowi, niemo zwracając się ku niemu; lewym zgiętym w łokciu wspierała się o łożo. Caneva bezbłędnie oddał kształt jej ramion i szczupłe, długie palce. Nogi wysuwały się spod szaty ledwie do pół łydki, nawet małe paluszki stóp wyglądały dokładnie tak, jak je Theodorik zapamiętał. Sygnet na palcu Irmeny nosił znak jej rodu, jedynym zaś insygnium był diadem tetrarchini.

Theodorik milczał.

– Pani sama wybrała strój, w jakim ją wyrzeźbiłem – odezwał się Caneva niepewny, czy nie zobaczył i przedstawił w kamieniu zbyt wiele. – Poduszki i narzutę też.

Theodorik jakby się ocknął, pokiwał głową z uznaniem.

– Świetnie dobrane. Jestem zdumiony twoją pracą, mistrzu. Egłar z Turms nie wspomniał, że przesyła mi tak wielkiego artystę – chwalił Canevę, ale jego spojrzenie pozostawało mroczne.

Ręce Canevy zaczęły drżeć. Musiał przerwać pracę. Udał, że miesza farbę. Theodorik pochylił się, by sprawdzić, czy na sygnecie poprawnie oddano symbol Batavum. Tu też nie było błędu.

Caneva bał się. Odważył się zaznaczyć sterczące końce piersi władczyni odznaczające się przez wyrzeźbioną tkaninę. Wyglądały przesadnie, ale Caneva był pewien, że nie przerysował. Właśnie takie były, tam pod szatą.

Mówiono, że Theodorik bardzo kocha Irmenę. Musiał być o nią zazdrosny. Z własnej woli oddalił poprzednie nałożnice. Caneva zdążył poznać jego zdecydowanie i energię. Połączenie śmiertelnie groźne dla rywala, nawet pozornego.

A jednak Caneva nie potrafił zmusić się do fałszu. Chciał, by posąg dokładnie oddawał to, co jemu było dane oglądać w chłodnej pracowni: kobietę niezwykle zmysłowo piękną i świadomą swojej urody. Rzeźba był bezbłędna, ale ujawniała jego skrywane uczucie; może będzie to ostatnia rzeźba Canevy.

– Będziesz miał jeszcze sporo pracy z tą rzeźbą, mistrzu Caneva – odezwał się wreszcie Theodorik.

– Taak?... Przecież ci się podoba.

– Chcę, żebyś skuł szaty z Irmeny. Chcę, żeby to był posąg nagiej tetrarchini.

– Panie, ależ... – wybąkał przerażony.

– Irmena będzie ci pozować.

Toś przepadł, Antoniusie... – powiedział do siebie w myśli Caneva. To jasne, gdy skończy, zazdrosny małżonek każe go stracić.

– To niepotrzebne, jasny panie. Znam kształty kobiet. Mogę rzeźbić z wyobraźni, a ty skorygujesz moje pomyłki swoimi uwagami. Choć wynik będzie bezbłędny, zaręczam.

– Nie. Chcę, żebyś wyrzeźbił nagą Irmenę, a nie swoje wyobrażenie.

– Za co chcesz mnie karać, Theodoriku? Czy nie lepiej, jeśli mój talent nadal będzie służył ludziom?

– Nie zabiję cię potem, mistrzu – powiedział Theodorik. – Ale pośpiesz się. Irmena ma przed sobą dwa tygodnie życia.

Caneva wciągnął ze świstem powietrze. Dotąd, choć dbał, by nie zbliżać się zanadto do zakaźnie chorej, nie brał pod uwagę możliwości, że ta modelka może umrzeć. A jednak. Dobrze, że przynajmniej jej głowę i ramiona wyrzeźbił już wcześniej, obecnie musiałby ukrywać oznaki wycieńczenia i wychudzenie władczyni... A więc ta wspaniała budowla jej ciała, godna dłuta mistrza, wkrótce rozpadnie się w nicość. Poczul głęboki żal. Ach, właściwie potem Theodorik może go ściąć...

– Dobrze, jasny panie – wystękał z wysiłkiem. – Ale, proszę, zachowaj istniejący posąg, jak jest. To najlepsza rzeźba, jaka wyszła spod dłuta Canevy.

Theodorik uniósł brwi.

– Pozwól mi rzeźbić drugi posąg. Sprowadziłeś dwa bloki skały, licząc, że mogę się pomylić. Pracując bez przerwy, zdążę w dwa tygodnie. Ale nie każ mi niszczyć tego, co już jest.

Theodorik błysnął spojrzeniem. Zacięta, mroczna twarz wygładziła się w smutnym uśmiechu.

– Dobrze, mistrzu. Wykonaj drugą podobiznę Irmeny w alabastrze. Może być w tej samej pozie albo w innej, jeśli uznasz, że tak wygląda piękniej. Ale pośpiesz się mistrzu, byś zdążył... – Nie było w tym groźby, choć tak mogło zostać odczytane.

– Czy mogę skończyć tę pierwszą podobiznę? – zapytał nieśmiało Caneva.

– Tak, koniecznie, mistrzu... – odrzekł Theodorik już nieobecny myślami. – Muszę przekonać panią Irmenę, żeby zgodziła się pozować do drugiej rzeźby – mruknął do siebie.

Irmena zgodziła się, gdyż wiedziała, o co chodzi Theodorikowi. Jednakże długie godziny pozowania bardzo męczyły ją, dodatkowo pogarszały jej stan. W ten sposób Theodorik chcąc zachować jej obraz, ją samą tracił szybciej.

Magdalena oddała się Adalgirkowi, zanim zawarli żydowski ślub przed jej ojcem. Ufała mu, bo wprowadzany do gminy, tak szybko uczył się wiary i zaznajamiał z ich zwyczajami. Wierzyła bez zastrzeżeń jego zapewnieniom, dlatego nie mogła się mu oprzeć.

Jednakże urzeczenie piękną Magdaleną nie mogło przecież powstrzymać zamiarów Adalgirka. Musiał uderzyć, Magdalena nie powinna przy tym wiele ucierpieć. W istocie przecież uderzy w Theodorika, nie w jego piękną popiecznicę, zresztą Adalgirk nie był wcale pewny, czy rzeczywiście jest Żydówką.

W domach hierarchów Iamporiu panował pożyteczny zwyczaj nieustannego zaproszenia: co parę dni władca wysyłał znak wyróżnionej grupie najdostojniejszych, że nie byłby zniechęcony, widząc owe osoby. Z zaproszenia można było skorzystać lub nie, oznaczało ono jedynie, że jest się mile widzianym przez tetrarchę. Oczywiście należało powstrzymać się przed zbyt częstymi odwiedzinami; władca mógł przecież łatwo się znudzić. Dlatego na ogół korzystający z zaproszenia starał się wystąpić przed władcą z czymś istotnie nowym. Godność prokurtensa była na tyle wysoka, że zaproszenia tego nie mógł nie otrzymać, o Adalgirku pamiętano nawet wtedy, kiedy sprawa świętego niewolnika była jeszcze świeża. Oczywiście, wtedy prokurtens taktownie odmawiał.

Tym razem obiecał przyjść, chociaż posłujący od władcy Aristam specjalnie nie nalegał, jakby nie było szczególnego powodu, by gościć Adalgirka na dworze. Adalgirk nie oczekiwał od Aristama plotek czy dodatkowych wskazówek. Dawno już zorientował się, że prostolinijny Byffer pozostanie lojalny swojemu władcy, a ostra krytyka, jaką często słyszał z jego ust, wynika z rzetelnej chęci ulepszenia tetrarchii. Taki człowiek był dla Adalgirka bezużyteczny: co najwyżej powtórzyłby swoje miałkie zarzuty podczas przewodu sądowego, nie dodając nic ponad.

Adalgirk uczynił nawet więcej: pozyskał do płatnej współpracy Kvyblaha, niewolnika łąziebnego prefektury oraz kancelistę Jeruba. Z ich drobiazgowych raportów poznawał zwyczaje prefektusa, gdyż uważał, że szczególnie ważne jest kontrolowanie życzliwych ludzi. A właśnie stale skłóconego z Theodorikiem Aristama uważał za życzliwego sobie. Adalgirk wysłuchiwał obu, chociaż ten drugi, Jerub, niemal na pewno donosił też do samego tetrarchy.

Adalgirk wybrał ozdobny złoty wieniec, pozwolił Magdalenie go upiąć. Nie sprzeciwił się, kiedy usiadła mu na kolanach. Gdyby nie przykra rozmowa, do której właśnie duchowo się przygotowywał, wtuliłby twarz między jej piersi, kiedy skupiona i nieco podniecona krzątała się, łaskocząc go we włosy. Dłonie miała zajęte wieńcem i niby patrząc na robotę, co chwilę łapała spojrzenie Adalgirka i uśmiechała się. Gdyby tak bardzo nie spieszyła się z upinaniem diadem, nie poszedłby tego wieczora do tetrarchy.

Czasem ciężko być prokurtensem – pomyślał Adalgirk. – Mam nadzieję, że tobie nic się nie stanie... Wiedział, że ta druga myśl nie jest szczerą. Musi liczyć się z tym, że Theodorik wykona jakiś spektakularny gest, chociaż z pewnością oszczędzi swojej wiernej służce najgorszego.

Uspokoiło go to.

XXX

Trudno o bardziej ponure zgromadzenie. Theodorik, zasepiony, nie mógł spokojnie wyleżeć; zrywał się, łąził po komnacie, aż za nim gnał usługujący murex. Oficerowie przywykli w ostatnim tygodniu do niepokoju władcy, nie reagowali na jego nerwowość, lecz pili w ponurym milczeniu.

Uczętę popsowała wiadomość o śmieci Herminsa. Jego żona, której obowiązkiem było uczestniczenie w każdej biesiadzie, leżała na pościeli milcząca jak kłoda; piła jak oficer, by nie zapłakać. Mała Herminia nie skępowana zakazem poszłochiwała, wtulając rozgorączkowaną twarzyczkę w szatę matki, w końcu odesłano ją, by nie psuć nastroju biesiadnikom, jakby można było ten nastrój jeszcze bardziej popsuć. Wikt nużył monotonością, gdyż zamknięta granica zablokowała handel.

– Jak postępuje praca nad raportem, panie prokurtensie? – zagaił Theodorik, robiąc krótką przerwę w swej wędrówce donikąd. – Chyba przegląd już dokonany i pora pisać tekst. – Pociągnął łyk wina. – Zresztą i tak nie mógłbyś teraz wyjechać, nawet gdybyś już skończył – mruknął. – Zaraza sroży się w Rom znacznie bardziej niż w Ultum.

– Pobyt tutaj to dla mnie okazja, by poznać sprawność zarządzania tetrarchią, i muszę przyznać, że zasługuje ona na wysokie uznanie.

– Ach, tak, tak.

– A na dodatek, jakby w północnych krainach prawda była hyperborejska...

Theodorik spojrział z zainteresowaniem.

– Działania polecane przez Orthocelsusa, w Ultum przynoszą dobre owoce. W południowych tetrarchiach często lepiej skutkują zalecenia medyków hołdujących innym teoriom... – kontynuował Adalgirk.

– To trzecia zaraza za moich rządów. Najpoważniejsza. Za każdym razem starałem się postępować podobnie i udawało się powstrzymać plagę.

– Pierwsza zaraza nawet nam pomogła – wtrącił Smotana. – To było wtedy, gdy jazda Eglara z Turms przedarła się przez góry i zajęli Graun, twierdzę nad jeziorem na przełęczy. Stamtąd mieli całe Ultum przed sobą: prosto, w dół dolinę.

Adalgirk przechylił się i słuchał z widocznym zainteresowaniem.

– Podeszły wreszcie nasze siły, ale mniej liczne niż Eglarowe. Tamci osadzili się w Graun i planowali wypad. Wcześniej, żeby nas skruszyć, zrobili nam deszcz głów.

– Co?...

– No, deszcz głów... Wyrznęli jeńców i miotali ich głowy ze swoich machin w naszą stronę. Niektórzy nasi żołnierze mieli w Graun rodziny, bliskich...

Adalgirk skrzywił się, ale skrył twarz w dłoni.

– W naszych to tylko obudziło większą zaciekłość. My też mieliśmy sporo ich jeńców i zarazę wśród siebie. Ci jeńcy marli jak muchy. Więc zbudowaliśmy wielkie blidy, które miały większy ładunek i nosły dalej niż maszyny Eglarowych i zrobiliśmy im deszcz, z głów, rąk, nóg i kadłubów. To byli ich koledzy, a dla pewności kazaliśmy żywym jeńcom wypisywać imiona na tych rękach, nogach i kadłubach. Bo po twarzy to widać, która czyja, a po reszcie to tylko żona pozna, no nie?... – Smotana zachichotał. – Nie trzeba było zabijać ani jednego jeńca, sami umierali.

– Podziwu godna ekonomia. – Adalgrik kiwał głową. Wnętrznoci burzyły mu się z obrzydzenia.

– Mnie tam nie było. To pomysł Klauswicyna Starszego, prefettusa i wielkiego stratega u mojego ojca. Klauswicyń wprowadził mnie w arkana sztuki wojennej. Dziś jego syn, Klauswicyń Młodszy, studiuje w Aletxandrión.

– I jak się powiodło?

– Zwyczajnie, jak miało być. Myśmy chronili się przed zarazą, jak przykazywał Orthocelsus, oni nie; myśmy byli na polu, a oni stłoczeni w grodzie. Zaraza tak ich oblaźła, że sami wycofali się z Graun. Obyło się bez walnej bitwy, którą mogliśmy przegrać...

Theodorik trwał myślami przy żonie.

– Obecnie chyba udało się wygrać walną bitwę z zarazą, a przynajmniej powstrzymać jej postęp. Wreszcie mogę więcej czasu spędzać przy Irmenie... – zdradził się.

– Podobno Canevie udała się piękna rzeźba pani Irmeny, wyjątkowo prawdziwa... – zaczął Adalgirk, ale ugryzł się w język. Przecież Caneva mógł to powiedzieć wyłącznie do niego.

Theodorik rzucił mu przeciągłe spojrzenie. Zdawał się uśmiechać, ale oczy pozostały poważne.

– To prawda – powiedział. – Gaduła z mistrza, chociaż skrywa swe dzieło za kotarami.

– Powiedział mi, że od dawna jego Geniusz nie darzył go tak obficie – wybrnął Adalgirk.

– To prawda. Niemal nie wychodzi z pracowni, przestał opuszczać pałac. Nawet obecnie pracuje. Zrezygnował z udziału w uczcie.

– Szkoda. Może powiedziałby coś ciekawego o swoim kunszcie, a tak tylko zadrecza panią Irmene.

– Nie zadrecza. Irmena jest zbyt słaba, by długo pozować. Śpi obecnie. Caneva wypracowuje detale tkaniny. Nie potrzebuje do tego modelki.

Weszli muzycy; sala rozbrzmiała nerwową, bałkańską muzyką. Było to przyjemne, ale krótko potem skoczne rytmy zaczęły męczyć. Adalgirk miał nadzieję, że pojawią się także tancerki, niekoniecznie nubijskie, jakiegokolwiek, trudno oczekiwać, żeby małe Ultum stać było na dobry zespół czarnych dziewczyn zdolnych rozgrzać każdą widownię. Niestety. Żadnych tańców, żadnych zmagañ gladiatorów, odkąd pani Irmena zachorowała. Zresztą, gladiatorów w Ultum było tylko paru i na dodatek, o czym Adalgirk już dowiedział się od Jeruba, mieli surowy zakaz zabijania się podczas pokazów.

– Aletxandrión przeżyło plagę niszczycieli dzieł sztuki – zagadnął Adalgirk, kiedy kobziarze wreszcie umilkli. – Tylko czekać, jak ta plugawa moda przeniesie się ze stolicy do prowincji.

– Niszczycieli?

– Marnych artystów, którzy kruszą rzeźby; nędznych pismaków, którzy niszczą księgi, palą biblioteki – powiedział ponuro, pociągnął łyk lobruscu i jego rysy się wygładziły. W tych podłych czasach przynajmniej wino zachowywało właściwą klasę.

– Słyszałem o jakimś Flagitusie, który spalił bibliotekę.

– Było już trzech Flagitusów – westchnął Adalgirk. – W tym dwóch ostatnich za mojego życia. Ich pasja niszczenia stała się tak dolegliwa, że postawiono stały krzyż dla podpalaczy. Na Faros, żeby widać go było z miasta i z morza. Może to wreszcie powstrzyma tych pyszałków.

– Aż tylu ich było? – szczerze zafrasował się Theodorik.

– Jeszcze więcej. Niszczyciele architektury wzięli sobie za wzór plugawej pamięci Atticusa Terwinga, oficera, który wysadził kiedyś Dom Atxeny Dziewiczej w Atxinoi. Dewastatorom rzeźb patronuje trup Kasjusza Lupensa. Właściwie powinno się zapomnieć te imiona. Na ogół zresztą nie niszczą dzieł całkowicie, lecz przykro je szpecą i zostawiają swój podpis. Wyjątkowo nędzny sposób na przejście do historii.

– Rzeźba Irmeny zostanie dobrze zabezpieczona.

– Jak długo, panie?... Twoja dynastia trwać będzie pewnie wieki, ale co po wiekach? – Drugie pytanie było ucieczką z pułapki, w jaką Adalgirk zapędził się pierwszym. – Zresztą, może to ustanie, odkąd ukochany i boski Buben Rufus Qalba nakazał krzyżować sprawców wyjątkowo dotkliwych szkód.

Theodorik słuchał z zainteresowaniem. Adalgirkowi udało się oderwać go od prywatnych obaw i przygnębienia. Właśnie teraz należało przejść do właściwego celu wizyty. Ciosem odpowiedzieć na cios, który władca wymierzył w prokurtensa. Westchnął.

– Theodoriku, głównym wynikiem mojego śledztwa jest odkrycie w Ultum zakazanej sekty Nowych Żydów. – Adalgirk udał, że stwierdzenie to sprawiło mu trudność. Uważnie wpatrywał się w oczy Theodorika. Trudno było wyczytać cokolwiek z twarzy władcy. Pozostał spokojny.

– Kto jest Nowym Żydem w Ultum?

– Magdalena, Żydówka, którą skierowałeś do pracy dla mnie, jej ojciec, Esamon bar Lew, płatnerz Eban i szewc Paulus. – Spokojnie wymienił szpiegów Theodorika i innych, z którymi skontaktowała go Magdalena.

– Magdalena? Nie wierzę? – ożywił się Theodorik. – Żydzi powinni cieszyć się, że mogą spokojnie żyć w Ultum, zamiast spiskować, tworząc tajną sektę.

– Jednak tak jest – rzekł Adalgirk, mniej już pewien, czy Magdalena i jej ojciec są rzeczywiście szpiegami władcy. Wyglądało na to, że Theodorik ma marne pojęcie o marianach... Niestety, ich rozmowę słyszeli wszyscy biesiadnicy.

Cóż, może lepiej się stało – pomyślał. Zatajenie sprawy mogło tylko pogorszyć jego sytuację. Wiązać się z Magdaleną kosztem Cursus Honorum, a może nawet całego życia, nie miało sensu. A jeśli udaje niewiedzę, jeśli to dalszy ciąg gry Theodorika?

– Więc osądź ich, Adalgirku, sam zrobisz to najlepiej – uciał władca.

Prokurtensowi przeszedł po plecach zimny dreszcz. Nie spodziewał się aż tak złego rozwiązania. Tetrarcha rezygnował z udziału w sprawie, składając wszystko na barki wizytującego urzędnika Iamporiu. Teraz wszystko już jedno, czy byli to prawdziwi sekciarze, czy tetrarcha poświęca podstawionych prowokatorów, Theodorik mógł osądzić swoich ludzi wyjątkowo łaskawie, prokurtens Adalgirk zaś musiał wydać najsurowszy wyrok. Nie miał wyboru.

XXXI

Magdalenę aresztował Aristam na rozkaz Adalgirka. Ujęto także jej ojca, Esamona bar Lewa, przywódcę gminy Nowych Żydów w Ultum, i jej członków wskazanych przez prokurtensa.

Należało przeprowadzić proces. To, że Theodorik zlecił wydanie wyroku Adalgirkowi, było najrozsądniejszym wyjściem dla władcy, którego szpicle nie potrafili wykryć sekty zakonspirowanej przez lata niemal na dworze tetrarszym.

Przesłuchanie miało jednak odbyć się w obecności Theodorika. Jako pierwszą wezwano

Magdalene.

Cały czas milczała. Przesłuchanie ograniczyło się do tego, że Adalgirk szczegółowo zrelacjonował Theodorikowi wszystko, co wcześniej usłyszał od niej samej.

– Czy to prawda, Magdaleno? – spytał na koniec Theodorik.

– Tak, panie – odpowiedziała. – Byłam głupia – dodała, spuszczać oczy.

– Chcesz wydać ją na tortury, by poznać nazwiska wszystkich Nowych Żydów? – zapytał władca, gdy żołnierze wyprowadzili Magdalene.

– Nie ma potrzeby, myślę, że znała tylko tych, których schwytaliśmy – odburknął Adalgirk. Czuł niesmak, ale jednocześnie był coraz bardziej przekonany, że podjął jedyne możliwe wyjście, nawet jeśli Magdalena i jej ojciec nie byli szpiclami tetrarchy,

Theodorik nie nalegał na zastosowanie tortur wspomagających czynności śledcze.

XXXII

Pierwsze przesłuchanie rabiego Esamona bar Lewa, ojca Magdaleny, odbyło się w inny sposób. Adalgirk unikał pytań osobistych, natomiast wypytywał o podstawy marianizmu. Mniej chciał popisać się erudycją przed Theodorikiem, bardziej wywiedzieć się czegoś istotnie nowego.

– Jeśli Bóg jest nieskończenie mądry, dobry i mocny, to dlaczego chce mieć z nami coś wspólnego? – zaczął od zwykłych zarzutów przeciw Secunsovi Plato.

– Stworzył nas, istniejemy. To jest faktem także dla ciebie, panie prokurtensie. – Esamon nie ukrywał ironii. – Nie nam osądzać decyzje Najwyższego. Zrobił, co chciał. To, że podjął decyzję, nie wyklucza jego wszechmocy. Może był samotny?

Adalgirk zmierzył starego wzrokiem. Esamon bar Lew wyglądał jak rosły, kościsty Sarmatian czy Tartar, nie jak Żyd z Palestyny bądź Egiptum. No tak, Nowi Żydzi przyjmowali do swej sekty różnych...

– Twierdzisz więc, że Bóg jest odrębny od ludzi – rzucił, pragnąc sprawdzić znane mu połowicznie tezy marianów.

– Tak, ludzie są na jego podobieństwo, ale nie są tym samym. Człowiek nie może stać się bogiem czy zostać nim mianowany, jak to robią wasi urzędnicy z waszymi władcami.

– Nasi urzędnicy, Esamonie – poprawił Theodorik bez złości.

Rabbi krzywo spojrział na króla.

– Nasi w tym sensie, że musimy ich słuchać.

– Ale jeśli zostaliśmy stworzeni przez Boga, to byliśmy kiedyś jego częścią, bo wcześniej istniał tylko on, a nas nie było – nawiązał Adalgirk. – Więc ta właśnie część jest częścią boską naszej natury i tym, którzy mają jej wiele, winniśmy oddać cześć boską... Sam widzisz, Żydzie, że nawet z twojej filozofii wynika konieczność oddawania boskiej czci władcom uznanym za bogów, czego w swojej nieznośnej zatwardziałości nie chcesz uznać – podsumował ze złością.

Podniecony dyskusją zapomniał, że mówi do ojca kobiety, która go kochała.

– Nie, panie prokurtensie – powiedział rabbi i westchnął. Widać było na nim trudy uwięzienia: chudy i poblady, ledwie trzymał się na nogach, choć jeszcze go nie torturowano. – Napisz piórem na rękawie swojej gockiej szaty strofę wiersza albo jeszcze lepiej napisz to palcem umaczanym w twojej krwi na skórze przedramienia. I patrz: i palec, i skóra są częściami ciebie, krew też, ale treść wiersza, znaczenie tych liter czy słów już nie. Jesteśmy strofą takiego wiersza. Choćby w tym sensie nie jesteśmy bogami.

– Ale to ja ułożyłem strofę – spróbował wybrnąć Adalgirk.

– Tak właśnie rozumie się stworzenie – przewrotnie zgodził się stary.

Chwilę milczeli. Adalgirk analizował wypowiedź więźnia; nie znajdował celnej riposty i to irytowało bardziej niż bezczelność Żyda.

– Usiądź, Esamonie – włączył się Theodorik. – Większy będzie pożytek ze śledztwa, jeśli będziesz zeznawał z umysłem jasnym, nie zmaconym udręką.

Adalgirk spojrział na pióro protokolanta; ten spóźniał się. Trzeba mówić wolniej – pomyślał – dureń zgubi wątek. Żołnierze podstawili staremu zydel, Adalgirk usiadł więc naprzeciw, zamyślony zaś Theodorik przyglądał się scenie oparty o wnękę okna.

– Powiem ci więcej, panie prokurtensie – ośmielił się Żyd. Słuchano go, więc wyjaśniał. Nigdy nie wiadomo, jakie owoce wyda rzucone słowo. – Litery, pismo istniały już, zanim został stworzony świat.

Zniecierpliwiony Adalgirk machnął ręką.

– Wiem. Wy, wszyscy Żydzi, nie tylko Nowi, twierdzicie, że na początku były słowa. Wróćmy do Marii z Galilei, córki Hoaquima i Hannah. Dobrze mówię?

Esamon podniósł na niego czujne, pytające spojrzenie.

– Twierdzicie, że kobieta równa jest mężczyźnie, czyż nie?

– Tak jest, panie. Jest człowiekiem, jak i mężczyzna. Winna mieć te same prawa.

– Ale przecież jest mniejsza, słabsza od mężczyzny, mniej wytrzymała, nie sprosta mu rozumem ani uczciwością. Jest istotą innego rodzaju, nieco, acz niewiele gorszego i zgodnie z naturalną hierarchią bytów, winna mu służbę i posłuszeństwo – wywodził Adalgirk. – Wasze kobiety mają przewrócone w głowach od znaczenia, jakie im przydajecie. Twoja Magdalena, na przykład, ubzdurzyła sobie, że mogłaby być małżonką agostiańskiego prokurtensa, a nie tylko jego nałożnicą!... – Podniósł głos, aż zamyślony Theodorik spojrział na niego uważnie.

– Jest wolna – powiedział z naciskiem Esamon. – Kobiety, które się kształcą, pod wieloma względami potrafią przewyższyć mężczyzn – westchnął i nieoczekiwanie wypalił: – Moja Magdalena, którą wydałeś na dekapitację, pisze szybciej niż ty, panie prokurtensie.

– Zamilcz, Żydzie! – warknął Adalgirk.

– Lepiej niech mówi. – Gdyby Theodorik nie stał pod słońce, prokurtens dostrzegłby na jego twarzy ironiczny uśmiezek.

– Ubiczować go, to spokojnie!

– Stwierdzam, że więzień zeznaje bez oporu. Chłosta mogłaby zmącić klarowność jego myśli. Zresztą, prawo stanowi, że w takiej sytuacji biczowanie nie jest konieczne, panie prokurtensie – spokojnie zauważył władca.

– Dowodem na to, że kobieta dorównuje mężczyźnie, jest nasza jasna pani Irmena – powiedział Esamon. – Nasza władczyni umysłem równa się bez trudu z najlepszymi doradcami Theodorika, a niektórzy twierdzą, że w kunszcie medycznym jest lepsza od mistrza Qabelara.

Esamon spróbował skłócić obu przeciwników. Częściowo mylił się, miał tylko jednego: Theodorik wcale nie chciał jego śmierci. Władca niechętnie myślał o następnych aresztowaniach i nieuniknionych egzekucjach, które dodatkowo uszczuplą trawione zarazą Ultum. Natomiast niezręczne wynoszenie Irmeny mogło tylko zaszkodzić Esamonowi, gdyby urażony Theodorik poczuł się zobowiązany do podkreślenia swojej ważności. Nie poczuł się.

– Niektóre choroby potrafi leczyć lepiej niż Qabelar, w kuracji innych Qabelar zna daleko skuteczniejsze sposoby – zauważył tylko.

– Mówicie, że jesteśmy światem odrzuconym – zaatakował po chwili Adalgirk, pociągając łyk wina i przygryzając oliwkami doniesionymi przez murexa. Ale tetrarcha przerwał mu i kazał podać dwie oliwki staremu.

– Zjedz – powiedział. – Przesłuchanie będzie trwało tak długo, aż będziemy mogli wydać słuszny wyrok.

Esamon uniósł do ust oliwkę, ale zatrzymał dłoń.

– To Maria z Nazaretu tak powiedziała, Ostatnia Prorokini Izraela – odpowiedział Adalgirkowi.

– Co by się stało, gdyby Bóg nas nie odrzucił? – drażył prokurtens.

– Narodziłby się z Marii. Stałby się częścią tego świata.

– Czyli sądzisz, że może istnieć ten drugi, czy raczej ten pierwszy świat, który nie został odrzucony? – zapytał Theodorik.

– Niektórzy rabini tak właśnie twierdzą: musi istnieć, gdyż Bóg nie zmienia decyzji. Ja uważam, że nie ma to dla nas żadnego znaczenia, skoro zostaliśmy odrzuceni.

– Jaki jest, jak myślisz?

– Łatwiej tam iść do Boga.

– Bez chorób, zarazy na ten przykład? A praca lekka i wydajna?...

– Może też.

Sucho skrzypiało pióro protokolanta. On także pisał wolniej niż Żydówka Magdalena. Trzeba było czekać z kolejnymi pytaniami, aż skryba zdąży zanotować. Z niezdarnego zapisu prokurtens Adalgirk sformułuje następnie zgrabny protokół oficjalny. Wystarczy dokładnie opisać przesłuchanie, by wyszło na jaw nadmierne zainteresowanie władcy tezami Żyda.

– Łatwo godzisz się ze sprzecznościami. – Adalgirk surowo spojrzał na starego. – Musi być tak, jak twierdzą twoi rabini. Bogowie nie zmieniają decyzji.

– Nie twierdzę, że nie, ale może być inaczej.

– Znaczy jak? – znowu zapytał Theodorik.

– Tego też nie wiem. By analizować, musimy mieć dość danych. Tu jest niewiele informacji. Dokładnie tyle, ile nam powiedział...

Odpowiadając władcy, stary nadawał swemu głosowi wyraźny ton szacunku i życzliwości. Irytowało to prokurtensa. Na razie milczał: – niech Theodorik pracuje, może całkiem się odsłoni kolejnym niefortunnym stwierdzeniem.

Władca potarł dłonią podbródek.

– To dość miałkie, rabbi Esamonie.

– Nie, jasny panie. – Przesłuchiwany zgarnął dłonią kosmyki włosów opadające na spocone czoło. – To zrozumienie skali... przeczucie, że istnieje być może rozwiązanie, którego nie mogę wymyślić tylko z tego powodu, że jestem dziełem stworzonym.

– Myśląc o swoim Bogu, przede wszystkim starasz się nie myśleć – skwitował ironicznie Adalgirk. – Mówisz, że zostałeś wzgardzony przez Boga i właśnie w takiego Boga chcesz jeszcze

wierzyć? – Krzywo uśmiechnął się, kiedy niewydarzony protokolant wreszcie zanotował poprzednią kwestię.

– Odrzucony, nie wzgardzony. Świat, nie człowiek. Bóg zostawił w naszych rękach wiele łaski – powiedział Esamon. Uważnie spoglądał to na Theodorika, to na Adalgirka, obserwując, jakie wrażenie wywołują jego słowa. Milczeli obaj.

– Bóg pozwolił nam wzajem odpuszczać sobie winy, jakie wyrządziliśmy Bogu, przekraczając jego prawo – oświadczył z naciskiem. Od początku przesłuchania był pewien, że wyrok może być tylko jeden, ale mógł siać słowa, więc robił to, póki mógł.

– Co?! – zachnął się Adalgirk. – Bez sensu! Co to za Bóg, który pozwala winowajcom wzajem odpuszczać sobie winy, jakie Bogu wyrządzili... To się nie trzyma kupy, rabbi Esamonie!

– Zrobił tak, bo ukochał nas, nawet uznał nas za swoje dzieci.

– Ale przecież to on powinien sądzić – wtrącił zaniepokojony Theodorik. – On, nie ludzie.

– Widać uznał, że jesteśmy na tyle dojrzały, by sami przeżywać skruchę i zadośćuczynić naszym winom. A my sami stawiamy wysokie warunki skruszonym, by mieć pewność, że skrucha jest szczerą.

Tym razem milczenie było jeszcze dłuższe. Adalgirk podszedł do protokolanta i uważnie czytał jego notatki; potem cicho przedyktował słowa komentarza. Wskazał też niedouczonego pismakowi parę oczywistych błędów.

– Jak to robicie? – rzucił Adalgirk, próbując przyłapać Esamona.

– My... robimy? Tak może zrobić każdy, by pękła zasłona zła – powiedział z godnością Esamon bar Lew. – Ten znak pozostawił nam prorok Jan, który Umarł Czekaając, a Maria z Nazaretu go potwierdziła.

– Iaens Decapitus?

– Tak go przezywacie.

Theodorik pochylił się zaciekawiony.

– Co to za znak?

Esamon spojrzał na niego z powagą.

– Należy zamoczyć palce w wodzie, dotknąć czoła tej osoby i robiąc znak krzyża, wypowiedzieć jej imię i słowa: ja cię chrzczę w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. To oczyszcza od grzechu pierwszego i wszystkich następnych; tak można zrobić komuś tylko raz w jego życiu. Potem już nie może odejść od Boga, gdyż kiedy odejdzie, nie zostanie przez niego przyjęty.

– Naznaczyć znakiem najbardziej upokarzającej kary? I tylko tyle? – zdziwił się Theodorik.

– Aż tyle, panie. Wcześniej trzeba się do tego przygotować, a potem odmienić całe swoje życie.

– Jak?

– Jak kazał Bóg słowami Marii z Nazaretu. Trzeba przestrzegać przykazań, które przyniósł nam od Boga Mojżesz. Ale to jeszcze nie wszystko: Bóg zabronił nam zemsty i kazał kochać innych ludzi.

Adalgirk znał już tę część nauczania Nowych Żydów, więc słuchał mniej uważnie, obserwował raczej reakcje władcy.

– Każdy może uczynić znak Jana, który Umarł Czekając?

– Tak. Ale musi pamiętać o konsekwencjach: Bóg tylko raz okazuje łaskę.

Adalgirk schylony cicho dyktował protokolantowi.

– Czy mógłbyś ten znak uczynić na przykład dla mnie, Esamonie bar Lew? – zapytał Theodorik.

Adalgirk szarpnął się jak pies myśliwski uwiązany na smyczy. Lecz zerknąwszy na tetrarchę, domyślił się, że to właśnie jego Theodorik prowokuje.

– A czy jesteś do tego przygotowany, jasny panie? – spytał Esamon.

Theodorik zmarszczył brwi.

– To, że uznajesz kobiety za równe mężczyznom, jest oczywiste. Ale czy uznasz, że niewolnik jest równy wolnemu człowiekowi? A wolny człowiek władcy? A czy nie zabijesz już nikogo do swojej śmierci? Przecież czasem może wymagać tego twój urząd. Przez kaprys chwili nie utrac swojej jedynej szansy, Theodoriku Bedo.

Tetrarcha tylko spojrzał chmurnie. Adalgirk pomyślał, że władca dla żartu każe rabbiemu ochrzcić się, ale tego się nie doczekał. Do końca przesłuchania Theodorik nie odezwał się.

– Uważam, że twój Bóg nie istnieje, bo taka reguła łaski nie ma sensu. Jest wymysłem ludzi – podsumował z lekceważeniem. – By do niego trafić, wystarczy odebrać znak Iaensa Decapitusa bezpośrednio przed śmiercią, a wcześniej żyć, jakby twojego Boga nie było... Zaiste mało wymagający bóg.

– Niejasny panie, gdyż od chwili, kiedy usłyszysz i zrozumiesz, na czym polega znak Jana, musisz zacząć się do niego przygotowywać i przyjąć w okresie do kilku lat...

Adalgirk spiorunował wzrokiem Esamona.

– Więc zastawiłeś na nas pułapkę, Żydzie!

– Przecież w Niego nie wierzysz... Zresztą odpowiadałem tylko na pytania.

Theodorik splótł ramiona i badawczo wpatrywał się w starego. Jego myśli błądziły bardzo daleko. Oczywiście, wyrok wydany przez prokurtena mógł być tylko jeden. Zresztą, stary Esamon bar Lew wkrótce zmarł podczas tortur, kiedy usiłowano odeń wyciągnąć nazwiska pozostałych członków gminy marianów.

XXXIII

Caneva ukończył pierwszą podobiznę Irmeny. Odkryte ramiona i twarz zapuścił delikatnym różem, by nabrały naturalnej karnacji. Nie było to trudne, gdyż wystarczyło tylko wzmocnić naturalny odcień skóry. Choć jasna pani miała jasne włosy, to słońce szybko ją opalało, nadając przyjemną, śniadą barwę. Caneva spróbował uchwycić i ten odcień, ale odtwarzał go z pamięci, gdyż od tygodni władczyni była śmiertelnie blada, wręcz szara. Udało mu się, nawet posepny Theodorik zdobył się na pochwałę.

Jednocześnie postępowała praca nad drugą podobizną Irmeny. Caneva spieszył się, chcąc zdążyć; w pracowni panował chłód, mimo dwóch koszy z płonącym drewnem. Irmena kaszłała. Wyglądała coraz gorzej; chudła; wprawdzie coraz mniej wrzodów pokrywało jej ciało, ale po zgojeniu dodawały widocznych blizn. Pani rozkazała rzeźbić się dokładnie taką, jak wyglądała. Bez upiększeń. Więc posąg stawał się zapisem jej powolnego umierania. Przejmującym, choć niespójnym: raz ukończonych fragmentów Caneva nie poprawiał i w miarę jak wydobywał postać Irmeny z bloku alabastru, kolejne, wyłaniające się fragmenty nosiły znamiona postępującego wyniszczenia modelki. Twarz, którą swoim zwyczajem ukończył najpierw, zawierała jeszcze zwykły dla Irmeny wyraz pewności swej urody i filuternej fantazji. Ale już na szyi zaznaczały się brzydki nabrzmiące żyły; ramiona były zbyt kościste; piersi, choć jeszcze piękne, opadły. Brzuch musiał Caneva wyrzeźbić już nadmiernie wydęty, choć i tak oszukał, zmniejszając tę wypukłość; ręce i dłonie okazały się już znacząco cieńsze niż w pierwszej podobiznie.

Caneva był zrazu zachwycony i podniecony, mogąc codziennie oglądać nagi obiekt swojego zakochania. Później, gdy nauczył się już ciała Irmeny i gdy jego wprawne oko zaczęło bezlitośnie rejestrować znamiona zwyciężającej choroby, praca stawała się coraz większą udręką. Nie mógł rzeźbić wspomnienia o jej urodzie, dlatego cierpiał. A powstająca pod jego dłońmi podobizna jakby chorowała, bo chorował piękny ideał, który nosił w pamięci zakochany starzec.

Magdalena zaraziła się w celi od współwięźniarek i zmarła, nie doczekawszy egzekucji. Podczas choroby nieprzerwanie modliła się do swojego Boga o przebaczenie. Imię Adalgirka wypowiedziała tylko raz, gdy umierała.

Theodorik, związany słowem danym Irmenie, nadal kierował walką z opornie wygasającą zarazą. Jednakże co drugi wieczór pojawiał się w pałacu i czuwał przy żonie.

Gdy odwiedzał pracownię, Caneva z obawą patrzył, czy władca nie sięgnie po miecz. Już deformacje mogły go zirytować. Theodorik zachowywał zdumiewający spokój. Powstająca podobizna była przecież piękna na swój sposób, lecz jednocześnie przerażająca.

– Czy mam zabarwić te blizny i wrzody? – zapytał kiedyś Caneva w przyływie śmiałości.

Theodorik zmierzył wzrokiem dzieło rzeźbiarza.

Taki wzrok rzuca na kolana... – pomyślał stary. – Jeśli mnie nie zabije, to zaproponuję mu wyrzeźbienie jego podobizny, choć wizerunki mężczyzn nigdy nie były moją specjalnością. Jak takie gorejące ślepia odrobić w skale?...

– Zabarwisz tylko poduszki i narzutę – odezwał się Theodorik po długim namyśle. – Irmena niech pozostanie biała jak alabaster, włosy niech też będą białe, nie miodowe.

W kącie komnaty podobizna opalonej, ciemnookiej, złotowłosej Irmeny podrywała się z łoża ku rozmawiającym. Lekkie pastelowe szaty podkreślały grację gestu zastygłego w kamieniu.

– Długo to jeszcze potrwa, mistrzu?

– Nie wiem. Wczesnymi rankami, gdy pani śpi, rzeźbię łoże.

– Nie możesz pracować w nocy, przy pochodniach?

– Przy słabym świetle mógłbym wykonać fałszywy ruch. Nie. Zbyt wiele zrobiłem, by teraz ryzykować błąd. Na następną kopię mogłoby nie starczyć czasu... – Urwał przerażony zuchwalstwem, ale Theodorik nie zareagował. Także dla niego było to oczywiste.

Adalgirk nie znosił tych tajnych wypraw do swych agentów, kiedy musiał ukrywać się przed wzrokiem przypadkowych świadków. W ciągu kilku miesięcy spędzonych w Ultum udało mu się stworzyć małą siatkę szpicli, ale wiedział, że ta nie może równać się z siatką tetrarchy. Gdybyż mógł

mieć pewność, którzy z nich pracują wyłącznie dla niego, a ilu jednocześnie wysługuje się władcy.

Mocnym punktem sieci i bodaj najpewniejszym był Welesij Medwydnyj. Prowadzony przezeń przemysł i inne ciemne interesy sprawiały, że wiernie służył Adalgirkowi. Zwłaszcza od czasu, kiedy za otrzymanym od prokuratora glejtem udało się Welesijowi wywieźć do Rzymu spory transport rysi, mimo zamkniętych przez Theodorika granic. Czy to ważne, że poganiacze zatrudnieni przez Welesija zawlekli do Rzymu zarazę, skoro w tym transporcie właśnie przemycił Adalgirk tajny krytyczny raport o stanie Ultum? Jednocześnie wysłał życzliwszą tetrarsze wersję oficjalną pocztą. Columbans zaś odciskiem sygnetu potwierdził otrzymanie sekretnej przesyłki.

Po wykryciu w Ultum marianów zarzuty prokuratora nabierały znacznie większej wagi. Wysłany raport stawał się ledwie pierwszą, mniej ważną częścią. Adalgirk zdążył przygotować drugą, gwarantującą ostateczne zwycięstwo nad Theodorikiem. Przeprowadzenie przez Theodorika spóźnionego procesu marian niewiele tu zmieniało. Właściwie Adalgirk już mógł widzieć się w roli władcy Ultum. Czasem myślał z przekąsem, że mała i uboga prowincja nie zasługiwała na równie ryzykowną rozgrywkę. Ale przecież granice prowincji nie są zupełnie sztywne, w przyszłości będzie można je rozszerzyć, choćby w stronę żywej Iamalii. Może uda się urwać trochę ziemi barbarzyńskiemu Piquutowi, Eglarowi z Turms, którego władztwo nie pokrywa się z granicami prowincji imperialnych, a co ważniejsze, jest zbyt rozległe, by mógł nim sprawnie administrować. Przecież Theodorik, dysponując ograniczonymi siłami, zdołał go odeprzeć.

Żonę każe sobie sprowadzić z północy, może z Germanii, może z Brytanii. Najchętniej w typie urody Irmeny, chociaż potulną, nie taką, jak ta rozpuszczona Batawka. Schorowana Irmena nie była już odpowiednią kandydatką, wprawdzie z początku trzeba będzie ją poślubić, ale później nie będzie to mieć żadnego znaczenia.

Adalgirk trząsał się z zimna w przenikliwym wicherze idącym od gór. Dobrze, że przynajmniej przestało padać. Obozowisko Medwydnyja w ruinach amfiteatru sprawiało wrażenie opuszczonego. Nikt nie stał na warcie. Na arenie pełgało jedno marne ognisko.

– Nie mam ludzi, panie prokuratorze – stęknął zawinięty w skóry Welesij. – Jedni chorują, inni pomarli. Nie zdołam sformować sprawnej kolumny do transportu.

– Mniej ludzi, mniej wydatków. Weź niewolników.

– Musiałbym kupić – zrzędził Welesij. – Wykruszyli mi się zaufani niewolnicy.

Adalgirk błysnął spojrzeniem.

– Ilu potrzebujesz?

– Jest źle. Przynajmniej ośmiu, i to niezarażonych, żeby zdołali dotrzeć do Iamalii.

– Dam ci trzech swoich – warknął Adalgirk.

Grubas wykrzywił się nieprzyjemnie.

- Dobrze, a pozostali? – zapytał, rozkładając ręce.
- Dostaniesz pięćset iamporiałów na kupno pięciu pozostałych.
- Ale srebrnych, nie papierowych. – Welesij wietrzył dobry interes.
- Niech będą srebrne.

Adalgirk nie zostawił Welesijowi tuby z drugą częścią raportu, aż nie upewnił się przez innego szpicla, że niedźwiednik zgodnie z poleceniem zakupił na targu trzech Slavów i dwóch Tartarów. Trzej podesłani Welesijowi przez prokurtensa niewolnicy mieli nadzorować przebieg transportu. Adalgirk zabezpieczył glejtami tę trójkę na wypadek, gdyby Welesij usiłował ich odprzedać w Iamili.

Dopiero gdy Welesij sformował karawanę do wyruszenia, Adalgirk dostarczył mu raport.

XXXVI

Epidemia wygasła. Theodorik nosił się z zamiarem otwarcia granic. Wprawdzie ludzie nadal umierali od następstw przebytej choroby, ale nowych zachorowań było bardzo niewiele. W świątyniach iamporiaalnych dymy ofiarne wysoko wznosiły się ku niebu lub snuły przy ziemi, gdy pogoda im nie sprzyjała. Szpiedzy donosili Theodorikowi, że poddani go uwielbiają, co tłumaczył dla siebie, że nienawidzą go nie bardziej niż przed epidemią.

Zapomnieli mi, że byłem opieszły na początku plagi – myślał.

Druga podobizna Irmeny była gotowa. Przeświecająco blade ciało władczyni naznaczały tu i ówdzie gruzły zgojonych wrzodów; wycieńczone ciało nie wydawało się Theodorikowi brzydkie, choć Caneva starał siebie kontrolować i nie upiększać podobizny; od widmowej bieli postaci kontrastowo odcinały się jedwabście połyskujące tkaniny łoża; włosów Theodorik też nie pozwolił ufarbować, zresztą, te prawdziwe u chorej tetrarchini obecnie zmatowiały i zszarzały.

Caneva wychudł, na jego twarzy przybyło zmarszczek. Spędzał po kilkanaście godzin dziennie przy robocie; obecnie gładził i polerował dzieło; wprawnie malował materiał, na którym pólleżała podobizna umierającej władczyni.

Wyglądał jak starzec, choć jeszcze nim nie był. Za wszelką cenę chciał zdążyć – i zdążył. Kończąc pracę, wreszcie pomyślał, co ten koniec może oznaczać.

Nieodwołalnie nadszedł dzień, w którym Theodorik miał pozostać tylko z dwiema podobiznami Irmeny. Od dawna nie zważał na jej protesty, dotykał jej, całował, godzinami przesiadywał obok. Zresztą, Irmena prawdopodobnie już nie zarażała. Ale wyniszczone ciało, mimo że wolne od zarazy, nie było w stanie dłużej utrzymać życia.

Usiadł przy jej głowie.

– Odchodzę, Theodoriku – powiedziała Irmena. – Właśnie teraz. Czuję to.

Spokojnie trzymał ją za słabnącą rękę. Jej twarz bladła.

– Ciężko mi będzie bez ciebie.

– Zostaną ci dwie moje podobizny. – Spróbowała się uśmiechnąć. – Nie zabijaj Canevy. Sam kazałeś mu wykonać tę pracę.

– Dobrze.

Irmena wyglądała przedwcześnie staro, szaroblada twarz przecinało kilka niepotrzebnych zmarszczek. On nadal widział pod tą zniszczoną powłoką dawną Irmenę.

– Jesteś jedyną osobą, z którą byłem zupełnie szczery i której bezgranicznie ufałem.

– Wiem. Nie zawiodłam twojego zaufania – szepnęła.

Pocałował ją.

– Boję się, Theodoriku – mówiła coraz ciszej. – Nie wiem, dokąd idę.

– Po tamtej stronie wybierz ścieżkę do Boga Żydów.

– Dlaczego do Niego?

– On jest Bogiem kochających i Bogiem kochającym. Ja cię potem u Niego odnajdę.

Zamknęła oczy.

– Jak odnaleźć tę ścieżkę?

– To będzie wskazówka. – Zamoczył palce w misce z wodą i zaznaczył na jej czole znak krzyża. – Irmeno, ja cię chrzczę w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego – powiedział uroczyście. – Cokolwiek miałyby to znaczyć – dodał po cichu. Miał nadzieję, że dokładnie powtórzył gesty i słowa rabiego Esamona.

Irmena leżała nieruchomo. Nie oddychała.

Nazajutrz Theodorik kazał uwięzić Canewę. Rzeźbiarz nie mógł chodzić wolny, gdyż widział zbyt wiele i mógł zbyt wiele powiedzieć.

XXXVIII

Irmenę pochowano w grobowcu wykutym na szczycie wzgórza wskazującego południe dla Urbens Ultum. Theodorik planował wzniesć nad jej grobem okazałe mauzoleum widoczne z doliny. Kiedyś i on zamierzał spocząć obok Irmeny. Sporządzanie planów architektonicznych przyszłego mauzoleum pomagało mu wrócić do równowagi, a jednocześnie wciąż myśleć o niej, a przynajmniej od tego myślenia uwolnić się nie chciał. Nadmiernej rozpacz po śmierci Irmeny okazywać władcy nie było wolno, przecież i tak od dawna mówiono, że stary tygrys zbyt ulegał swojej młodej żonie.

Poczta iamporialna przyniosła memoriał od keysira Columbansa. Theodorik najpierw apatycznie, potem coraz uważniej studiował list.

Columbans opisywał w nim pierwszą, tajną część raportu Adalgirka, pełną wydumanych, niepomiarnie rozdętych bądź błahych zarzutów. Tym listem uznawał prokurtensa za stronniczego karierowicza, który napisał fałszywy raport, po to tylko, by objąć władztwo Theodorika. Columbans pozbawiał Adalgirka godności prokurtensa (do czego nie miał prawa, jako że Adalgirk posiadał oficjalne mianowanie od agosta) i jednocześnie wydawał go osądowi tetrarchy. Memoriał miał zostać okazany Adalgirkowi po aresztowaniu.

W drugiej części listu Columbans prosił Theodorika o udział w wyprawie przeciwko Mataquincie, carolii Retxii Romanii. Kilkakrotnie nazywał ją w liście nieznośną, krnąbrną kobietą, wyniesioną na tron wyłącznie w wyniku nagłej śmierci jej męża, Florensa Marka.

Postanowił pozostawić mnie na tronie za cenę pomocy, gdyż jego prokurtens nie przejąłby pełni władzy w tak krótkim czasie... – pomyślał Theodorik z goryczą.

Druga część listu wymagała namysłu. Wprawdzie Theodorik uważał Ultum za podległe jurysdykcji Agostiu Nordi (więc Mataquincie), ale nie wykluczał wsparcia Columbansa. Nie liczył na powiększenie terytorium prowincji, gdyż Ultum miało granice naturalne i trudno byłoby utrzymać ziemie poza wysokimi pasmami Albów na południu czy północy, a nawet za przełęczą Graun, ale jeśli musiał deklarować swoją przynależność administracyjną, to tak, aby walczyć razem z potężnym Eglarem z Turms, a nie przeciw niemu, oczywiście jeśli Eglar poprze Columbansa.

Inna sprawa, że wznowienie przez młodego keysira wojny przez lata wyniszczającej okolicę wydawało się pozbawione sensu. Jeśli ojciec Columbansa nie zdołał złamać Florensa Marka, to

małe szanse, żeby jego syn zgromadził w krótkim czasie wystarczające siły do pokonania Mataquinty... Na dodatek przemarsz wojsk i prowadzenie walk na terenach objętych zarazą musiały spowodować jej ponowny wybuch w Ultum.

Cóż, tak czy owak, krótki okres pokoju dla Ultum nieodwołalnie dobiega końca... Natomiast pierwsza część memoriału powinna zostać załatwiona natychmiast.

Kazał wezwać Aristama, Smotanę i jego dwóch piechurów.

Rosły Byffer to czerwieniał, to bladł, czytając tę część pisma Columbansa, która referowała raport Adalgirka. Co akapit znajdował swoje zarzuty dziwacznie przekręcone lub wyolbrzymione. To, co według Aristama mogło zostać łatwo ulepszone w zarządzaniu Ultum, w raporcie Adalgirka stało się kardynalnymi błędami dyskwalifikującymi Theodorika jako władcę.

– Co ty na to, panie prefettusie? – zapytał Theodorik.

Aristam chwilę milczał, spoglądając bez ruchu na Theodorika, wreszcie dobył miecza, wyciągnął go rękojeścią w stronę władcy i ukląkł na oba kolana.

– Możesz mnie zabić, jasny panie. Zasługuję na to – powiedział. – Wiesz, jakie miałem uwagi do twojego rządzenia, nie kryłem się z nimi, bo pozwalałeś mi je głosić. A ten... – syknął – ...wykrzywił je, by cię zniszczyć.

Twarz Theodorika złagodniała.

– Przyda mi się jeszcze twój miecz, ale w twoim ręku. Schowaj go i powstań.

– Mam zabić Adalgirka?

– Najpierw aresztuj go. Keysir chce, żeby go osądzono, więc trzeba będzie zrobić sąd. Szkoda, że Hermiesz zmarł, nie wyznaczyłem jeszcze nowego zarządcy. Oprócz mnie osądzą go moi dowódcy.

Aristam z ulgą wsunął miecz do pochwy.

– Jeszcze jedno: aresztuj Adalgirka dyskretnie, najlepiej sam. Nie chcę, żeby jego poplecznicy coś zauważyli. Z pewnością zdobył sobie zwolenników w Ultum.

XXXIX

Przez cztery kolejne dni Adalgirka nie zapraszano do pałacu. Oczywiście nie mógł tego nie

zauważyć.

Tylko z czym to wiązać? Z męczeństwem Esamona bar Lewa?... Raczej nie, na podobnie demonstracyjne współczucie nie poważyłby się imperialny tetrarcha. Tym bardziej że kompromitowało go nadmierne zainteresowanie naukami starego Żyda.

To może ze śmiercią Irmeny? Bez sensu, skoro ta idiotka nie zauważała Adalgirkowego zainteresowania jej osobą, póki żyła, więc i jej śmierć nie mogła nic zmienić. I tak wołała starego chytrusa. Ale jednak zdarzyło się coś niedobrego.

Theodorik nie zaprosił go nawet na pogrzeb swojej prywatnej bogini... O tym akurat mógł sukinsyn zapomnieć, niech mu będzie, ale w inne dni?... Adalgirk nerwowo snuł się po komnatach swojego domu. Wyglądał na szare i smutne Urbens Ultum przez przemoczone kotary. Padał deszcz ze śniegiem. Jak górskie szkło, też biały, choć topnieje. Kości wykręcał przenikliwy ziąb.

Adalgirk uważniej przyjrzał się mrocznej ulicy. Skradała się nią grupa zbrojnych. Zbrojni, bo u dwóch dostrzegł rury pileia fulgurei. Przypląszczeni do ścian budynków, może było ich sześciu, zbliżali się do domu Adalgirka.

Błyskawicznie połączył dwa fakty. Po chwili ciepło odziany, przy mieczu i przepasany swoimi aktywami finansowymi, obserwował zza załomu muru, jak oddział pretorii starannie przeczesuje jego dom. Wśród żołnierzy rozpoznał sylwetkę prefettusa Aristama.

Chyba nie zabili nikogo ze służby... – zauważył, moknąc na ulicy.

Zrozumienie przyszło jak blask błyskawicy: Theodorik przejął jedną z tajnych części raportu. Ważne: pierwszą czy drugą.

Adalgirk, mimo młodego wieku, nie był nowicjuszem: jeszcze w Aletxandrión udało mu się kilkakrotnie uniknąć aresztowania przez władców różnych rang. Zasada mówiła, że pókiś wolny, zawsze możesz uruchomić znajomości, by odwrócić groźny wyrok. W więzieniu, a już na pewno gdy okaleczą cię torturami podczas przesłuchań, przestajesz się liczyć dla swoich protektorów. Nie do pomyslenia było, żeby kaleka piastował odpowiedzialne funkcje administracyjne. Ewentualna prawdziwość zarzutów powodujących uwięzienie była najmniej ważna. Ciało człowieka było najwyższą wartością i odpowiedzialny urzędnik państwowy powinien być urodziwy, zdrowy i rośli; no, przynajmniej zdrowy. Ułomność fizyczna dyskwalifikowała. Dopuszczalne było co najwyżej parę bliźn, świadczących o biegłości w sztuce wojowania; niewielkie i umieszczone w korzystnym miejscu mogły nawet dodać męskiego uroku.

Z tych powodów za wszelką cenę należało unikać aresztowania i ta umiejętność była jedną z pierwszych, jakie musiał opanować adept Cursus Honorum.

W małym, zapyziałym Ultum sytuacja Adalgirka była nie do pozazdroszczenia. Nie znalazł tu żadnego możnego protektora. Irmena ignorowała jego zaloty, a potem zmarła. Wszyscy inni stali godnościami znacznie niżej. Adalgirk wprawdzie zwerbował niezłą grupę płatnych donosicieli, pozwalającą penetrować wiele dziedzin życia Ultum, ale teraz miało to małe znaczenie. Jawny bunt

też nie wchodził w grę, Theodorik przecież miał za sobą wojsko.

Po ewentualnym aresztowaniu Theodorik będzie musiał i tak wreszcie go uwolnić, gdyż keysir wstawi się za swoim urzędnikiem, może nawet wkroczyć zbrojnie do Ultum. Prawdopodobnie przewidywał i tę możliwość, wysyłając tu swojego prokurtensa. Theodorik może go tylko złośliwie okaleczyć, a następnie wypłacić wysokie odszkodowanie, jak się praktykuje... Pierwsza część raportu jest zbyt miąka.

Ale jeśli Theodorik przechwycił drugą część, Adalgirk jest skończony. Tetrarcha posunie się do najgorszego, cokolwiek mogłoby to później spowodować.

Strużka wody ściekła za kołnierz Adalgirka z zakamarków okazałego, prokurtensowego hełmu.

XL

Należało działać szybko: najpierw sprawdzić, co z raportem.

W deszczu obozowisko Welesija wyglądało marnie i sennie. Gęsty dym z małego ogniska snuł się przy ziemi. Klatki były puste, niedawno odszedł transport zwierzyny do Iamalii. Właśnie z tym transportem powędrowała druga część raportu.

Adalgirk odetchnął, gdy dostrzegł zgarbioną sylwetkę niedźwiednika Trofima. Zgodnie z umową, Welesij miał go odesłać z powrotem, kiedy raport przekroczy rogiatkę Ultum.

Niedźwiednik poznał Adalgirka i unosząc się, gestem zaprosił go pod dziurawy daszek.

– Masz coś dla mnie, Trofimie? – zapytał prokurtens.

Ten bez słowa wyciągnął zza pazuchy jedną, złotą spinkę. Oznaczało to, że karawana przedostała się do Rom, ale raport został przechwycony przez byfferów Theodorika. Adalgirk zadrżał, choć taki obrót sprawy nie wydał mu się zbyt prawdopodobny. Mocno złapał za gardło Trofima, jednocześnie przyciskając mu do gardła ostrze krisa.

– Ty cholerny złodzieju! – warknął. – Oddaj, co nie twoje!

– Jedną, tylko jedną spinkę dał mi pan Medwydnyj – skamlał Trofim.

– Tu jest tętnica. – Adalgirk mocniej kolnął go w szyję. – W minutę spuszczę z ciebie całą plugawą posokę.

– Jedną tylko dał mi pan Medwydnyj.

– Nie zdałeś próby wierności, Trofimie, dlatego musisz zginąć. – Adalgirk kolnął go mocniej, lekko rozcinając skórę. – Miały być dwie.

W dłoni Trofima znalazła się druga spinka. Adalgirk odetchnął z ulgą. Gdyby jej nie dostał, zabiłby, a następnie starannie przeszukał starego. Dopiero wtedy uwierzyłby, że Welesij przesłał tylko jedną spinkę.

Sytuacja wyglądała więc nieco lepiej: druga część raportu opuściła Ultum i bezpiecznie wędrowała do Columbansa. Chyba że zdradził sam Welesij, czego też nie można było wykluczyć.

Adalgirk wzgardliwie rzucił drugą spinkę Trofimowi. Ostatecznie, należała się mu nagroda za wierną służbę.

XLI

Należało sobie teraz wyobrazić, co postanowi Aristam. Z pewnością nie jest głupcem, skoro tak, co zrobiłby na jego miejscu Adalgirk, gdyby wykonując niewidoczne aresztowanie nie znalazł ofiary na miejscu?

– Zostawiłbym paru ludzi w domu nie spodziewającej się niczego ofiary i czekał, aż sama wejdzie w pułapkę. Dopiero po kilkunastu godzinach bezowocnych oczekiwań zmieniłbym taktykę. Wcześniej jednak w żadnym razie nie rozpocząłbym akcji jawnej: patroli czy poszukiwań. To dopiero później, gdyby zasadzka się nie udała.

Jeśli tak działa, to najsłabszym punktem całej akcji był sam dowódca, Aristam. Adalgirk znał dokładnie zwyczaje prefettusa z drobiazgowych raportów dwóch ludzi prefektury, których pozyskał do współpracy. Adalgirk musiał się spieszyć, lada godzina Ultum zaroi się od uzbrojonych patroli pieszych byfferów i konnych polane. Coraz bardziej doskwierał mu głód...

Koło domu prefettusa było dobre miejsce. Adalgirk nie musiał długo czekać na Aristama wracającego z pałacu tetrarchy. Właśnie prefettus zameldował o nieudanej próbie pojmania Adalgirka i zreferował plan dalszych działań. Gdyby Theodorik rozsierdził się i zmienił dowódcę akcji, mogłoby to skomplikować sytuację. Nie – nie zmienił.

Adalgirk ruszył ulicą tak, by zostać rozpoznany i zaraz skręcił w przecznicę. Jego gra miała sens, Aristam rozsierdzony niepowodzeniem pierwszej próby pojmania, spróbuje osobiście ująć niczego nie podejrzewającego prokurtensa.

Adalgirk szedł szybko, Aristam zdążył oczywiście zauważyć, jak niedoszły aresztant skręca na końcu uliczki, ale nie miał czasu do namysłu i refleksji, że wchodzi w pułapkę.

I prefettus wszedł w pułapkę. Ukryty za załomem muru Adalgirk skoczył i od tyłu złapał go za gardło. Jednocześnie krisem uderzył Aristama w wątrobę. Jak przewidział, prefettus miał pod szatą napierśnik, dlatego zadał cios nisko od dołu. Parę razy gwałtownie poruszył dłonią, by kris zadał rozleglejsze obrażenia. Ugodzony prefettus osunął się na ziemię.

To był najprostszy sposób unieszkodliwienia szybkiego i silnego przeciwnika. Adalgirk nie zamierzał Aristama zabijać od razu, gdyż chciał się najpierw od niego wiele dowiedzieć. Pozostawało zmusić Aristama do zeznań; zanim umrze, musi rozwiać szereg wątpliwości Adalgirka.

Adalgirk uniósł głowę prefettusa i zdjął mu hełm. Kilka razy klepnął w pokrywający się zimnym potem policzek. Aristam otworzył oczy i z wysiłkiem ześrodkował udreżone spojrzenie na Adalgirku.

– Dobij mnie, psie... – stęknął.

– W swoim czasie – powiedział Adalgirk. – Wcześniej wyjaśnisz mi parę spraw.

– Nie kpij.

– Dla ciebie nie mają już znaczenia, a mnie ciekawia. – Adalgirk wygodniej podsadził Aristama. – Doskonale wiem, dlaczego chciałeś mnie aresztować i zgładzić.

– Nic ci nie powiem. Dobij mnie...

Aristam broczył krwią. Adalgirk przycisnął mu do rany zwój tkaniny jego własnego płaszcza, by prefettus nie wykrwawił się przed czasem.

– Nie musisz. Sam się domyślę. Gdy chcesz kogoś ująć, powinieneś go nadal zapraszać do pałacu – powiedział. – Chociaż tobie ta wiedza już się nie przyda. – Bezgłośnie zachichotał.

Aristam łapał powietrze ze świstem.

– To przypadek... Theodorik zaniedbał biesiad, bo... sporządza plany mauzoleum.

– Ha!... Widzisz, prefettusie, to mnie bogowie mają w opiece! – Twarz Adalgirka rozjaśniła się. – Lepiej odpowiadaj, zamiast wymyślać głupie kłamstwa! Czy Welisij przekazał Theodorikowi obie części raportu?

– Więc to ten handlarz, Medwydnyj... – szepnął Aristam.

Adalgirk potrząsnął słabnącym Aristamem.

– Theodorik ma jedną czy obie części raportu?... Mówże!... W niczym mu nie pomożesz – powiedział. – Druga część raportu właśnie przekroczyła granice Rom i za parę dni dotrze do lamilii Romanii, a stamtąd na ręce Columbansa. To, co w niej jest, zniszczy Theodorika. Columbans i tak by mnie uwolnił z Theodorikowego więzienia. – Uśmiechnął się zjadliwie.

– To ciebie zdradził Columbans – prychnął Aristam i wydał bielejące wargi. – To z jego memoriału wiemy o twojej zdradzie i sfałszowanym raporcie!

– Teraz możesz już umrzeć, Aristamie – powiedział spokojnie Adalgirk. Dowiedział się więcej, niż oczekiwał.

Dobił Aristama, otwierając mu tętnicę szyjną. Spokojnie wytarł kris z krwi o szatę prefettusa. Odwłókł zwłoki pod mur i przysypał nędznymi rupieciami zalegającymi odludny placyk. Kałużę krwi przysypał liśćmi skopanymi ze sterty przy murze. Mieszały się one z padającym śniegiem, krew zrazu przesiąkała, ale wkrótce przestała.

Nie mógł odejść od razu, musiał zadbać o to, by Theodorik nie dowiedział się zbyt wcześnie, że on, Adalgirk, już wie o obławie.

Gdy uznał zabezpieczenie za wystarczające, uważnie obejrzał szaty, czy nie są poplamione krwią prefettusa. Niczego nie zauważył. Jeszcze raz rozejrzał się wokół: mokry śnieg coraz dokładniej ukrywał ślady po krwawym zdarzeniu.

Dopiero wtedy starannie poprawił odzież i oddalił się. Miał przed sobą parę bezpiecznych godzin, zanim żołnierze czekający w zasadzce w jego domu zorientują się, że nieobecność prokurtensa zanadto się przedłuża.

Wiadomość o zdradzie Columbansa wstrząsnęła Adalgirkiem bardziej, niż w pierwszej chwili potrafił to przyznać. Będzie więc musiał uciekać daleko poza Rom, by tam szukać możliwych protektorów. Na dodatek niepotrzebnie dostarczył zdradzieckiemu keysirowi drugą część raportu, która pozwoli mu usunąć również Theodorika, pod pozorem, że zmusiła go do tego waga zarzutów. Sprytny Columbans okazał się najlepszym graczem: za jednym zamachem pozbędzie się Theodorika, co, zdaje się, planował wcześniej, i niepotrzebnego już Adalgirka.

Adalgirk był człowiekiem zahartowanym. Nie będzie gryzł palców w takiej sytuacji. Po prostu trzeba wydostać się z Ultum i z Rom. To niezwykle trudne, ale nie niemożliwe. Przede wszystkim nie wolno dać po sobie poznać, że się cokolwiek stało.

Najpierw udał się do Pantejonu, gdzie przed posążkiem Virbisa zapalił trociczkę.

– Nadal wierzę, boże, że tu będzie druga część mojego życia; że tu przygotowałaś dla mnie najwspanialszą część mego Cursus Honorum, chociaż droga nie będzie tak prosta, jak myślałem na jej początku i, by tu wrócić w triumfie, muszę najpierw stąd ujść w sromocie – wyszeptał Adalgirk bezgłośnie, i wcisnął w szczelinę puszeki pod posążkiem banknot o godnym nominale.

Śnieg z deszczem przestał padać. Nad Urbens Ultum wyjrzało na chwilę krwawe, zachodzące słońce.

XLII

Wszyscy wiedzieli, że agostiański prokurtens nie znosi konnej jazdy, więc Adalgirk udał się na koński targ. Piękny hełm z orlimi skrzydłami wyrzucił w najbliższej bramie; szkarłatny płaszcz wywrócił na lewą stronę. Szarawa tkanina nie powinna wzbudzać podejrzeń.

Z odrazą wybrał jedną ze szkap. Wydało mu się, że koń jest silny, ale spokojny. Adalgirk targował się bez przekonania; zgodził się na kwotę niewiele niższą od zaproponowanej przez sprzedawcę. Mówił z wysiłkiem, sztucznym, ochrypłym głosem; po dobiciu targu najpierw odprowadził nienawistne zwierzę poza targ, zanim go dosiadł. Bał się, by przypadkiem nie podwinął się płaszcz i nie ukazał szkarłatnego wnętrza.

Koń okazał się posłuszny zgodnie z oczekiwaniem. Adalgirk wolno, nie niepokojony przez strażę, wyjechał z Urbens Ultum. W świetle zachodzącego słońca czerwieniał szczyt południcy, na którym zostanie wzniesione mauzoleum, a mieszkańcy Ultum za pięćdziesiąt lat nazwą je Due Corda, Dwa Serca, na pamiątkę dobrego władcy i jego ukochanej pani. Za następnych pięćdziesiąt lat złodziały firn na zawsze skuje budynek błyszczącą pokrywą; jeszcze później całe Ultum uśnie pod grubą warstwą górskiego szkła i nikt nie będzie pamiętał o samotnej budowli ukrytej na jednym ze szczytów.

Adalgirk pokręcił głową, patrząc na prosty, wąski żleb schodzący z wierzchołka i przecięty wyraźnym poziomym zacięciem, formujące razem znak krzyża.

– Zresztą, może właśnie dlatego umieścił mauzoleum na południcy. Głupiec, nie pomoże mu to w zeznaniach... – rzekł do siebie prokurtens, obojętnie wzruszając ramionami.

Na niebie wschodziły gwiazdy; każdej nocy było ich mniej. Ruszył ku Malgum.

XLIII

Adalgirk był wytrzymałym mężczyzną i potrafił jechać przez całą noc, wolno, by nie wzbudzić czyichś podejrzeń, ale bez postojów; pół czuwając, pół drzemiąc. Pomagał mu chłód. Noc była pogodna, niebo wygwieździło się, a koń zdawał się wypoczęty.

Ze świtem dojechał do maleńkiej osady, Malga Lutetia, na drodze do Malgum. Nikt tam, oczywiście, nie wiedział o rozkazie aresztowania Adalgirka, ta wiadomość musiałaby go wyprzedzić, a na trakcie był przez całą noc sam. Adalgirk założył, że próbę aresztowania Aristam

przedsięwziął w całkowitej tajemnicy – i nie mylił się.

Pozwolił sobie na obfity posiłek zakrapiany winem. Stale dbał, by go nie rozpoznano. Podawał się za architekta, Wiktora rodem z Batavum, który zmierza do Malgum z polecenia tetrarchy, by sporządzić plany rozbudowy fortyfikacji. Po dwóch godzinach, nie spiesząc się, by nie wzbudzić podejrzeń, osiodłał konia i wyruszył.

Z Urbens Ultum do Malgum było półtora dnia, więc pozostawał jeszcze dzień jazdy. Dokładnie odpowiadało to Adalgirkowi. Nie przypuszczał, by mogła za nim ruszyć pogoń akurat ku Malgum, które beznadziejnie kończyło trakt przed murem białych szczytów i czarnych, kruchych turni Albów. Z pewnością Theodorik obsadził drogi ucieczki ze stolicy, ale nie pomyślał o miejscu oddzielnym od świata barierą nieprzebytych gór.

Tymczasem Adalgirk postanowił zmierzyć się właśnie z górami, którymi pogardzał dla ich brzydoty, ale które właśnie teraz dawały mu szansę.

Postanowił zdrzemnąć się w kulbace, podobnie jak w nocy, kiedy przespał dobrych parę godzin na grzbiecie mądrego wierzchowca. I tym razem ten masywny towarzysz, którego imienia Adalgirk nie zamierzał poznać, ale którego już zdążył znieubić, stanął na wysokości zadania.

Adalgirk był bardzo zmęczony. W gospodzie trzymał się napięciem nerwów, by nie usnąć. Kości bolały. Teraz zupełnie przestał się bronić senności. Przykry dla niewyspanego słoneczny dzień upłynął mu w serii krótkich migawek z pastelowymi krajobrazami, w których coraz wydatniej dominowały szpetne góry nakryte czapą górskiego szkła. Pod wieczór Adalgirk był u stóp doliny wznoszącej się ku Malgum. Zsiadł więc i wyłożył się na trawie. Pogardzany czworonożny sojusznik skwapliwie wziął się za łączkę.

W dole panował zupełny spokój, ani śladu pościgu tetrarchy. Potem oczy zamknęły się same. Obudził prokurenta chłód i lekkie uderzenia końskich chrap. Adalgirk z niechęcią uchylił się od zwilżonych śluzem czułości rumaka.

Wspiął się na nienawistnego potwora. Ból wszystkich kości przypominał o trudach podróży. Krótka drzemka przyniosła odprężenie, ale paradoksalnie, ujawniła, jak bardzo jest wyczerpany. Do Malgum powinno pozostać mniej niż trzy godziny. Tak jak teraz, było dobrze. Nie chciał, by zauważył go ktokolwiek z załogi Malgum. Doskonale znał topografię tej wartowni i wiedział, jak uniknąć wścibskich oczu straży.

Przed dalszą drogą owinął kopyta końskie szmatą, by nie niósł się ich stukot. Przez Malgum zamierzał przejechać nocą. Koń wolno wspinał się górską doliną; kiedyś Adalgirk szedł tędy pieszo. Światło zachodzącego słońca przyjemnie układało się w dolinie. Trawy już zrudziały; turnie pokrywała warstwa świeżego śniegu po ostatnich opadach. Z góry, ścieżką schodził niewolnik. Szara opaska.

W pierwszym odruchu Adalgirk chciał go zabić, zaraz jednak uznał, że nie ma to sensu. Wcześniej rozповідаł, że architekt jedzie do Malgum, a niewolnik schodził w dół, więc dowie się, kogo spotkał po drodze. Natomiast świeże zwłoki niewolnika przy ścieżce musiałyby wzbudzić

podejrzenia.

Adalgirk obojętnie ominął dzwigającego okazały tobiół umęczonego mężczyznę, który zszedł z drogi, by go przepuścić. Dopiero wyżej zorientował się, że tamtego mogły zastanowić owinięte szmatą kopyta końskie. Było zbyt późno, żeby wrócić i naprawić błąd.

Odczuwał narastające znużenie. Złościło go to, sądził dotąd, że jest w lepszej formie. Ta nieszczęsna drzemka zamiast pomóc, jeszcze bardziej go osłabiła.

Malgum ominął w ciemności skrajem piarzyska, nie zbliżając się zanadto do fortu. Wartownicy nie wypatrzyli go, gdyż nie spodziewali się nikogo. Widział pochodnie, w ich blasku krzątanie żałogi. Noc była księżycowa. Koń łaskawie nie zarżał.

Dopiero nad Malgum odważył się sięgnąć po bukłaczek z winem kupionym w Lutetii. Było ostre, cierpkie.

Cienkie monti pulcinum – rozpoznał bezbłędnie. – Ale w górach wydaje się jakby mniej cienkie...

Należało pozostawić konia. Adalgirk zjął siodło, uprząż i lekkim kłapsem przegnał rumaka. Trudno byłoby go zabić po cichu.

Ukrył siodło i uprząż pod kamieniami, potem zarzucił na ramię torbę z żywnością. Zaczął wspinaczkę krętą ścieżką. Dobrze pamiętał drogę, a pomagał jasno świecący księżyc. Adalgirk kilkakrotnie zatrzymał się, by posilić się suszoną rybą i chlebem. Pił wodę z potoku – nie mogła nieść z sobą zarazy, co najwyżej nieco mułu.

Już po północy osiągnął płaszn, gdzie potok rozlewał się leniwie, jakby gotując się do szaleńczej drogi w dół dolinę.

Widmowo jaśniał jezor górskiego szkła. Najlepiej wejść nań skrajem, szerokim łukiem omijając wyciętą ścieżkę wiodącą do Fortens Primus. Ale przedtem Adalgirk zjadł obfity posiłek i popił winem. Nie chciał nosić zbyt wiele, bo wspinaczka po masie górskiego szkła wymagała wysiłku, a według obliczeń Rechona, droga nie wydawała się szczególnie długa: dzień na przełęcz, a za przełęczą były już placówki Rom.

Po odpoczynku założył psie zęby i dobył miecza. Wspiął się na jezor w dobrym, wygodnym miejscu. Szkoda, że nikt nie mógł podziwiać sprawności Adalgirka, gdyż wspinaczka szła mu znakomicie: już wcześniej podpatrzył tajniki drapania się po górskim szkłe i teraz umiejętnie to wykorzystywał.

Był dumny, że tak łatwo nauczył się pokonywać szklane góry, o których w traktatach geograficznych pisali, że są niedostępne. Mimo nocy i obciążenia czuł teraz, że jest dość silny i wprawny, by pokonać górskie szkło.

Przyszło mu do głowy, że właśnie on może mieć w sobie nieco pierwiastka boskiego, bo to właśnie on, Adalgirk, odrzuca ludzi z Ultum z podobną wzgardą, z jaką ów dziwny, kapryśny Bóg

Żydów wzgardził ich światem. Zaraz potem pomyślał, że doskonale poradzi sobie sam, nie potrzebuje żadnego boga do pomocy.

Tak rozmawiając ze sobą, dumny Adalgirk próbował pogodzić się z niezaprzeczalnym faktem, że został oto zmuszony do ucieczki. Czuł przecież upokorzenie, chociaż wmawiał sobie, że wróci tu jako zwycięzca. Wreszcie uświadomił sobie nieodparcie, że to nie on odrzucił Ultum, lecz Ultum go odrzuciło zapewne bezpowrotnie. Wtedy z wściekłością palnął w lód swym wspinałym, partyjskim mieczem, aż zajęczała stal.

Ten dźwięk przywrócił go rzeczywistości. Adalgirk ocknął się z mglistych rozważań, zawładnęło nim uczucie przenikliwego chłodu. To było coś nieoczekiwane. Planując ucieczkę tą drogą, nie przypuścił, że może tu być aż tak zimno. Byle do rana... – pomyślał. – A potem ku przełęcz.

Charakterystyczny chrzęst górskiego szkła zmienił się w skrzypienie śniegu. Na razie nie miało to wielkiego znaczenia, chociaż szło się gorzej, stopy zaczęły się zapadać.

Do świtu dotrwał zupełnie przemarznięty. Był już ponad Fortens Primus; widział żołnierzy krzątających się na pomoście. Nie obawiał się ich pościgu. Ciemni żołdacy z pewnością nie poważiliby się gonić go po białej powierzchni, tak daleko od swojej placówki, oddzielającej ich kraj od tajemniczych, górskich pustaci.

Wstawał słoneczny, lecz mroźny dzień, gdyż była już późna jesień, nawet w dolinach. Adalgirk wszedł w pułapkę: mocno poszczeliniony obszar pokrywała warstwa świeżego śniegu skrywającego szczeliny. Przechodząc mosty śnieżne, nie wiedział, że pod każdą taką kruchą strukturą czai się mroźna paszcza, która gdy schwyci, to odbierze ramiona, a przynajmniej włosy i palce, odda zaś go po latach co najwyżej w postaci woskowej lalki. Nie zdawał sobie sprawy, że szczęście nie może mu sprzyjać za każdym razem i wreszcie któraś z tych paszcz się otworzy.

Zatrzymując się, przetarł dłonią twarz, spoconą mimo mrozu. Pod naciskiem palców pękł pierwszy wrzód na lewej skroni. Adalgirk niechętnie spojrział na roztartą na dłoni ropę.

Byle na przełęcz – pomyślał. – W dół będzie łatwiej. Choroba w pełni rozwinie się dopiero za dwa, trzy dni, a wtedy będę już w Rom...

Mozolnie, nieświadom podejmowanego ryzyka, wspinał się dalej. Choć może by zawrócił, gdyby wiedział, że Recho nieco pomylił się w obliczeniach i od Rom dzieli go nie jedna, lecz trzy takie przełęcze, przedzielone dwiema nie zamieszkanymi dolinami.

Prad-Trafoi-Mediolan-Rzym-Kraków

sierpień-październik 1994

I

Było przykre, ciemnawe popołudnie listopada. Przynajmniej przestało padać. Na razie. Jak co dzień, Alfred Dyjak przemierzał Śląską zwykłym, szybkim krokiem, nieznacznie pochylony do przodu. Na ramieniu miał przewieszoną torbę z brązowego skaju, nieco rozerwaną wzdłuż zamka błyskawicznego. Z rozpiętej torby wystawała butelka mleka z aluminiowym kapslem zabezpieczonym plastikową nakładką. Czuł się źle i wszystko wydawało się mu jeszcze bardziej obce i wrogie niż zwykle. Nie lubił siebie ani otoczenia, w którym się obracał: ludzi, przedmiotów. Kac po wczorajszym wieczorze wznagał tę niechęć.

Mijając mały sklepik, zdobył się na spostrzeżenie, że obecnie nie sprzedają w nim płyt gramofonowych, lecz nadali mu zabawną nazwę: Drewno.

Nieco wcześniej o mało co nie został przejechany przez pomarańczowego malucha i teraz uświadomił to sobie. Brodaty kierowca wychylił się wtedy za nim i coś krzyknął. Dyjak sądził, że kierowca powinien być wąsaty, a fiat złoty. Po chwili zapomniał o tym. Przeciągnął językiem po suchych wargach.

Był wykończony, jakby nie spał od niepamiętnych czasów; przynajmniej wszystkie lekcje przebiegły spokojnie. Dyjak uczył starsze dzieci tak zwanych robót ręcznych, czyli parodii pracy rzemieślnika, najmłodszych zaś nieszczęśników tak zwanego nauczania początkowego, czyli wszystkiego po trochu. Udręka była wzajemna, gdyż ostatnio szkoła otrzymała w darze mikrokomputer „Meritum”, który dostał się pod opiekę Dyjaka, uznanego, szkolnego specjalisty od techniki. Niestety, instrukcje zostały napisane niezrozumiale i Dyjak nie mógł sobie z nimi poradzić. To poniżało go we własnym wyobrażeniu; tym bardziej że niektórzy z jego znienawidzonych podopiecznych zdążyli już się nauczyć, jak biegle obsługiwać nieznośną maszynę.

Jego wyobraźnię opanował natrętny, wyrazisty obraz. Dyjak poczuł rzadkie powietrze, zimne i czyste.

– Jak w górach – przypomniał sobie ostatnie wczasy spędzone w Zakopanem i instynktownie wchłonał nozdrzami ciężkie i wilgotne powietrze jesiennego miasta. Chodniki były jeszcze mokre po deszczu.

Istniały dwie współbieżne rzeczywistości: to chłodne i zatęchłe popołudnie i tamto również chłodne, lecz rozświetlone i rześkie. W mroźnym, rozrzedzonym powietrzu lekko opadało niewielkie ziarno; owalne i pobrużdzone, brunatne. Wydawało się tak lekkie, że gdyby dmuchnął, zmieniłoby tor swego lotu. Blask zmieniał ziarno, wolno, lecz zauważalnie: pęczniało i rozkładało pomarszczone dotąd powłoki. Wkrótce przestało spadać; szybowało na niedużych i smukłych skrzydełkach z pożyłkowanej i przeświecającej błony.

Dyjak przyspieszył, dokładnie stawiając stopy. Uważał, że na chodniku są miejsca, na które powinien stawać, by było dobrze. Chciał przeczekać niezrozumiałe, natrętne obrazy. Obiekt widziany oczyma duszy próbował sterować swoim lotem: nieporadnie zakręcał, zwalniał lub przyspieszał lot – jakby uczył się manewrowania.

Wizja znikła, ale to go nie ucieszyło, gdyż nadal czuł się podle. Doszedł do skrzyżowania; zauważył, że drzewa na skromnym pasku zieleni dzielącym jezdnie Alej prawie zupełnie straciły liście. Wszedł do sklepu spożywczego. W kolejce stały dwie starsze kobiety z siatkami na zakupy. Dyjak unikał nieoczekiwanych ruchów, bojąc się naruszyć delikatną równowagę świata. Spokojnie stanął w kolejce. Wygląd tego sklepu zależał od Dyjaka. Gdy przyszła jego kolej, zdążył jeszcze powiedzieć:

– Proszę wino Regal – i rzeczywistość załamała się. Sklep stał się ciemną, pustą, zrujnowaną salą. Szyby potłuczone; z sufitu zwieszały się girlandy jakichś łachów czy pajęczyn. Na półkach pył, kawałki gruzu. Wokół panował półmrok. Dyjak zacisnął szczęki, aż zęby zgrzytnęły; przymknął powieki. Chciał, aby to zniknęło i wiedział, że zależy to od jego wysiłku. Po chwili otworzył oczy, ale ponury obraz zniknął opornie. Powoli, naprzeciw niego, za odtwarzającą się ladą pojawił się widmowy kształt. Przypominał szkielet, ale wkrótce potem stał się kobietą w białym chałacie i czepku na rudawych i pokręconych włosach. Sprzedawczyni podała mu butelkę. Zawahał się.

Za dużo piję... cholerne zwidy – pomyślał, jednak sięgnął machinalnie do kieszeni swoich marmurkowych džinsów, z których był dumny; wyciągnął kilka zmiętych banknotów. Odliczył i położył na ladzie. Marudził coś jeszcze, więc sprzedawczyni spojrzała na niego wyczekująco. Dyjak przeciągnął spoconą dłoń po przerzedzonej blond czuprynie. Zaprzeczył skinieniem głowy. Nie chciał kupować niczego innego. Wsadził butelkę z Regalem do torby, obok butelki z mlekiem, i wyszedł ze sklepu. Starał się nie rozglądać, w zabobonnej obawie, aby wizja nie powróciła.

II

Poszedł Alejami ku Prądniczej. Po drodze wstąpił do sklepu z narzędziami. Chciał kupić kilka kołków rozporowych, aby w swoim mieszkaniu zawiesić na betonowej ścianie nowe dzieło. Przez mgłę przypominał sobie, że jego hobby to malowanie obrazów. Najtańszymi farbami olejnymi i zawsze w tym samym formacie, ponieważ zawsze rozpiął płótno na rysownicy kreślarskiej. Gdy

farby wyschły, trudno było oderwać obraz od deski, gdyż farby przesiąkały i płótno przyklejało się.

Mroczne wnętrze sklepu wyglądało zwyczajnie: krótka, a pomimo to stłoczona kolejka rolników z pobliskiego placu warzywnego i bazaru na Kleparzu.

Ustawił się w kolejce, oczekując na następną porcję udręki. Za nim stanął zwalisty mężczyzna o czerwonej, nabrzmiałej twarzy i chuchał mu w kark odorem przetrawionej wódki. Dyjak podrapał się po prześwitującym ciemieniu. Wiedział, że natręctwo powróci.

Tym razem wizja nie była przykra, emanowała z niej nieokreślona życzliwość i ciepło. Znów ten uskrzydłony przedmiot; znów zmieniony: dłuższy, z niedużymi stabilizatorami – jak samolot. To skojarzenie przywiodło przed oczy panoramę wokół lecącego przedmiotu. Gdzieś nisko, ginąc w mętnym błękicie, płynęły fantastycznie postrzępione, białawe kształty.

Dyjak raz w życiu leciał samolotem: do Warny. Wtedy przypatrywał się chmurom. Te wyglądały podobnie. W samolocie do Warny jadł szynkę z plastikowej rynienki, a stewardesa miała oczy zbyt blisko siebie. Teraz czuł nieznośny odór oddechu stojącego za nim mężczyzny. Wiszące lub leżące na półkach narzędzia wydawały się nierealne: zbyt równe, błyszczące; zbyt dobrze wykonane.

Tracę poczucie rzeczywistości... powinienem zgłosić się do lekarza – kolejny raz przetarł dłonią spocone czoło.

Pasek rozluźnił się i torba spadłaby mu z ramienia, ale zdołał ją przytrzymać. Jedyne klasówki, które niósł do domu, do poprawy, sypnęły się na podłogę. Schylił się i pozbierał je z zabłoconego lastryka. Zdumiał się: to były wyłącznie podpisane, puste kartki, niektóre pobrudzone błotem. Gorączkowo przeglądał kartkę za kartką. Wszystkie puste, bez wyjątku, nawet te podpisane przez najlepszych uczniów.

Co to? Bunt? – zakołatało. – Przecież tematy nie były zbyt trudne...

– Dla pana?... – zamyślenie Dyjaka przerwał głos sprzedawcy.

Sprzedawca był wysokim i przeraźliwie chudym brunetem o siwiejących skroniach i w granatowym chałacie.

Dyjak podrapał się w bok. Miał na sobie szarą bluzę z wypukłymi, naszywanymi kieszeniami i nadrukowanym na prawej kieszeni czarnym orłem z rozpostartymi skrzydłami i napisem „Montana” oraz „Hamburg, Berlin, Paris, New York” poniżej orła. Był dumny z bluzy, chociaż nieco mniej niż z dzinsów, ponieważ była z butiku, a dzinsy z importu. Sprzedawca patrzył na niego z ledwie zauważalną odrobiną wyższości, wynikającą z przekonania, że taki facet, jak Dyjak, nie potrafi nawet fachowo nazwać tego, co chce kupić.

– Proszę rurkę do umywalki... taką w kształcie litery es – powiedział Dyjak, potwierdzając opinię sprzedawcy. Przeciągnął dłonią po przerzedzonej czuprynie. Bateria ciekła. Należało dokupić do niej nową rurkę. Dyjak odruchowo spojrział na dłoń: były dwa włosy.

– Chodzi panu o wylewkę?... – W głosie sprzedawcy nuta wyższości zabrzmiała wyżej o ton.

Nazwa była umiarkowanie cudaczna, ale nieźle oddawała rolę rurki, więc Dyjak przytaknął skinieniem głowy. Zdołał przyzwyczać się do najdziwniejszych nazw różnych akcesoriów, choć nie był pewien, czy to sprzedawca nie wymyśla tych nazw wyłącznie po to, by gnębić klientów.

Znowu ogarnęło go znajome uczucie. Przeląkł się, że wróćą halucynacje. Sprzedawca zawijał wylewkę w brązowy papier pakunkowy. Dyjak przypomniał sobie o kołkach rozporowych.

– Na stoisku narzędziowym. – Sprzedawca wskazał głową na drugą kolejkę. Dyjak stanął w niej zrezygnowany. Wiedział, że nie wytrzyma i natrętne wizje wrócą. Kolejka była długa. Dyjak starał się zająć myśli, aby nie wpaść w sidła wyobraźni. Poprawił i nieco głębiej wetknął wylewkę pomiędzy mleko i wino Regal. Nie pomogło. Obraz przed oczyma zafalował i sklep zniknął. Dyjak stał w miejscu otoczonym spiętrzonymi belkami; pod fioletowym niebem, takim jak o zachodzie słońca. Wokół gruz, ziemia i te belki. Wprawdzie nie widział ludzkich szczątków, ale obrazy rozpadu były bardzo przykre.

Powrót do rzeczywistości zaczął się od czyjś głośnego kichnięcia. Dyjak znów stał w mrocznym sklepie, zatłoczonym mężczyznami o czerwonych twarzach i sękatych, masywnych dłoniach. Poczul się niezbyt dobrze i oparł o stojący obok, mocno przyrdzewiały kaloryfer.

Cholerne majaki... Piję za dużo, o wiele za dużo... – pomyślał i już pojawił się nowy obraz: Skrzydlaty przedmiot wolno szybował nad szarą powierzchnią ziemi, przypominającą nieregularną, ale wyraźną szachownicę. Na prostokątnych lub kwadratowych, szarych polach wznosiły się niewielkie, nieregularne ruiny. Te kwadraty poprzedzielane wąskimi, prostymi liniami ulic, kojarzyły się z widokiem znanym i czasem oglądanym w telewizji.

Lecący przedmiot w kolejnych wizjach był coraz większy i bardziej rozbudowany. Jeśli nawet nie miał napędu, to potrafił precyzyjnie sterować swoim lotem. Dyjak darzył ten przedmiot sympatią, ale i lekkim respektem. Wizja stopniowo traciła na intensywności.

Przy drugim stoisku sprzedawała starsza, tęga kobieta, w granatowym chałacie.

– Sześć kołków rozporowych fi siedem... – powiedział z wystudiowaną obojętnością. Teraz i wylewkę mógłby kupić jak fachowiec. Zapłacił za kołki i wcisnął je do torby obok poprzedniego zakupu. Wyszedł ze sklepu.

Przyszło mu do głowy, że właściwie zamiast od razu wsiadać do tramwaju przy Kleparzu, mógłby najpierw zajrzeć do księgarni na rogu Długiej i Szlaku. Myśl ta wywołała w jego mózgu niechęć i sprzeciw, głowa aż chciała pęknąć. Odczucie pojawiło się nieoczekiwanie i gwałtownie, jak uderzenie pałki. Dopiero gdy Dyjak zrezygnował ze swego zamiaru, nacisk ustąpił.

To nie jest moja myśl. Zupełnie, jakby w mojej głowie siedział ktoś obcy...

Przejechał dłonią po karku. Namacał coś lepkiego i spojrzał na dłoń.

Osmarkał mnie skurwiel – pomyślał z odrazą i strzepnął rękę. Wyciągnął chustkę do nosa. Pośpiesznie pościerał szarawy śluz, w którym widać było czarne kropki – skondensowane

zanieczyszczenia wdychanego powietrza. Zwinął mokrą chustkę w ciasny tłumok i schował do kieszeni. Podrapał się w ciemność. Za paznokciami znalazły się porcje tłustego łupieżu. Obojętnie mijali tłum stojący na przystanku autobusowym. Czuł, że jego trasa stanowi wytyczoną linię, a pomimo to poszedł nieco inaczej, niż mówił wewnętrzny nakaz. Potracił wysoką dziewczynę w jaskrawoniebieskiej, ortalionowej kurtce i o długich szaroblond włosach. Stała z niewiele wyższym od niej mężczyzną w jasnobezowej kurtce, trzymającym białą, plastikową teczkę. Potracona dziewczyna syknęła z bólu.

– Chyba pierdoła idzie i śpi... – usłyszał niezyczliwą uwagę mężczyzny.

Dyjak przeczuwał nadejście kolejnych wizji. Wpatrywanie się w wilgotną powierzchnię bruku nic nie mogło zmienić. Każda myśl, że jednak mógłby wstąpić do księgarni, wywoływała udrękę.

Mogłem dostać po mordzie za tę dziewczynę – zdążył pomyśleć i znów wpadł w sidła swoich schorowanych myśli.

Znajomy przedmiot krążył bardzo nisko. Omijał wyniosłości o nieregularnych kształtach, brunatne, porowate, spękane. Zakręcał pomiędzy nimi, czegoś poszukiwał, badał. Widok tych pagórków był przykry: przypominały ruiny, chociaż bez drapieżnej ostrości świeżych ruin – daleko bardziej łagodne, wygładzone przez czas.

Dyjak zacisnął zęby, aż zgrzytały. To pomagało. Wysilek woli mógł osłabić natrętne obrazy. Dyjak przeklinał wczorajszą popijawę, przeklinał siebie i swoją słabość. Od dawna zamierzał skończyć z nałogiem, bezskutecznie. Odruchowo poprawił pasek na ramieniu. Zza zakrętu, z Prądnickiej wyjechało długie, nieporadne cielsko autobusu. Z piskiem gumy w przegubie oraz wysilonym rżeniem silnika wtaczało się w Aleje. Pomyślał, że tłumek na przystanku zostanie wchłonięty; może wsiądzie dziewczyna, którą potracił, i towarzyszący jej mężczyzna. Dyjak stał na przejściu dla pieszych, oczekując na zmianę świateł. Zaczęło nieco mżyć i oziębilo się jeszcze. Zapiąłby zamek kurtki, przypominającej krojem kurtkę mężczyzny na przystanku, ale chciał, żeby czarny orzeł na jego bluzie był widoczny. Dlatego jedynie skulił się z zimna i zgarbił. Wkrótce światła zmieniły się na zielone i Dyjak z tłumem innych ludzi przekroczył ulicę, brudną i mokrą. Zatrzymały go kolejne światła, przy pierwszej nitce Alej. Strumień samochodów szybko się skończył. Jezdnia była pusta, chociaż nadal paliło się czerwone światło. Jakaś dziewczyna, niska brunetka w obcisłych spodniach do pół łydki, przypominających kalesony, przebiegła ulicę. Dyjak bezmyślnie ruszył za nią.

Naraz dotarł do niego dźwięk milicyjnego gwizdka. Stali za budkami telefonicznymi, niewidoczni z przejścia. Teraz dopiero, gdy nie było już odwrotu z jezdni, wyszli z ukrycia. Jeden z nich skinął ręką na Dyjaka, który posłusznie poszedł. Drugi pogroził palcem przechodzącej dziewczynie, która odwróciła się.

– Pani to co?... daltonistka?... – rzucił za nią.

Dziewczyna odpowiedziała szerokim uśmiechem uszmkowanych ust, ale nawet nie zwolniła.

Obaj milicjanci byli młodzi, wysocy i barczyści. Spoglądali na drobnego Dyjaka z góry.

– Dowodzik proszę... – powiedział jeden z nich.

Dyjak z widocznym pośpiechem wyciągnął czarny portfel i wyjął z niego swój mocno sfatygowany dowód osobisty, jeszcze starego typu, z twardą okładką. Milicjant odpisywał dane personalne.

– Pan chyba dyrektor szkoły?... – powiedział z protekcyjną wesołością ten, co notował.

Dyjak niepewnie zacierał ręce.

– No, niezupełnie – wybąkał.

– To co, płacimy teraz czy na kolegium? – zapytał z udaną surowością drugi z milicjantów, a ten, co notował, parsknął śmiechem.

– Kobiety zawsze mają szczęście... – powiedział Dyjak. Miał jeszcze w zanadrzu stwierdzenie, że szedł jako drugi, za tą dziewczyną.

– Takie już jest życie – zauważył milicjant, który notował.

– No, wie pan... – plątał się Dyjak – nie mam przy sobie. W szkolnictwie płacą niewiele...

Milicjant skończył notować i oddał mu dowód. Obaj zasalutowali, zawrócili na pięcie i skryli się za budkami telefonicznymi, aby łowić następców Dyjaka.

III

Przy drugiej nitce Alej nie próbował przebiegać. Zaczekał na zielone światło. Gdy przypomniał sobie, że planował pójść do księgarni przy Szlaku, ból głowy wrócił. Ale nie zmieniło to jego decyzji. Zewnętrzny nacisk nasilał się. Ktoś obcy lub coś obcego, co wdarło się do głowy Dyjaka, domagało się, aby nie szedł do księgarni. Może poprzednio właśnie to coś zmuszało go do trzymania się ściśle wytyczonej, choć niewidocznej linii.

Przeszedł jezdnię i zaraz za kałużą i zniszczoną ławką miał zamiar zakręcić w lewo i stanąć na przystanku, oczekując na tramwaj jadący do centrum. Tak chciało to obce w jego głowie, które może zwało się: Kac... Dyjak zmusił swe nogi do ruchu, przeszedł przez tory tramwajowe i skierował się w Długą, ku księgarni. Presja ustała nagle, tak jak się pojawiła. Zwyciężył. Czuł się lekko i rześko.

Pieprzone męki pijaka... – pomyślał, a jego postanowienie niepicia umocniło się. Minał przystanek tramwaju w kierunku przedmieść. Jak zwykle, tłumek oczekiwał na tramwaj.

Od czasu jak przedłużyli linię na Osiedle Trzydziestolecia, tyłu ich tu stoi, że trudno przejść – pomyślał z niechęcią. Lawirował pomiędzy stojącymi. Nie chciał kogoś potrącić. Znikła linia, której winien się trzymać. Obce zostało pokonane, a ta wolność była owocem zwycięstwa.

Zatrzymał się przy kiosku, by kupić żyletki. Obejrzał uważnie witrynę, szukając czasopism, które zwykle czytywał. Kioskarka podała mu małe, jasnobrązowo-ciemnobrązowe opakowanie Iridium Polsilverów. Zapłacił i niedbale schował resztę do kieszeni, żyletki wrzucił do torby, naciągnął kołnierz na kark i ruszył szybkim krokiem, bo znowu zaczęło siąpić. Minął mur oddzielający zapuszczony i rozległy ogród przytułku od szarej, zabłoconej ulicy. Przeciął ulicę Helclów. Każda przecznica manifestowała się w mózgu swą nazwą. Dyjak z wysiłkiem weryfikował w pamięci ich poprawność. Myliły się te nazwy, choć przecież była to jego codzienna trasa.

Wspomniał o swoich rojeniach i przywołane wróciły. Wizja była tak sugestywna, że zatracił poczucie rzeczywistości. Ukazało się fioletowe niebo pogodnego, mroźnego wieczoru. Znów sceneria jakichś zmurszałych ruin lub pokrytych pyłem pagórków. Atmosfera spokoju i ciszy miejsca, do którego chce się uciec. Znany mu z poprzednich wizji, skrzydlaty przedmiot, czy może żywe stworzenie, kroczył po ziemi na kilku wysokich i cienkich, pieszczelowych odnóżach z zaznaczającymi się grubszymi przegubami. Już nie przypominał małego samolotu, lecz owada, jętkę lub złotooka ze złożonymi nad grzbietem skrzydłami i skrzydełkami sterującymi. Na boki od podłużnego korpusu wystawał szereg szypułek czy wyrostków. Niektóre z nich, te przypominające brunatne liście, kierowały się ku światłu; inne mogły być narządami zmysłów, gdyż wysuwały się do przodu, gdy kroczył. Tak ogromny owad mógłby się wydać odrażający, lecz Dyjak wiedział, że jest przyjazny i to nie pozwalało się brzydzić.

Dyjak zrozumiał, że to coś w rodzaju udzielonej mu kolejnej lekcji. Zgodnie z domysłem, wizja rozmyła się i zniknęła. Dalej szedł brudną i zabłoconą ulicą. Minął kapliczkę stojącą w miejscu, gdzie łączą się obie nitki ulicy Długiej, obejmujące bazar na Kleparzu. Pomyślał, żeby później pójść coś zjeść do obskurnego baru naprzeciwko księgarni. Jak zwykle, szedł dość szybko ze zwieszoną głową, patrząc pod nogi.

Nagle z całej siły uderzył głową o coś i odbił się tak mocno, że upadł na bruk. Podniósł się, myśląc, że przez nieuwagę wpadł na słupek. Z rozbitej butelki wylało się mleko. Regał ocalał. Dyjak próbował jakoś wytrzeć swoje spodnie i ręce z błota w wilgotną jeszcze chusteczkę do nosa. Starannie wytrzepeł z teczki wylane mleko. Znów przed oczy nasunęły mu się zawałone klasówki jego wychowanków. Pościerał z nich mleko i wepchnął je do torby. W końcu doprowadził się do jako takiego porządku. Założył na ramię swoją skajową teczkę i ruszył dalej. Tym razem uderzył z mniejszym impetem. Zachwiał się, lecz nie upadł. Aż serce skoczyło mu do gardła: Uderzył w nic. Przed nim nie było nic oprócz powietrza, żadnego słupa, żadnej przeszkody, a jednak nie dało się przejść. Namacał rękoma: niewidzialna zaporą przegradzała chodnik. Była sprężysta i elastyczna. Dyjak macał w powietrzu jej przebieg. Szedł w poprzek jezdni, zgodnie z przegrodą. Powierzchnia była wszędzie równa, płaska i dawała się minimalnie uginać. To była rzeczywistość, nie efekt kaca. Już zaraz biegał po jezdni, jak szczur po klatce, wodząc wyciągniętymi rękoma po przeszkodzie. Nie zwracał uwagi na przejeżdżające samochody, jakoś nie zauważając, że dla nich bariera nie istniała. Już do pół łydki ochlapał swoje marmurkowe dżinsy. Po drugiej stronie ulicy znalazł miejsce, w którym bariera dochodziła do muru, i nie bacząc na to, że papra sobie ręce i rękawy kurtki, odkrył, że

bariera sięga od bruku przynajmniej tak wysoko, jak zdołał sięgnąć w podskoku rękami. Założył na ramię nieodłączną torbę, którą był odstawił w czasie podskakiwania. Ubłocone denko torby zostawiło na jego jasnoszarej kurtce brunatną pręgę. Brudnymi rękami przejechał wzdłuż bariery, wracając tam, gdzie zderzył się z barierą pierwszy raz. Jego dłonie zostawiły w powietrzu kreskę, brunatny ślad wyznaczający zasięg światła; ślad kreślił się tak długo, jak starczyło błota na upapranych dłoniach. Zaraz potem kreskę przeciął, bez najmniejszego wysiłku, nie ogolony, szary facet na rowerze.

Kolejna wizja dała wytchnienie od zdumiewającej rzeczywistości. Przyjął nadchodzące z głębi mózgu obrazy jak ulgę. Znajoma sceneria: łagodne światło, pogodny wieczór i brunatne, podobne do owada stworzenie. Jego skrzydła zmieniły się w talerzowate anteny uniesione ku światłu. Stało nieruchomo na szczudłowatych, zakotwiczonych w gruncie odnóżach i brunatnymi, smukłymi ramionami powoli, metodycznie rozgarniało jeden z kopców. Pomimo przesadnej smukłości ramiona były wystarczająco silne, aby przenosić spore brunatne grudy. Zagłębiało się coraz bardziej w brązową glebę. Wizja otrzeźwiła Dyjaka.

Postanowił działać. Pobiegł w boczną przecznicę, w ulicę Helclów, w nadziei że może tamtędy uda mu się wydostać. Po kilkunastu metrach jego wyciągnięte ręce trafiły na identyczną przeszkodę. Niewidzialna powierzchnia rozciągała się od kamienicy po prawej stronie ulicy do muru otaczającego ogród przytułku po lewej stronie. Postanowił próbować przy każdej przecznicy. Aby zyskać na czasie, chciał nieco podbiec, ale potknął się o krawężnik i runął na bruk, tym razem na wyciągnięte dłonie. Silny ból stłuczonego kolana upewnił, że to jawa, nie koszmarny sen. Wino Regal przetrwało i ten upadek, chociaż klasówki nadawały się już tylko do wyrzucenia. Wrócił z powrotem do bariery idącej w poprzek Helclów i zaznaczył w powietrzu jej istnienie, wycierając sobie w nią ręce.

Przydała się do czegoś... – pomyślał z satysfakcją.

IV

Z dumą pomyślał, jak wielka jest jego odporność nerwowa. Świadomość znajdowania się w klatce i pewność, że to ponura jawa, nie zdołały wywołać u niego obłądnego strachu, lecz tylko zdumienie. Stać go było nawet na żarty.

Wracał, aby poszukać wyjścia ze swej klatki od strony Alej lub Prądnickiej. Z drgnieniem niepokoju minął kiosk, w którym poprzednio kupował zyletki. Coś, dojrzone kątem oka, w tym kiosku zaintrygowało go, nie dało spokoju. Przyjrzał się uważniej i zamarł z rozdziawioną gębą. Kiosk nie miał jednej ze ścian, tylnej. Ogłupiały Dyjak podszedł bliżej i zajrzał do środka. Wewnątrz kiosku nie było nic. To znaczy, ściany od wewnątrz istniały, ale powieleły dokładnie kształt kiosku widziany od zewnątrz. To tak, jakby ktoś w miejsce kiosku postawił jego kopię odcisniętą w niezwykle

cienkiej folii i pomalował ją odpowiednimi farbami, które przesiąknęły na wewnętrzną stronę folii. Jedynie w miejscu podłogi była mętna, kłębiąca się szarość. W odbiciu frontowej ściany coś poruszało się. Dyjak przyjrzał się uważniej i tym razem nogi się pod nim ugięły: to była odcisnięta, ruchoma forma górnej połowy kioskarki. W miejscu, gdzie kobieta miała usta, pojawiał się wystający nieco kształt, w chwili gdy coś mówiła do klientów. Było to widoczne od przodu, wycięte wewnątrz jej ust. Tego było Dyjakowi za wiele, cofnął się, czując grozę. Wszystkie poznane w młodości niesamowite historie ożyły, wywołując gęsią skórę na grzbiecie przykrytym bluzą Montana. Obszedł kiosk i od frontu ujrzał zwykłą kolejkę klientów i krzątającą się, niemłodą kobietę wewnątrz. Znowu zajrzał od tyłu – tam nadal widać było wycięte wewnątrz. Wrócił i stanął w kolejce za ładną dziewczyną, dość wysoką. Chciał sprawdzić, czy wydrażona kioskarka obsłuży go normalnie. Obserwował witrynę. Wzrokiem omiół wewnątrz cal po calu, ale wszystko było w porządku. Tytuły czasopism, które widziane od wewnątrz wydawały się odbite zwierciadlanie, obecnie mógł czytać normalnie. Nic nie wskazywało, że nie jest to zwyczajny, brudny kiosk.

Uwagę jego przykuł policzek dziewczyny. Miała drugi podbródek nie harmonizujący ze zgrabną sylwetką. Intrygowało coś innego: od strony kiosku granica pomiędzy kołnierzem kurtki i włosami była zamazana, jakoś tak niewyraźnie zarysowana. Gdy odwróciła się do okienka, Dyjak się wzdrygnął: jej prawy policzek i włosy ponad nim stanowiły rozmazaną, niewyraźną plamę z ledwie zarysowanym, nieco ciemniejszym okiem. Właśnie tak Dyjak wyobrażał sobie ducha.

– Ma pani jeszcze „Echo”? – zapytała niskim altem. Gdy usłyszała przeczącą odpowiedź, zamierzała odejść, ale Dyjak był szybszy: musiał to wyjaśnić. Błyskawicznie, jak tylko pozwoliła dyndająca na ramieniu torba, doskoczył do dziewczyny i złapał ją za ramiona. Odwróciła ku niemu zdumioną, lewą stronę twarzy. Dyjak wyczuwał przez materiał kurtki jej krągłe, wąskie ramiona, ale wykonał gwałtowny ruch, jakby próbując przez nią przejść. Zderzył się z nią gwałtownie, trafiając podbródkiem w jej nos.

– Aaaa!... – krzyknęła głośno. – Proszę mnie zostawić! To chuligan! Puść mnie! – Jej krzyk przypominał głos koleżanki uczącej rosyjskiego.

– Na pomoc!... Zboczeniec napastuje kobietę! Pomocy!... – krzyczała przeraźliwie kioskarka.

Dwóch mężczyzn z pobliskiego przystanku ruszyło ku niemu, głośno krzycząc i wygrażając. Nie zważając na szarpanie się dziewczyny i jej krzyki, Dyjak zdołał ponowić próbę. Jedną ręką trzymał ją nadal, drugą zaś wsadził w ten jej rozmazany policzek. Tym razem nie omylił się. Jego dłoń przeniknęła do wnętrza głowy nieznanym. Wyczuł też od wewnątrz jej włosy, ciepłą skórę twarzy, nawet poruszającą się szybko, wklęsłą i wilgotną gałkę oczną. Cofnął z obrzydzeniem rękę i odepchnął dziewczynę.

Jeden z mężczyzn był już blisko. Dyjak nie próbował uciekać. Mężczyzna był wyraźny tylko od jednej strony. Drugiej ręki ani drugiego ramienia nie miał wcale, a pomimo to próbował walczyć jak ktoś, kto ma obie ręce. Dyjak wykorzystał to i po pierwszym, zresztą niezbyt silnym, ciosie w szczękę, którego nie dało się uniknąć, przeszedł do ataku, pomimo że napastnik był wyższy. Trafił tamtego mocno kilka razy, a na dodatek pięść Dyjaka kilka razy przeniknęła do wnętrza mężczyzny. Drugi z nich nie włączał się do starcia, widząc niepowodzenia pierwszego. Istniał podobnie: tylko z jednej strony. Kioskarka, widząc nieoczekiwany rozwój sytuacji, ucichła i skryła się w kiosku.

Dziewczyna zaczepiona przez Dyjaka gdzieś uciekła. Gdy Dyjak przestał bić, tamten wycofał się na bezpieczną odległość, krzycząc coś pod jego adresem. Razem z tym drugim wzywali na pomoc milicjantów. To spłoszyło Dyjaka – sprawa mogła się skończyć na kolegium. Pozostała ucieczka. Poprawił teczkę na ramieniu.

Zaraz jednak ich zauważył, gdy biegli pośpiesznym truchtem. Ci sami dwaj milicjanci, którzy go wcześniej spisali. Za nim byli: ten pobity i ten drugi mężczyzna. Też zauważyli nadbiegających. Dyjak stwierdził, że nie ma szans, i biegiem rzucił się do ucieczki, tam, gdzie nie było przeciwników – na jezdnię, wprost pod dojeżdżający do przystanku tramwaj.

Uderzył głową w burtę wozu, ale oparł się ręką. Nawet go nie zamroczyło i byłby się odbił jak piłka, wychodząc bez szwanku, jednakże rękawem kurtki zahaczył o drucianą kratkę łączącą oba wagony. Szarpnięcie było tym razem straszne. I, niestety, kurtka nie zsunęła się mu z ramion, pomimo że była rozpięta. Tramwaj włókł go przez moment i Dyjak zdążył jeszcze zobaczyć obu milicjantów stojących z rozdziawionymi ustami, a jego wzrok spotkał się z ich przerażonym wzrokiem. Zaraz potem druga ręka wplątała się w coś i Dyjak poszedł pod koła. Poczuł najpierw jedno, potem drugie bolesne uderzenie. Zdołał jeszcze usłyszeć przeraźliwy zgrzyt hamulców wozu i przeleciał na drugą stronę...

Towarzyszył temu krótki, żółty błysk, jak przy nokaucie, i na tym się skończyło. Dyjak leżał na zabłoconej jezdni po drugiej stronie stojącego wagonu. Kurczowo obmacywał swoje ciało. Był w jednym kawałku i zdrowy. Nieco szumiało w głowie po uderzeniu o burtę wagonu. Spojrzał na stojący tuż obok tramwaj i dopiero teraz zrobiło się mu niedobrze. To był taki sam obiekt jak kiosk: cienka powierzchnia naśladowująca rzeczywisty tramwaj, od drugiej zaś strony ukazująca jego wynicowane wnętrze z przerażającymi odbiciami postaci pasażerów i wyglądającymi szczególnie obrzydliwie, poruszającymi się, wklęsłymi gałkami oczu. Każdy z wozów tramwaju miał koła tylko po jednej stronie i stał tylko na jednej szynie. Przypominał groteskową dekorację teatralną, żywą i ruchomą. Dyjak ze wstrętem patrzył, jak odbicia pasażerów tłoczą się przy oknach, żeby zobaczyć ofiarę wypadku. Zebrał się i założył swoją nieodłączną torbę na ramię. Wino Regal przetrwało i tę katastrofę.

Ostatnie wydarzenie wytrąciło go z równowagi. Pobiegł przez bazar na Kleparzu, roztrącając kłębiący się tłum kupujących i straganiarzy. Słyszał lecące za sobą wiązanki przekleństw. Z jednego ze stoisk potoczyły się żółte, dorodne jabłka.

– Będziesz płacił za każde z osobna, gnoju! – doleciał za nim wściekły krzyk przekupki. Na pierwszy rzut oka ona i inni, kręcący się po placu, nie sprawiali wrażenia wydrążonych powłok. Jednakże wystarczyło, by przebiegł kilkanaście metrów, a całe to skupisko krzątających się i zajętych praktyczną działalnością ludzi ukazało swą prawdziwą naturę: postaci uformowanych z cieńszych niż skorupka jajka powierzchni. Jedne z postaci brały leżące na fantomach straganów wydrążone skorupy owoców. Inne pakowały wydrążonymi, pustymi w środku rękoma te puste skorupy do fantomów toreb lub plastikowych reklamówek. Jedynie odbicia pustych, plastikowych reklamówek nieco przypominały normalny wygląd, to znaczy taki, jaki jest dany do widzenia zwykle. Jedynie napisy reklamowe były zwierciadlane odbite. Dyjak, w panice, roztrącał przeklinających go ludzi, którzy zaraz potem, z drugiej strony stawali się sylwetkami ledwie zarysowanymi w powietrzu, bo tak cienkimi. Za wszelką cenę chciał wyrwać się z tego. Biegł w dziwacznych podskokach; kulał, gdyż

uderzając o burtę wagonu rozbił kolano, które teraz piekło coraz bardziej. Wyciekająca leniwie krew przemoczyła już w tym miejscu spodnie. W końcu osiągnął murek po drugiej stronie bazaru. Postawił na nim nogę i zeskoczył z wysiłkiem na chodnik drugiej nitki ulicy Długiej. Jak i wszystko inne, niewysoki murek istniał tylko z jednej strony. Dyjak był pewien, że gdyby klęknął na bruku, schylił się i zajrzał pod spód, to ujrzałby od drugiej strony negatyw tej powierzchni, która jest zwykle dana do widzenia. Minął inny kiosk istniejący jedynie jako tylna ściana i jeden z boków i wybiegł na jezdnię Alej. Widział przed sobą przesuwające się znajome już sylwetki wydrażonych samochodów z fragmentarycznymi wydrażeniami sylwetek pasażerów. Dyjak zatoczył niemal pełne koło na swej drodze. Po drugiej stronie Alej przedzielonych skwerem był przystanek autobusu. Dyjak szedł w poprzek jezdni, nie zważając, że przez niego przejeżdżają widmowe samochody. Wiedział już, że groźne mogą być jedynie od tej strony, od której istnieją naprawdę, a on właśnie szedł od przeciwnej. Ominął sylwetki drzew, które od drugiej strony wydawały się drzewami, i fantom ławki, która od drugiej strony wyglądała zwyczajnie. Spokojniejszy, zatrzymał się przy ławce, na skwerze oddzielającym obie jezdnie Alej.

Cholera... – pogładził się po przerzedzonym ciemieniu – zaczynam rozumieć to wszystko... Czasem podejrzewałem, że tak naprawdę to istnieję tylko ja... Że inni są jedynie odbiciem moich myśli... stworzonym przeze mnie... takie moje wymysły...

I to jest tak naprawdę... oni wszyscy istnieją tylko od jednej strony, tak żebym ich widział, przechodząc. Właściwie, żebym ich widział, kiedy szedłem poprzednio na przystanek tramwajowy... Ale kac spowodował, że w porę nie stwarzam ich obroconych we właściwą stronę... to znaczy właściwą stroną ku mnie.

Wszystko: ludzie, rzeczy... ma naturę powierzchni... istnieje bardzo oszczędnie, tylko tak, abym ja je widział... są stworzone dla mnie... Ja... ja jestem podmiotem!... To tylko cienie moich myśli... Więc muszą być stworzone przeze mnie!... Bo któż inny niż ja stworzyłby to właśnie dla mnie, a nie dla siebie?... To ja sam stworzyłem to wszystko!

Zrozumienie sytuacji pozwoliło mu ochłonąć. Usiadł na ławce.

– Jeśli tak jest... jeśli taki jest świat, to trzeba go umiejętnie używać... jestem przecież jego panem i stwórcą... jedynym prawdziwym człowiekiem...

Złapał się na tym, że odruchowo przeciera ciemnię i sprawdza, ile włosów tym razem mu wypadło. Trzy. Zapiął ubłoconą kurtkę. W związku ze swoim odkryciem nie miał potrzeby dbać o wygląd zewnętrzny. Przecież to on narzucał kryteria piękności. Zawsze narzucał, sam nie wiedząc... Jedynie rozbite kolano pulsowało i mrowiło. Postawił sobie na kolanach torbę i zajrzał do środka. Na pierwszy ogień poszły klasówki.

Przecież to nie ma sensu – pomyślał i zaczął wycierać w nie swoje, ubłocone kolejny raz, dłonie. – Ale zrobiłem dla siebie niewygodny świat... Nigdy już nie będę poprawiał tego syfa... – Rozrzucił wokoło kartki papieru. – Chyba mam naturę masochisty... że wymyśliłem sobie takich kretynowatych uczniów... przecież nie jestem złym nauczycielem... jestem najlepszy... Ja!... Bóg ich wszystkich, Alfred Dyjak...

Wzrok jego spoczął na butelce wina.

Właściwie jestem jak w domu... dlaczego nie tu?... – pomyślał, obracając flaszkę w dłoniach – ale jak to otworzyć?... Wymyślę sobie scyzoryk...

Wpadł jednak na inny pomysł i wyciągnął z kieszeni pęk kluczy. Spróbował jednym z nich podważyć plastikowy kapturek na szyjce butelki. Tworzywo broniło się i stawiało opór, rozciągając się i bielejąc. W końcu pękło.

No, pewnie – pomyślał – przecież musiało, przecież jest tylko dziełem moich myśli...

Oderwał palcami kapturek do końca. Dużego korka nie było, a jedynie pozostał w środku dość płytki, plastikowy występ uszczelniający butelkę.

Korka nie mogło być, bo bym sobie z nim nie poradził – pomyślał z uznaniem o swojej pomysłowości. Powąchał butelkę i wyczuł delikatny aromat wina, kontrastujący z prostą etykietką. Pociągnął łyk z butelki. Wino było bardzo słodkie i bardzo mocne. Poprawił drugim łykiem i obtarł usta rękawem. Lubił wina tego typu, chociaż zawsze miał po nich kaca. Było samo przez się zrozumiałe, że wino jest dobre, przecież musiało takie być...

Oglądał uważnie białą etykietkę z soczystym czerwonym napisem Regal na czarnym pasku.

Ciekawe, skąd mi się to wzięło w głowie... – namyślał się. – Taka cudaczna nazwa?... Może to od regału? – nasunęło się.

Dyjak odłożył już prawie na cały regał, gdy ogłosili możliwość zakupów na raty. Poczł się tym oszukany, gdyż jego wysiłek niejako poszedł na marne. Obecnie mógł dorobić się regału, bez tak starannego kolekcjonowania wizerunków na banknotach. Wniosek ten go zdemobilizował, tak że dotąd nie zdobył się, aby coś wybrać w Gigancie albo innym sklepie meblowym.

Gigant jest najlepiej zaopatrzone... – pomyślał – bez sensu... ten będzie najlepiej zaopatrzone, który ja zechcę... w ogóle to wymyślę sobie jakiś regał już w mieszkaniu...

Przestało go to interesować, znowu pociągnął łyk i obejrzał etykietkę do końca. Powinno już zmierzchać, ale było jeszcze dość jasno, aby mógł czytać.

– Proszę, proszę... centralne piwnice win... na Kamiennej... – zdziwił się. – To tuż obok... Inteligentnie to wymyśliłem. Niezła podświadomość. Wpadnę tam potem po więcej. Przecież to też moje...

Sięgnął do torby po numer „Problemów”, pożyczony z biblioteki szkolnej. Na okładce był powtarzający się wzór z butelek. Pokiwał głową z aprobatą.

– Zdrowie redakcji! – Wychylił kolejny łyk.

Egzemplarz ten wcisnęła mu koleżanka ucząca rosyjskiego; był w nim pasjonujący, według niej, artykuł o płci. Dyjak kartkował czasopismo, ale co innego rzuciło mu się w oczy. Na stronach

poświęconych przedrukowi przeczytał tytuł: „Wskrzeszanie jaźni – przedłużanie istnienia”. Było tam napisane, że ślady przebiegów prądów czynnościowych kory mózgowej w sprzyjających warunkach zostają zapisane jako stabilna modyfikacja struktury tkanki kostnej formującej sklepienie czaszki. Może to mieć miejsce, gdy impulsy czynnościowe osiągają wysokie wartości, w szoku albo przy śmierci osobnika. Dodatkowym warunkiem zapisu jest zachodzenie względnie szybkiej wymiany materiałowej organizmu, przynajmniej jakiś czas po śmierci. Następnie autor snuł rozważania, że analiza mikroskopowych defektów struktury kostnej czaszki pozwoli czytać myśli.

– To jakieś brednie – skwitował i wyrzucił „Problemy” za siebie. Nie zwrócił uwagi na szybkość, z jaką przyswoił sobie treść artykułu. Znowu kolejny łyk. Dyjakowi nie było już zimno. Sięgnął teraz do torby po wylewkę i kołki rozporowe.

– No, to lecimy... w siną dal... – Wylewka, a za nią kołki poszybowały na trawnik. Zajrzał do środka. Torba była już pusta.

– Mogę cię przenicować! – zwrócił się do niej – nie jesteś mi już potrzebna... stara torba... – Roześmiał się i szerokim zamachem wyrzucił torbę w ślad za wylewką i kołkami rozporowymi. Myśl jego skierowała się na temat kobiet i oblizał się obleśnie. Jakoś dotąd nie miał do nich zbyt wiele szczęścia.

To ta moja pieprzona, masochistyczna natura – pomyślał, znowu wypił łyk i dumnie wypiął indyczą, wąską pierś – wszystkie będą moje... jak tylko zechcę... bo to tylko moje wymysły... a naprawdę jestem tylko ja.

Nabrał odwagi i pewności siebie.

V

Postanowił dostosować się do sytuacji, to znaczy używać życia w pełni. Wstał, obciągnął kurtkę i przyglądził włosy. Zatkał butelkę małym dekielkiem pozostałym po oddarciu kapturka i wcisnął ją w kieszeń kurtki. Przechodzący obok o lasce staruszek uważnie mu się przyglądał. Dyjak zainteresował się nim.

– Dziadek, napij się ze mną... – wystąpił z propozycją.

– Nie. Ja nie mam czasu. Muszę się zająć swoimi sprawami... – bronił się staruszek zdaniem jednego z rodziców z ostatniej wywiadówki. Dyjak silnie złapał go pod ramię i przemocą posadził na ławkę.

– Jak cię, dziadek, wymyśliłem, żebyś tu przyszedł, to siedź... – Logika Dyjaka była nieodparta.

Tamten był zbyt przerażony, żeby oponować. Przypominał kogoś. Dyjak otworzył zębami butelkę.

– To jest wino Regał, wykończenie ciemny orzech... – roześmiał się ze swojego dowcipu, a następnie wciągnął nozdrzami zapach z szyjki butelki – ten bukiet to też mój pomysł. No, dziadek, teraz twoja kolej – dodał, płucząc sobie usta kolejnym łykiem wina.

Starzec odpychał słabą dłonią wciskaną mu do rąk butelkę. Każde spojrzenie na niego przywodziło Dyjakowi kogoś na myśl. Próbował tłumaczyć się, że nie może, że jest chory.

– Nic ci nie będzie, dziadek. Pij, jak dają. Bez mojej woli nic ci się nie stanie. Ja jestem twój władca. Stwórca prawdziwy... Ja...

Staruszek bronił się z uporem, co w końcu rozzłościło Dyjaka. Ponownie zatkał butelkę i wcisnął na stare miejsce do rozepchanej kieszeni.

– No, spadaj dziadek. Nie chcesz, to nie... Ty bezsensowny wymyśle... – Szturchnął starego ze złością. Powstał z ławki i kopnął kosz na śmieci. Blaszone pudło zadudniło, wywracając się i rozsiewając wokoło odpadki. Starzec kulił się na ławce, nie usiłując nawet wzywać pomocy. Był mały i zasuszony.

– Ty!... – Dyjak mu pogroził i odwrócił się. Nitką Alej sunął korowód widmowych samochodów.

– Za szybko chodzisz, Fredziu... i wyobraźnia nie nadążyła z wytwarzaniem tych skorupiek. – Dyjak skomentował fakt oglądania świata od strony nie przeznaczonej do oglądania. Znowu odwrócił się w stronę staruszka, który zdołał powstać i zamierzał odejść.

– No, nie tak szybko, dziadek... – powiedział Dyjak i wyrwał mu z ręki laskę. – Będiesz wolniej chodził, żeby się nie poślizgnąć... – zachichotał i kilkakrotnie z całej siły uderzył laską w drzewo, żeby ją złamać. Nie udało się, gdyż zrobiono ją z twardego i sprężystego drewna. Obszedł więc drzewo i z drugiej strony wrzucił laskę w pusty obszar. Powoli, nie całkiem w zgodzie z grawitacją, laska opadła w szarą, mglistą nicość. Przypatrywał się jej majestatycznemu lotowi jak urzeczonemu.

– Fizyka. He... he... – zarechotał – atomy se wymyśliłem. Bez sensu. A fizyczka tłucze to w tych biednych głupoli. Albo to przelewanie ze szklanki do szklanki – chemia... Ciężkie bzdury. Substancja. A naprawdę to skorupki... Moje myśli obleczone w powierzchnię. Pofałdowana, kolorowa folia... tylko po to, bym żył w ciekawej scenerii.

Dyjak znudził się rozważaniami filozoficznymi i znów przyczepił się do starego, który nadal stał obok ławki i bezradnie kiwał się na boki. Dyjak podszedł do niego, złapał za ramiona i ponownie posadził na ławce.

– Masz szczęście, dziadek, bo istniejesz ze wszystkich stron. Dziękuj mi za to... swojemu stwórcy.

Przycisnął starego do ławki.

– Teraz siedź tu grzecznie i obserwuj kreatora, jak sobie chodzi.

– Będę obserwował kreaturę, jak chodzi – powiedział cicho staruszek.

Dyjak pogroził mu palcem.

– Ty, dziadek, uważaj, bo ja jestem nie z takich... i rozumiem twoje aluzje. Wrzucę cię w drzewo i po zabawie. Odfruniesz jak twoja laska...

– Ja i tak stoję nad drewnianą trumną. Drzewem mnie nie przestraszysz. Chuliganie jakiś! – Starzec uniósł się gniewem.

Dyjak przyjrzał mu się z uwagą, spostrzegł urażoną godność starego człowieka.

– Dobra, dobra... – Machnął ręką. – Teraz zajmę się kobietami. Co mi tam jakiś strupiesz... Ciepła, miękka baba, nie z ekranu – to jest coś.

Poszedł przez trawnik ku przystankowi autobusu. Lekko zataczał się. Chwilę szamotał się z barierką z łańcucha, w końcu przelazł przez nią. Przez jezdnię kroczył z rękoma wyciągniętymi do przodu, jak ślepiec. Był przekonany, że zdumiewające, nienormalne samochody jadące ciąglą strugą nie mogą mu zrobić nic złego, lecz pamiętał ból zderzenia z tramwajem i nieco obawiał się tych wklęsłych kształtów.

Skierował się ku tłumowi na przystanku. Lekko się zatoczył. Wino działało.

Przecież wsiadali do 164... – pomyślał, widząc tych samych ludzi, których wcześniej mijał. – No, ale są przecież w mej władzy... widać chciałem, żeby zostali... – wyjaśnił sobie. Tłum na chodniku stał nieruchomo. W oczy wpadła mu najładniejsza na przystanku wysoka blondynka, którą poprzednio potrącił. Skierował się ku niej. Szedł równo i starał się zejść ją od tyłu. Tymczasem ona i jej towarzysz przypatrywali się Dyjakowi uważnie.

– Zaraz zobaczymy, z której strony nie istniejesz, słodkie wymyślátko... – mruknął pod nosem Dyjak.

Dziewczyna istniała jedynie z przodu i obu boków, wewnątrz zaś była pusta. Dyjak wsadził jej rękę do środka i wyciągnął z obrzydzeniem. W miejscu piersi dziewczyna miała niewielkie poduszeczki z miękkiej i żółtawej masy, która obrała mu się na dłoni. Nagle poczuł, jak czyjaś ręka chwyta go za kołnierz. Gwałtowne pchnięcie rzuciło nim o mur. Mężczyzna stojący obok dziewczyny, z pewnością, istniał z każdej strony, a mur też był aż nadto realny. Dyjak upadł źle: uderzył łokciem w mur, a potem rozbitym wcześniej kolanem o bruk. Skulił się od gwałtownego bólu, ściskając prawą, potłuczoną rękę.

– Co za cholerna menda przypieprzyła się do ciebie – powiedział mężczyzna, oglądając nie istniejące plecy dziewczyny. – Zupełnie wybrudził ci kurtkę tą wyblóconą łapą. Jak chcesz, to go jeszcze kopnę w dupę. Takie gówno, a taki agresywny...

Pierwsze podejście do kobiet zakończyło się niepowodzeniem. Dyjak zbierał się z wysiłkiem, trzymając bolesną rękę, przygotowany do ucieczki, w razie gdyby tamten ponowił atak. Oni jednak już się nim nie interesowali. Mężczyzna wykonywał dziwne ruchy chusteczką, czyszcząc z błota nie istniejące plecy dziewczyny. Dyjak szedł wzdłuż muru, oddalając się od przystanku co tchu. Od strony muru widział, który spośród przechodniów jest wydrażony, który nieco zmętniony, a kto istnieje i od tej strony. Gdyby wracał wzdłuż tej samej linii, jak przed godziną, a nie przemykał pod murem, to wszyscy ci ludzie mieliby normalny wygląd. Byli stworzeni tak, aby wyglądać normalnie jedynie od strony poprzedniej drogi Dyjaka.

Mam oszczędną naturę – pomyślał z uznaniem o sobie – a chodzę za szybko... Nie nadążający za sobą stwórca. – Uśmiechnął się.

Zaraz potem obejrzał się z obawą, ale odetchnął, widząc, że tamten nie zamierza go ścigać, tylko zajmuje się swoją pustą znajomą.

Ależ ja jestem skomplikowany... – pomyślał z sarkazmem, ściskając bolesny łokieć. – Całkiem porozbijałem się o ten mój kochany świat. Cholerny intelekt, cholerna podświadomość... Gdybym był prymityw, to i świat byłby prostszy... bez takich...

VI

Rozmyślania jego przerwała narastająca wizja. Potężniała jak brudna, spieniona woda, nie wróżąc nic dobrego. Znów to samo znajome stworzenie. Niewiele się zmieniło: wystawione do góry, duże, talerzowate anteny; smukłe, lecz silne, podzielone wieloma stawami odnóża; brunatny, podłużny, nieco pomarszczony korpus. Skończyło już rozkopywać brunatny pagórek i wzrok Dyjaka spoczął na trzymanym w ramionach stworzenia obłym przedmiocie, dziwnie przykrym i podświadomie znajomym. Zaraz potem ukazały się spróchniałe, nadkruszone oczodoły, otwór na nozdrza, pojedyncze zęby trzymające się jeszcze w górnej szczęce. Dyjak nieraz widział czaszkę ludzką, choćby w gabinecie biologicznym z nieodłącznie narysowanym przez uczniów krzyżem lub gwiazdą na czole i ustawicznie wciskanym przez nich zakiepowanym papierosem pomiędzy szczękami. Ta jednak przyciągała wzrok z neodpartą siłą. Dyjak patrzył i łzy same cisnęły mu się pod powieki. Zrozumienie przyszło samo, jakby z wnętrza mózgu: to była jego czaszka, jego własna. Nikt mu tego nie powiedział słowami, ale był tego pewien. I to było nie do zniesienia.

– Nie!... Nie chcę!... – krzyknął i wizja prysła wraz z jego krzykiem. Myśli nadlatywały natłokiem nie do wytrzymania.

– Ja nie żyję! Więc to tak jest... To namiastka świata, jaka mi została. Dlatego ludźmi nie władam. To jasne... – Dyjak ukląkł na bruku, skręcony jak embrion, i ścisnął skronie. – Teraz wiem: ten dziadek to był mój nauczyciel. On uczył mnie robót ręcznych... Pamiętam go. On już nie może żyć.

Już wtedy był bardzo stary. Widziałem ducha... Aaa!... – krzyknął przerażony.

– Te nazwy minione, ten dawny sklepik, cała ta mieszanina detali z różnych lat...

– Więc jak? To inni też są duchy?... Ten facet, co mi przyłożył... On też tu trafił. A inni? Ci puści? – Wkradła się wątpliwość. – Może dostali karę za to, jak żyli... A ta dziewczyna, za co?... Sam nie wiem.

Od jego strony samochody wyglądały zwyczajnie. Podniósł się. Nie wypadało tarzać się po bruku.

No jasne – pomyślał – to dlatego trzymało mnie, żebym szedł wytyczoną trasą, żeby wszystko wyglądało normalnie. Żebym nic nie zauważył... Miałem wsiąść do tramwaju. To jest moja kara: widzę drugą stronę rzeczy znanych... Ale za co?... Po takim szarym, bezbarwnym życiu... taka sama wieczność... szara i bezbarwna. A jak się wychylę, to kara na raty... jak regał na raty.

Dyjak przypomniał sobie o butelce. Wierna nadal tkwiła w kieszeni. Pociągnął dwa potężne łyki, do dna. Z całej siły rzucił pustą butelkę w szybę sklepu spożywczego, w którym kupił tę butelkę przed godziną. Odbiła się od szyby, jak od ściany, i poszybowała na jezdnię.

– Dlaczego ta szyba nie trzasnęła?! – krzyknął przez łyzy. – Przecież musiała!... Żadna szyba nie wytrzyma takiego uderzenia... Też jakiś substytut szkła. Nędzne piekło cholernej mendy... małego gówna... Po zasranym życiu i piekło z zastępczych materiałów. Za co?... Nie chcę tak.

Postanowił wrócić do tego sklepu i wziąć inną butelkę. Ta myśl go uspokoiła, choć dalej przeglądał w myślach swoje życie, żeby odkryć, za co trafił właśnie tu.

– Przecież nie biłem uczniów... Tylko raz jeden uderzyłem tego z ósmej ce. To za to? Tylko za to? – szukał odpowiedzi.

W sklepie kilka kupujących kobiet obrzuciło go wzrokiem, w którym mieszały się niechęć i obawa. Wyglądał niezbyt atrakcyjnie, ubłocony i pokrwawiony po tych upadkach i starciach. Wino Regal czekało na ladzie, pomimo stojącej kolejki. Kobiety rozstępowały się w milczeniu. Sprzedawczyni też nic nie mówiła. Dyjak wcisnął rękę do kieszeni spodni w poszukiwaniu pieniędzy, ale zaraz wyjął z powrotem: przecież płacenie nie miało sensu.

– Za co tu siedzisz, siostrze? – zwrócił się do sprzedawczyni, która ignorowała go milczeniem.

– A wy co? Tak mnie wpuszczacie do kolejki?... Pieprzone skorupki... Może jakiś tekścik, że się wpycham na chama? – drwił.

Kobiety milczały, nieco tłoczyły się, jak kury na grzędzie, jakby starając się zejść mu z pola widzenia.

– Cholerna dekoracja! Jesteście tylko cholerną dekoracją mojego własnego piekła, a nie ludźmi! – krzyknął. – Jesteście tylko z jednej strony...

Pięścią strącił rządek różnych słoiczków z aromatami i przyprawami.

– Nie wiecie nawet, co mówić... bo się wasze istnienie skończyło, jak wyszedłem z tego sklepu przed godziną. Kukły cholerne!

Wziął butelkę z lady i skierował się ku wyjściu. Nie zamierzał zapłacić za wino.

– Pani Stasiu, proszę zadzwonić na milicję... Ten typ może wrócić – usłyszał przyciszoną uwagę.

Wzruszył ramionami. Wetknął butelkę w kieszeń kurtki, wyszedł ze sklepu i skręcił w prawo. Po niecałych dwudziestu metrach mocne uderzenie głową w barierę uświadomiło mu, że w tym kierunku świat kończy się boleśnie blisko sklepu. Obiema rękami oparł się o niewidzialną przegrodę i zaczął płakać. Siąpił drobny listopadowy deszczyk.

I wtedy obraz ulicy i domów za barierą zaczął się zmieniać. Domy obniżały się i zapadały. Wkrótce ulica przypominała już tylko niewyraźne pagórki czy zerodowane ruiny. Widział je w poprzednich wizjach. Tylko niebo stało się inne, pogodne, może wiosenne. Widok ten nie trwał długo. Dyjak nadal płakał.

– Rozumiem Cię – powiedział, spoglądając w niebo – to miał być taki przerywnik, chwila wytchnienia. Ukazałeś mi na chwilę piekło przeznaczone dla kogoś innego... Żebym pomyślał, że gdzie indziej, w innych pieklach może być jeszcze gorzej... bo tylko ruiny.

To znaczy, że śmierć jest taka właśnie? – zapytał sam siebie. – Niby normalnie żyjesz, robisz to, co zwykle, nagle wpadasz pod tramwaj i otaczający świat pokazuje ci się jako kupa nonsensownych dekoracji... i po śmierci przeżywasz jeszcze raz to samo co wcześniej, ale z innego punktu widzenia?... A tam stoi dwóch przechodniów, dwóch milicjantów, kioskarka spogląda z okienka i razem obserwują leżące pod wagonem zmasakrowane zwłoki Alfreda Dyjaka?... A ten sam Alfred Dyjak trafia do piekła, które polega na uwięzieniu w namiastce resztki świata z ostatnich minut życia?...

VII

Refleksja przyszła natychmiast: przecież na barierę natknął się przed nieszczęsnym wypadkiem. Ujrzał nędzną naturę świata-atrapy też wcześniej. To kiosk i dziewczyna z dwoma podbródkami, a nie tramwaj i targowisko skorupki były na początku. Więc z tym piekłem to nie tak... Coś tu nie kleiło się w tych rozważaniach, gdzieś tkwił błąd logiczny. Jeśli nie było to piekło, to powinno być gdzieś wyjście poza barierę...

Intuicyjnie przeczuwał, że bariery blokują wszystkie ulice, że granica otacza mniej lub bardziej ściśle ulicę Śląską, potem sklep spożywczy na rogu Śląskiej i Alej, krótki odcinek Alej do skrzyżowania z Prądnicką, przystanek tramwajowy, nieco ulicy Długiej, aż poza obejście Helclów i cały otoczony dwiema nitkami Długiej i Alejami trójkątny bazar na Kleparzu. Nazwy ulic myliły się jak słabo wyuczona lekcja. Jak na klatkę, to całkiem sporo, jak na świat, to cholerna klatka... Trójkątna klatka z frędzlami odchodzących ulic... Bez wyjścia... Bez ucieczki...

Nagle zrozumiał: mogło być wyjście z pułapki. Szara otchłań – tam, gdzie nie działa grawitacja! Ruszył ku swojej szansie. Kolejny raz przekroczył Aleje – znów czekając, aż w przejeżdżającej gromadzie samochodów pojawi się luka, aby uniknąć zderzenia z takim widmowym, połowicznym kształtem, od strony, od której ten istniał.

Stanął przed kioskiem, który miał jedynie dwie ściany. Niestety, w jego wnętrzu nie było już otchłani, lecz chodnik, zbyt równy i poprawny.

– Świeżo załatane! – parsknął. Pozostawał jeszcze tamten pierwszy kiosk przy przystanku tramwajowym, gdzie po raz pierwszy odkrył naturę przedmiotów-atrap. Musiał wrócić przez plac Kleparski, tym razem od wklęsłej strony fantomów kupujących i straganiarzy.

Jego marsz napotkał na nieoczekiwany, silny opór. Powróciła opaska uciskająca boleśnie mózg.

Jeśli Ty tego nie chcesz... to może właśnie tamten kiosk jest moją szansą!?... – pomyślał udręczony Dyjak. Pokonywał kolejne metry, jakby wbrew wiejącemu wichrowi. Miał w sobie dość siły, aby roztrącać atrapy stoisk i stojących ludzi. Nie zważał na ich krzyki. Widział już kiosk i krzątającą się wewnątrz kobietę. Siąpiący kapuśniaczek rozmywał narysowaną na jezdni kredą sylwetkę i ciemną kałużę.

Obejrzał to uważnie.

– To taka zmyłka, prawda?... – powiedział, spoglądając w niebo. – Dodałeś to, jak dodałeś bruk wewnątrz tamtego kiosku, bo koniecznie chcesz, bym uwierzył w swą śmierć?

I wtedy ustał opór wewnętrzny i ustał ból głowy. Walka była skończona.

– Znowu wszystko zniszczyłeś, Alfredzie! Chwilami ogarnia mnie wątpliwość, czy mi się uda... – rozległ się głos dochodzący zewsząd, jakby z megafonów rozstawionych na placu; jakby mówiły płyty chodnika, stragany, drzewa, jakby mówiły szare chmury listopadowe.

– Kim ty jesteś? – powiedział Dyjak, rozglądając się wokoło.

– Jestem twoim powiernikiem... powierzyłem sobie – to chyba będzie właściwy zwrot w twoim języku – powierzyłem sobie wszystkie twoje myśli. Jesteś... istniejesz we mnie.

Dyjak rozglądał się niepewnie, stojąc na opustoszałej jezdni, obok narysowanej kredą swojej sylwetki.

– Nie szukaj mnie, nie mieszczę się w twoim świecie. Zdawałeś sobie sprawę z mojego

istnienia, nazywając mnie podświadomością. Wiesz, to wtedy, gdy zgadywałeś rozwiązania bez liczenia; gdy trafiałeś rzucanym kamykiem bez celowania; gdy nie traciłeś równowagi, idąc kompletnie zamyślony.

– Bez sensu – mruknął Dyjak. – Odbija mi od wody – odruchowo sięgnął po butelkę, ale opuścił rękę.

– Nie przypuściłbyś, że podświadomość może być rośliną, żywą sondą międzygwiazdną? – ciągnął niewzruszenie głos. – Wytworzoną przez rasę, która może nie istnieć od dawna. Ja wędrowałem jako ziarno; jako niewiele więcej niż niezbędna informacja. Obudziło mnie do życia światło Słońca. Ujrzałeś mój rozwój i działanie. Zastałem twą planetę martwą; zastałem morze zerodowanych ruin i ani jednego organizmu żywego. Odnalazłem twoją czaszkę, zdołałem odtworzyć fragment twojej osobowości, trochę przeżyć, wspomnień... Próbowałem wyjaśnić jak, ale ty zauważyłaś tylko butelki na okładce...

Dyjak obracał się w kółko, nie rozumiejąc.

– Uczyniłem tobą część mojego mózgu. Istniejesz we mnie, a dzięki tobie istnieją: ta dziewczyna w niebieskiej kurtce, mężczyzna z białą teczką, ta inna dziewczyna z dwoma podbródkami i staruszek, i milicjanci.

Błysk zrozumienia był nagły, jak uderzenie pałki.

– Pieprzę!... – wrzasnął Dyjak. – Ja nie chcę!... więc moje życie to program?... Prawda?... Zwykły program komputera?... Takiego pieprzonego „Meritum” z klawiszami naciskanymi spoconymi paluchami ucznia, co przed chwilą dłubał nimi w nosie! Po cholere to zrobiłeś? Nie chcę!

Pod Dyjakiem zmiękły kolana i uklęknął na mokrej jezdni. Pozycja embriona pomagała mu.

– Alfredzie, nie mogłem inaczej. Celem mojego istnienia jest poznanie. Mam zrozumieć przyczyny waszego wyginięcia. A ty masz mi w tym pomóc. Dotąd wiem, że koniec waszego świata nastąpił wtedy, gdy tramwaj wiozący ciebie dojechał prawie do odejścia ulicy Helclów od Długiej...

– Jaki tramwaj? Przecież szedłem pieszo... bzdura!

– Bo nie wsiadłeś tym razem – powiedział Powiernik z niepewnością. – Przez to zmusiłeś mnie do ryzykownej ekstrapolacji otoczenia. To, w czym się obracasz, jest konglomeratem wspomnień z różnych lat. Tyle pamiętałeś. W tym mieście nie mieszkałeś od lat. W kluczowym dniu przebywałeś tam przypadkiem, nie byłeś już wtedy nauczycielem... Nie chciałeś pamiętać późniejszego okresu życia.

– Wyrzucili mnie za pijaństwo, co? – domyślił się Dyjak.

– Staralem się oszczędzić ci szoku, ale nie dałeś mi szansy. – Głos Powiernika wprawiał w drganie powietrze ulicy.

– Dlatego te błędy, anachronizmy? – zapytał Dyjak. – Ale i ja częściowo odgadłem prawdę –

kontynuował – to, że nie żyję, i to, że ten świat jest moją własnością! Ale przecież mnie nie ma! – krzyknął. – Tylko przebieg prądu w obwodzie. To tylko ciąg zer i jedynek w pamięci komputera.

– Alfredzie, każdy z nas to ciąg impulsów jego mózgu... ja też.

– Nie! To tylko ja! Tylko ja wiem to na pewno – urwał Dyjak. – Dla ciebie... dla innych to przypuszczenie, jedna z hipotez. Ja nawet nie dowiem się, ile we mnie pozostało z prawdziwego Alfreda Dyjaka. Okrutnie mnie okaleczyłeś, Powierniku.

– Dałem ci niemal nieśmiertelność, Alfredzie.

– Dałeś substytut nieśmiertelności dla substytutu człowieka. Pozbawiłeś mnie nieśmiertelności, cholerny substytucie Boga!

– Dlaczego wszystko to nazywasz substytutami?

– Może masz trochę racji – odpowiedział po namyśle Dyjak. – Ciebie nie odróżnię od Boga: stworzyłeś mnie i władasz mną. Ale... ale nie dałeś mi, no, duszy, jeśli coś takiego istnieje.

– Duszy? – Powiernik szukał przez chwilę odpowiedniego pojęcia w pamięci.

– No, jako obiekt programu nie mogę jej mieć.

– Wiesz, wyodrębniłem cię z siebie – odpowiedział po namyśle Powiernik. – To tak jak urodzić. Albo może jak przy rozdzieleniu jaźni...

– Jednak jestem tylko ciągiem liczb. Czy duszę można zastąpić ciągiem liczb?

Powiernik znów namyślał się.

– Jeśli ten ciąg jest niezwykle długi? – odpowiedział pytaniem. – W liczbach jest wszystko... i spontaniczność... i decyzja... i myśl. Ja tak rozumiem duszę.

– Nie wierzę ci. Czuję się obcy. Jestem tu obcy. To nie moje miasto, takie mroczne. Plątanina nie znanych mi ulic... Mylą mi się ich nazwy... To tak, jakby mnie tego wyuczono. Nieznane szczegóły sprzed lat. To wszystko jest mi tak obce. To miasto Alfreda Dyjaka, nie moje. – Umilkł.

– Proszę cię, pozwól mi odejść tam, gdzie odeszli inni ludzie! – nawiązał po namyśle.

– Czy wierzysz, że odejdiesz tam, gdzie i oni?

– Nie wiem, ale czuję się jednym z nich. Chcę sprawdzić, czy jestem człowiekiem, to znaczy: czy byłem człowiekiem... Nie chcę istnieć jako namiastka. Nie jestem w stanie ci pomóc, nie pamiętam żadnej katastrofy... Pozwól mi odejść za nimi... – poprosił ciszej.

– Na to masz zawsze czas – zauważył Powiernik.

– Hm... – mruknął Dyjak. – Niby racja – dodał. – Powierniku, czy tylko mnie odtworzyłeś? – zmienił ton.

– No, wiesz, znalazłem sporo czaszek... Ale po odtworzeniu okazało się, że większość z tych ludzi nie nadawała się do nawiązania kontaktu... Dla nich do końca pozostałem podświadomością. Inni oszaleli, nie mogąc wytrzymać prawdy, zanim ich program dobiegł końca.

– Czy jeśli ze mną ci nie wyjdzie, to odtworzysz kogoś innego?

Powiernik chwilę milczał.

– Mam jeszcze kilka niezłych czaszek – odpowiedział.

– To dlaczego nie dasz mi spokoju? Zaczynij z nimi.

– Niewykluczone, że kiedyś tak zrobię... chociaż obecnie myślę, że raczej nie: ty rokujesz zbyt dobrze.

– Zawrzyjmy umowę: umieść tych wszystkich ludzi w moim świecie. Tych normalnych – no, odtworzonych – ludzi. Pomogę ci dogadać się z nimi, jako taki pośrednik. Może ktoś z nich będzie coś pamiętał...

– Nie, nigdy tego nie zrobię – odpowiedział po namyśle Powiernik. – Przekroczyłoby pojemność mojej pamięci. To nie jest możliwe.

– Więc aż po wieczność mam pozostać sam? Otoczony tylko moimi wymysłami... – Głos Dyjaka stwardniał.

– Powierniku! – nawiązał po chwili namysłu. – Powiedziałaś, że działasz, aby poznać prawdę.

– Tak.

– Co zrobisz, gdy nie uda ci się z żadną ze znalezionych czaszek? To znaczy, jeśli nie dowiesz się niczego? Czy zabierzesz się wtedy w przestrzeń? Na inną planetę? Wskrzeszać innych?

– Nie jestem już zdolny do lotu. Pozostanę tu na zawsze. Będę szukać innych czaszek.

– A inne cholerne globy? Pogodzisz się z brakiem wiedzy o nich?

– Wyślę w przestrzeń swoje nasiona. Swoje kopie.

– A jak powiadomisz swoich twórców o swoich odkryciach?

– To pytanie jest źle postawione. Ja gromadzę wiedzę. To jest moim celem. Mówiłem ci o tym.

– On jest stuknięty – powiedział do siebie Dyjak. – To nie ma sensu: ten sen o świecie wygenerowany przez szalonego boga; podświadomość, która jest zepsutym komputerem; ta

samotność... To za dużo. Podjął decyzję. Wiedział, co zrobić.

Rzeczywistość mieszała się i łamała. Chwilami otaczało go morze ruin, wśród których stało to dziwne stworzenie – Powiernik, niosące w swoich pischelowatych ramionach czaszkę Dyjaka. Chwilami Dyjak znów klęczał na jezdni ulicy Długiej. Domyślił się, że są to skutki przeładowania pamięci Powiernika, która musiała być bliska zatkania. Gdy „Meritum” się zablokowało, należało je wyłączyć i programy były przerywane. To dawało szansę pokonania Powiernika: zakończenia programu, śmierci Dyjaka. Pamięć Powiernika była ograniczona, świadczyło o tym oszczędne otoczenie – istniejące tylko od strony, którą Dyjak powinien ujrzeć. Zatem wystarczyło tak rozbudować otoczenie, aby zajęło całą pamięć, i tym samym zmusić go do przerywania programu. Rozwiązaniem była szara otchłań wewnątrz kiosku.

– Nie rób tego! Nie jestem w stanie rozszerzać twojego świata bez końca!... – zawołał Powiernik, potwierdzając trafność myśli Dyjaka. – Nie niszcz siebie!

Dyjak w kilku susach dobiegł do kiosku. Kiosk był wydrążony jak poprzednio: wewnątrz nadal szara czeluść. Nie zdołał zakleić... – pomyślał Dyjak. Złożył się do skoku i jak pływak wskoczył na główkę w szarą mgłę wewnątrz. Zapadając się z rozpostartymi ramionami w nicość, usłyszał dolatujący głos Powiernika:

– Nie myśl, że wygrałeś, Alfredzie. To była głupota. Po co? I tak wkrótce musiałbym sam przerwać realizację. Po prostu, ten ostatni dzień twojego życia trwałby nieco dłużej. Nie ustane w moich próbach. A ty dostaniesz w prezencie kolejny, ostatni dzień życia. Stworzę dla ciebie tyle światów, ile dni upłynie, zanim Słońce, które mnie zasila, nie wypali się do reszty. Stopniowo poprawię błędy i niedokładności, które popełniłem tym razem. Ja jestem cierpliwy. W końcu się porozumiemy, a wtedy naprawdę stanę się twoim absolutnym powiernikiem, Alfredzie.

VIII

Alfred Dyjak, jak co dzień, wracał pośpiesznym krokiem z pracy do domu. Mijając skrzyżowanie Śląskiej z Lubelską, gwałtownie zatrzymał się, gdyż przed nosem przejechał mu żółty mały fiat.

– Wariat! – pomyślał Dyjak. Przepuścił jeszcze mikrobus milicyjny i poszedł dalej. Po chwili jednak jego myśli skierowały się na temat pracy w szkole. Przypomniał sobie, że uczniowie wyprosilili dzisiaj, żeby nie robił klasówki.

Jak im się to udało? – pomyślał o nich z uznaniem – nigdy nie zgadzam się na coś takiego. Może to i dobrze: nie będę musiał tego poprawiać.

Był zmęczony i pomyślał, że mógłby na wieczór kupić butelkę wina. Zaczął bawić się, stawiając stopy na umyślone miejsca na płytach chodnika, mokrych po drobnym i chłodnym deszczu listopadowym.

Kraków, listopad 1987-październik 1991

I

Cielsko rakiety drgnęło po raz ostatni. Masywny, wrzecionowaty kształt znieruchomiał na równej murawie łąki. Trawa była jeszcze pokryta rosą, której nie zdążył wysuszyć wyzierający już spoza grani Ouaigh. Po chwili rakietę zaczęła rozsuwać pancerne powłoki tylne, otwierając swą torbę lęgową.

– *En raketo! En portago! Os portagos!* – Gromadka spalonych na brąz dzieciaków ruszyła pędem do skupionych na zboczu zabudowań wioski.

– *Segor pa 'a!* – krzyknął umorusany Jovano, widząc daleko przy zajeździe krzątającego się ojca. – *Segor pa 'a, trzeba przygotować en otel!*

Kudłate, białe owczarki, przywykłe do wielu przylotów, przejęły opiekę nad porzuconymi stadami płowych kóz i białych owiec. Rakietę kilkakrotnie poruszyła odwołkiem, wyciskając przez otwór torby lęgowej pierwszą obłą kapsułę.

Aberto już wcześniej usłyszał grzmot pojawiającego się *en raketo*. Teraz, słysząc wołanie małego Jovano, przestał gryzmolić kolejne, mozolnie ułożone zdania wypracowania z geografii. Geografię lubił, lecz pisanie sprawiało mu trudność, dlatego nie lubił segory Fiory, która te wypracowania zadawała. Z ulgą zatrzasnął drewniane okładki kajetu. Rzucił zabezpieczoną pracę na ziemię i pobiegł w przeciwnym kierunku niż Jovano i jego koledzy, pobiegł ku *en port*, ku *en raketo*.

Już z dala zauważył charakterystyczne rdzawe plamy w miejscu, gdzie obłe cielsko rakiety rozdzielało się na symetryczne fasety upodabniające je do kaczana kukurydzy. Od dwóch lat czekał na ten przylot.

– *Paré Willemo* przyleciał! – wrzasnął z radości. – *Paré Willemo! Cyvut!* – Pognał, niemal gubiąc plecione sandały.

Powoli, z wysiłkiem unosiły się pokrywy głowia rakiety. Ukazywały się duralowe siłowniki hydrauliczne rozpierające brunatne skorupy. Widać było, że ten ruch odbywa się wbrew woli rakiety; mechaniczna instalacja podstępnie wbudowana w jej ciało brutalnie wyginała płyty pancerza. Z tyłu, poza cielskiem leżało dwanaście kapsuł; torba lęgowa sflaczała przygnieciona przymkniętymi

powłokami.

Coś lub ktoś szamotał się w odsłoniętym głowiu rakiety. W zielonkawym, przezroczystym śluzie widać było ciemniejszy, niezdarnie ruszający się kształt.

– *Paré Willemo?* – zaniepokoił się Aberto. Stary powinien był już wydobyć się z głowia, w przeciwnym razie mógł się udusić. System oddechowy działał bardzo słabo po uniesieniu przednich pokryw. Cielsko rakiety ponownie znieruchomiło.

Aberto zręcznie wspiał się po wyrostkach i gruzłach pancerza rakiety. Od wczesnych lat zaprawiał się, biegając za kozami czy owcami po stromych upłazkach i skałkach *doal* Greillt. Zdążył poznać wszystkie zleby i piarżyska. Śmiało zapuszczał się pod samą grań.

Miękko wsunął ogorzale ramię, starając się nie uszkodzić delikatnych wachlarzy śluzowych przykrywających wnętrze. Lekko piekący śluz spowoduje, że jutro całe ramię Aberto pokryje czerwona, swędząca wysypka alergiczna.

Musiał głęboko nachylić się, zanim jego palce zacisnęły się na kościstym ramieniu starego. Lekkim, ale stanowczym ruchem ciągnął go ku górze. Czuł konwulsyjne, kurczowe drgania przechodzące przez tamto starcze ramię, ale i brak oporu. Stary, szamocząc się, drżąc, wysuwał się spod grubej warstwy pokrytego czerwonymi żyłkami śluzu. Gdy wysunęła się już jego łysa i pomarszczona głowa, Aberto zebrał mu z powiek nadmiar śluzu i wymierzył kilka szybkich policzków. Stary kaszlnął, zwymiotował paroma garściami różowawej galaretki i otworzył oczy.

– *Bon dayo, Aberto!* – powiedział ze swoim szeleszczącym akcentem. Zmarszczył bezrzęse powieki w uśmiechu.

– *Bon dayo, paré Willemo.*

– Dalej mnie nie wyciągaj, Aberto. Biegnij po ojca. Zostaw mnie tak.

II

Segor Anzelmo reperował drzwi do składziku. Górny zawias przegryzła rdza i drzwi kiwały się na wszystkie strony. Obliczał, ile *pachecos* trzeba będzie wypłacić handlarzowi za nowy zawias. We wsi na ogół nie posługiwano się pieniędzmi, ale Romero zawsze domagał się zapłaty w *pachecos*, sam też płacił pieniędzmi.

Słyszał syna już od połowy wsi. Odłożył robotę, tym bardziej że wykonywał ją bez entuzjazmu. Wyciągnął rozeschnięte taczki z komórki. Wiedział, że Willemo będzie potrzebował pomocy. Był już

stary, stary był też jego Cyvut.

– Znajdź też *segora ma* ‘a i powiedz, żeby potem za nami poszła. Może przydać się do pomocy – powiedział synowi, gdy ten przybiegł i usiłował złapać oddech.

Dotarli na łąkę przed innymi wieśniakami. Większość z gospodarzy była na polach, inni jeszcze dalej ze swoimi stadami. Przyłot rakiety był atrakcją, ale nie tak wielką, by natychmiast porzucać pracę. Segor Tomaso wziął się do sprząwania i przygotowywania *en otel*.

– *Bon dayo, Willemo* – powiedział Anzelmo.

– *Bon dayo*. Piękny tu macie dzień.

– Przyleciałeś na winobranie. A zeszłoroczna *pechilcha* już dojrzała.

– Segora Madlena dalej wypieka ten swój złoty chleb?

– Znajdzie się świeży dla ciebie, Willemo.

Gawędząc *z paré* Willemo, ojciec mozolnie uwalniał go z wyrośli rakiety. Każde z wyrośli podrażnione opuszczało dziurę wywierconą kiedyś w skórze i ciele *paré* Willemo.

– Jesteś dziurawy jak ser *agostella*, Willemo.

– Dziurawy los *en gaucho*. Słaby jestem też jak łajno twojej najsłabszej krowy, Anzelmo.

– Rozpakowuje ktoś kapsuły, bo niedowidzę? – zapytał Willemo.

– Segor Tomaso zaraz tu będzie. Jovano już go powiadomił o twoim przylocie, *paré* Willemo – odpowiedział posłusznie Aberto.

– Wyrósł ci najstarszy chłopak, Anzelmo. Przez te dwa lata.

– Wyrósł. Zna góry jak mało kto. Szczególnie *doal* Glian. Często tam zachodzi przez Wrath.

Aberto lekko się zaczerwienił.

– Przez Wrath? To ostra droga... – powiedział z uznaniem i jednocześnie syknął z bólu, gdy kolejne węzowate wyrośle rakiety wysunęło się z otworu wiodącego gdzieś hen w głąb, między żebra i osierdzie.

– Obecnie jedyna. Zeszłej wiosny *strom* Greillt bardzo wezbrał po deszczach i osuwisko zupełnie zniszczyło dolną drogę. Nie da się jej odbudować.

Stary był tak słaby, że nie mógł nawet unieść ręki. Przynajmniej dobrze ruszał szczęką i można go było zrozumieć, choć kaleczył mowę szeleszczącym akcentem.

– Skąd lecisz, Willemo?

– Z Wyborga, tranzytem przez Nyhiam Toal. Cyvut jest stary jak ja. Były kłopoty. Myślałem, że już po nas, *grav Engelese*.

Kilka razy jeszcze pogawędkę przerywały skowyty starego, który męką opłacał odłączanie się kolejnych wyrośli rakiety.

Gdy wreszcie jego bezwładne ciało udało się odczepić od rakiety, zwlekli go i ułożyli na trawie. Wszystkie wyrośla pochowały się w głowiu. Ojciec oblał go wiadrem zimnej wody przywiezionym na taczkach.

– Oua! – wrzasnął stary. – Ale to zimne. Zapomniałem już wodę.

– Wydelikaciła ci się skóra, Willemo.

– Lej drugie wiadro.

– *Segor pa 'a*, przyniosę wodę z potoka – zadeklarował Aberto.

– *Lećże, junior*. – Ojciec uśmiechnął się.

– Segor Tomaso dalej jest starostą? – zapytał Willemo.

– *Ouaigh. Ena mahla eblud*.

– Nie mów złych słów na segora Tomaso. To twardy *omré*.

– Twardy, ale *ena mahla eblud*.

Drugie wiadro zmyło ślady śluzu ze skóry starego. Otwory na wyrośla zacisnęły się nieco, ale nie zamknęły całkowicie. Wyglądał bardziej normalnie. Anzelmo wyrzucił jego bezwładne ciało na brzuch.

Worek ze skóry na flaki i kości – pomyślał.

– Aberto, przynieś jeszcze wodę. Ruszże się sporzej. Trzeba z tym skończyć, zanim kobiety przyjdą.

Aberto przyniósł trzecie wiadro i potem czwarte. Na umytego starego naciągnęli samodziałowe portki wieśniacze i takiż kaftan. Stary wył i stękał, gdy naciągali na niego odzienie.

– Nie wyj, Willemo. Masz zgniłe i spróchniałe nerwy i nie powinno cię boleć. Cyvut wyżarł twoje nerwy.

– Wyżarł, ale coś czuję i to jest cholerne.

– Do zmięzchu Ouaigh spaliłby twoją skórę. Musisz przetrwać ból.

– Moja skóra i tak będzie tu gnęła. Ouaigh nie musi się wysilać.

Całą powierzchnię skóry pomiędzy czarnymi otworami miał pogruźlowaną i zmacerowaną. Anzelmo przewiązał go potrójnym gazdowskim sznurem.

– Godzi się ten sznur, Anzelmo?

– Godzi się, *paré Willemo*. – Pierwszy raz ojciec tak się zwrócił do starego. – Z ciebie też gazda, powietrzny.

– Tak mówią w Nyhiam Toal, nie tu.

– Przyleciałeś z Nyhiam Toal, Willemo.

Wzięli starego pod ramiona i za nogi i ułożyli na taczkach.

– Trzeba wpięrw zabezpieczyć Cyvuta – powiedział Willemo.

– Otwórzcie trzynastą kapsułę, tam jest wszystko co trzeba.

– Nie ma jej, *paré*. Są tylko numery od jeden do dwanaście – wykrzyknął Aberto, który szybko przebiegł pomiędzy pomiotem rakiety i szybko przeliczył urodzone kapsuły.

– *Ena mahla eblud* – zaklął *paré Willemo*. – To ją wyciągnijcie. Cyvut cierpi.

Spomiędzy przywartych powłok zadnich wystawał obły, ciemny kształt pokryty wydzieliną. Anzelmo z synem doskoczyli do słabo drgających pokryw.

– Uważaj na krawędzie – rzucił Anzelmo. – Tną chciwiej niż noże z Glian.

Mocno wparli się obaj w lekko sprężynującą jajowatą powierzchnię kapsuły. Układ lęgowy rakiety był zbyt słaby i nie wspierał ich w wysiłkach. Choć gdy wreszcie wyłupali obły, masywny pojemnik i złożyli go na trawie, przez cielsko przeszedł słaby dreszcz ulgi.

– Cyvut jest już słaby – rzucił Willemo.

– Jest słaby.

Pokrywy pancerza zamknęły się, skrywając wreszcie torbę lęgową. Pojemnik miał pod warstwą śluzu namazany niezdarnie węglem numer trzynaście. Tylko węgiel opierał się temu śluzowi.

– Zgadza się, *paré Willemo*. Czy umyć ją wodą?

– Nie trzeba, *junor*. Podaj siekierę.

Anzelmo zamachnął się i palnął obuchem. Skorupa zgrabnie rozpadła się na kilka części.

– Weź tuby z czarną pastą – powiedział Willemo, który zdołał przetoczyć głowę i zerkał w ich kierunku.

– Jeszcze pamiętam, Willemo.

Ojciec starannie pokrył pastą dezynfekcyjną wszelkie szczeliny nie dolegającego pancerza głowia rakiety. Aberto gorliwie pomagał mu w robocie. Był szybki i wprawny. Pracował lepiej niż niedowidzący ojciec.

– *Junor* jest lepszy od ciebie, Anzelmo.

– Dobrze. Ma młode oczy.

– Przywiozłem okulary. Ty też będziesz miał młode oczy.

– Ten złodziej Romero zamówił?

– Ja kupiłem dla ciebie, Anzelmo.

– Już dawno powinniśmy wypić razem *milgeblut*, Willemo.

– *Os portagos* wymiotują na widok *milgeblut*. Ale jest tak, jakbyśmy wypili *milgeblut*, Anzelmo.

– Reszta zestawu przyda się do startu. Segor Tomaso zawiezie ją do wsi. – Stary wskazał podbródkiem na polną drogę. Ten ruch był jego nowym osiągnięciem.

Drogą ciągnęła się wstęga kurzu. Segor Tomaso nadjeżdżał swoim najokazalszym wozem, do którego zaprzęgił czwórkę wołów. Segor Tomaso powoził, a Mathao, starszy brat Jovano, prowadził za pysk pierwszą parę. Okazały orszak. Mathao był wysoki, masywny i bardzo się pocił. We wsi nazywano go Tłusta Wieża.

– Zatratają się te woły – mruknął Anzelmo. – *Ena mahla eblud*.

– Ale ty pójdziesz do nas, a nie do *en otel pvor portagos, paré Willemo*, prawda? – rzucił zaniepokojony Aberto.

– Anzelmo powiedział, że *segora ma'a* upiekła złoty chleb. Nie mogę go opuścić.

– *Ouaigh!* – wykrzyknął ucieszony Aberto. – A *pechilcha* jest w tym roku lepsza niż była kiedykolwiek!

– Ja ci wypiję *pechilchę*. *Ena mahla eblud!*

– Twoja *eblud*, twoja, Anzelmo – zauważył Willemo.

– *Ena mahla eblud!* W głowie mu tylko *pechilcha* i gonienie do Glian do *ena mila Ineda*.

– Córki starosty Peppo?

– Peppo już nie jest starostą, odkąd go przygniotło w lesie przy wyrębie. Jego brat Yorig został starostą. Pomagasz staremu Peppo, *junor*? – rzucił do syna.

– Czasem pomagam, ale rzadko.

– Pewnie, że rzadko, bo stale przesiaduje z *ena mila Ineda*. A ma biegać po górach. Będzie z niego przewodnik. Dostanie po ojcu *pile-monte* i każdej zimy będzie umiał przejść przez Wrath.

– Będzie, będzie. Jeśli będzie miał do kogo.

– Dawniej więcej łąził po górach.

– Znam już *doal Greillt* i *doal Glian*, a dalej *segor pa'a* zabronił się zapuszczać.

– Pewnie, że zabroniłem, bo tam bezludzie. Można spotkać tylko stada *vukos*.

– Zdziczałe psy? – zapytał Willemo.

– *Ouaigh*.

– Ale groźne są tylko w zimie – dodał Aberto. – W lecie łążą pojedynczo i wystarczy na nie *pile-monte*.

– Nie było ich jeszcze dwa lata temu – zauważył Willemo. Rozmowa zmęczyła go i zamknął oczy.

III

Z hurgotem podjechał wóz segora Tomaso. Przyjechali wszyscy: Jovano, Mathao, segora Marion i nawet małeńka Eribar.

– *Bon dayo, paré Willemo* – rzucił segor Tomaso i z ukosa spojrzął na sznur gazdowski przepasujący kaftan Willemo. Segor Tomaso był wysoki i suchy jak tyka, przypominał zmokłe ptaszysko. – Pokoje w *en otel pvor portagos* są już przygotowane. Dla ciebie i wszystkich *os portagos*.

– *Bon dayo, bon dayo*. – Willemo pokiwał głową, nie otwierając oczu. Był bardzo zmęczony. Każdy ruch przychodził mu z nieopisanym trudem. – Wypełni się cały *en otel pvor portagos*. Jedenaścioro ludzi i tylko jedna kapsuła z frachtem – ciągnął. – Zwykle jest pół na pół. Sześcioro z

nich przestanie być *os portagos*. Oni chcą tu się osiedlić.

– Nie ma miejsca w *doal Greillt*. Ziemia nie wyżywi więcej, *paré Willemo*.

– Oni pójdą na bezludzie, aż za *doal Glian*.

– Nie mają wiele: tylko jedna kapsuła frachtu na sześciu ludzi.

– To nie ich fracht. Oni mają tylko robotne ręce.

– Robotne ręce to wystarczy, *grav Engelese* – zgodził się segor Tomaso.

Skinął na Mathao i obaj wzięli się do rozbijania kolejnych kapsuł. Wychodzili z nich umęczeni niewygodną pozycją podróży. Prostowali się, rozglądali, mrużyli oczy od blasku *Ouaigh*. Niektórzy cuchnęli moczem – ci musieli przebrać się w świeżą odzież. Segor Tomaso krzątał się wśród nich i ich dobytku. Spodziewał się zarobić wiele *pachecos*. Raz jeszcze podszedł do taczek z *paré Willemo*.

– W *en otel pvor portagos* jest dwanaście pokoi. Będziemy dumni, mogąc cię tam gościć, *paré Willemo*, choć możesz też mieszkać, gdzie chcesz, gdzie zwykle... – powiedział.

– Zatrzymam się jak zwykle u segora Anzelmo.

– *Ouaigh. Bon* – odpowiedział segor Tomaso. Nie wyglądał na zdziwionego.

IV

Życie wioski zmieniło się, jak zawsze po przylocie rakiety. Przybyszów goszczono dla samej chęci poznania kogoś nowego i usłyszenia czegoś nowego. Trudno im było wyjść z *en otel*, by nie otoczyła ich gromadka dzieciaków. Mądre, białe owczarki musiały same troszczyć się o stadka owiec i kóz.

Segor Tomaso troszczył się o tych, co mieli lecieć dalej, *os portagos*. Osiedleńcy, *os novados*, sami rozglądali się za jakąś pracę, by zgromadzić nieco potrzebnych przedmiotów. Trzy pary małżeńskie, które dla jakichś powodów musiały opuścić *Nyhiam Toal*. Segor Tomaso wyznaczył im dolinę następną na północ za *doal Glian*. Wybrali dla niej nazwę *doal Novado*. Potrzeba było jeszcze zgody segora *Yoriga*, starosty *Glian*, ale wszyscy uważali to za formalność, bo zasiedlona dolina ochraniała od *vukos* i innego plugastwa, którego ciągle przybywało. *Os portagos* byli zamożniejsi. Zamówili dobre pokoje z umywalkami. Płacili za pożywienie pieniędzmi, nie pracą; niektórzy szukali pracy. Segor *Donovan* był medykiem i też szukał miejsca stałego osiedlenia. Gdy zorientował się, że

w Greillt żyje zaledwie osiemnaście rodzin, postanowił lecieć dalej, bo nie wyżyłby ze swojego fachu. Póki co jednak wędrował ze swą walizką od zagrody do zagrody, zbierając *pachecos* lub to, czym mogli zapłacić wieśniacy.

Ena segora Emilia była ponoć z rodu samych Kysari, co miało gdzieś szczególne znaczenie. Dlatego wędrowała aż z samej Kyrreig do Dillam Baoam, aby poślubić tamtejszego władcę. Dillam Baoam było tak odległe, że na lekcjach geografii *segora* Fiora mówiła na nie Kraj na Nigdy-Nigdy. *Segora* Emilia nie opuszczała swojego pokoju i Aberto nie pamiętał nawet, jak ona wygląda.

V

Był ciepły wieczór, jak bywa o tej porze roku w Greillt. Z wygwieżdzonego mocno nieba gdzieś zniknęły wszystkie chmury, co nie znaczyło, że koło południa następnego dnia nie będzie ulewy. Bliski Nored, *Nor Stairn av Greillt*, gwiazda północna, świecił chłodnym niebieskawym blaskiem.

Segora Madlena wystawiła plecione foteliki na werandę. Od wczoraj w oknach chałup wioski znów jaśniało światło elektryczne. *Segor* Aniceto Dozireff z pomocą Tomaso, Mathao, Wais'avo i jego trzech synów uruchomił prądnicę w małej elektrowni wodnej na Strom Greillt. Dozireff był *en ine 'ero* wysłanym przez Olam w rejs okrężny. Miał spisywać i w miarę możliwości reperować istniejące instalacje elektryczne. Olam zamierzało nieco zwiększyć produkcję maszyn elektrycznych i żarówek i rozpoznawało możliwości zbytu na *os planetos* w pobliżu Wyborga.

Wokół starej, popstrzonej żarówki, jedynej, jaka znalazła się na strychu u Anzelmo, kłębiły się ćmy i komary. Żarówka wisiała na zetlałym przewodzie przybitym gwoździem do sufitu werandy. Pod żarówką na białym czyściutkim obrusie systematycznie rosła przyzma sześcionogich trupków.

– Jeszcze jedna szklaneczka pechilchy, *paré Willemo*? – Anzelmo z rozmachem wyciągnął z pękatej butelki zwinięty z papieru korek, aż jęknęło zamknięte w niej powietrze. Miał już zaczerwienione oczy; rozpiął ozdobną, haftowaną koszulę. Było mu za gorąco. *Paré Willemo* pociągał przez plastikową rurkę, z grubo rżniętej szklanki, czerwony płyn. Gdy płyn kończył się, głośny siorb rurki i bulgot pechilchy sygnalizował, że trzeba dolać.

– Jeszcze mam, Anzelmo. Mocna pechilcha tego roku. – *Paré Willemo* przechylił głowę i czerwony płyn zaczął wyciekać przez otwory w jego brodzie.

Aberto doskoczył uprzejmie, poprawił głowę starego, żeby wino ściekało do gardła, a nie na podłożoną chustę. Następnie poprawił chustę, żeby lepiej chroniła kaftan starego.

– Chi... chi... – zachichotał Willemo. – To musi być widok. Dziurawy łeb, dziurawy los starego gaucho. Cyvut wyzarł mi dziury wokół nerwów.

Krępowwała go własna nieporadność; sztucznie podkreślał swoje kalectwo.

– Bolało, jak żarł, *paré Willemo?* – Aberto jednym okiem zerkał na starego, drugim na czerwony płyn w pękatej butelce.

– Bolało na początku. Próba bólu. Potem już nie, potem już jesteś gaucho. Niektórzy nie wytrzymują, wariują. Trzeba ich wyciągać ze środka.

– Nalej junorowi, Anzelmo – zwrócił się do ojca. – Dzisiaj może trochę wypić.

– Ciągłe ubywa pechilchy – włączyła się segora Madlena. – Jeśli go nie wywieje do Glian.

– Lepsza pechilcha w Greillt?

– Pechilcha lepsza.

– Mówią, że kobiety w Glian zrobiły się tłuste, duże i blade – wtrącił Anzelmo. Od lat nie ruszył się poza przełęcz Wrath, choć kiedyś był przewodnikiem handlarzy. Żartował, że Romero wyciąga teraz od niego wszystkie *pachecos*, jakie mu kiedyś pozostawił za przeprowadzanie przez przełęcz Wrath.

– Nie są blade. One tylko nigdy się nie opalają. Chronią się przed blaskiem Ouaigh dużymi słomkowymi kapeluszami.

– Za moich czasów nie nosiły – burknął Anzelmo.

– Gonileś za Madleną, to nie zauważyłeś – zachichotał *paré Willemo*. Chichot przerodził się w kaszel i znowu trochę pechilchy zmarnowało się w chustce.

– Sera czy chleba, *gorozzolo Willemo?* – Segora Madlena pomimo wieku, pomimo skóry pomarszczonej i spalonej przez Ouaigh zachowała w oczach młodzieńczy błysk wesołości. Ser gorozzola był drugim gatunkiem sera wyrabianym w Greillt.

– Więcej *ena agostella* dla *en agostello*. – Willemo uśmiechnął się. Willemo nie lubił sera gorozzola z Greillt. Dla niego był zbyt twardy i słony. Gorozzolę podawało się pokrojony w bardzo cienkie plasterki niemal pozbawione dziurek. Willemo wolał wyglądać jak jego ulubiony *agostella*.

Wszyscy łamali po kawałku sera i chleba. Dla *paré Willemo* przygotowali połamane drobno kawałeczki. Kawałek sera czy chleba potrafił unieść do ust, szklanka z winem była zbyt dużym ciężarem.

– Jaka jest Ineda av Glian? – zapytał Willemo, popijając winem kolejny kawałek sera. *Agostella* robiona w Greillt była miękka, tłusta i soczysta. Przez dwa lata Willemo nie zapomniał jej smaku.

– *Ena biolla reguza, paré Willemo. Bioella*. Ma żółte włosy jak segor Domenico albo segora An'ela. Wyższa niż dziewczyny z Greillt, ale niższa ode mnie. Kobiety z jej rodziny nie są tłuste, ani

ona.

Willemo pokiwał głową.

– Jak podkreślił, że niższa. – Anzelmo podrapał się po brzuchu. Wokół lampy zakłębiły się małe, czarne, latające mrówki.

– Dobrze, Anzelmo. Krew powinna się mieszać. Mało tu rodzin. Serowar Domenico jeszcze żyje?

– Żyje, ale robotę robi jego junior. Stary jeszcze dogląda, poucza. Połamał go reumatyzm.

– *Ena mahla eblud!* – wrzasnął *paré* Willemo. – *Fuccho!*

Szarpnął się na fotelu na miarę swych wątłych sił.

Spojrzeli na niego ze zdziwieniem. *Paré* nie powinien używać złych słów.

– *Os mahlos anos* zeżrą mnie żywcem – wyjaśnił. Bał się mrówek. Bał się, że wejdą do otworów w jego ciele zrobionych przez wyrośniętą głowia i zaczną kąsać albo pożerać zmienioną tkankę. Pierwsza mrówka łażąca po chuście wywołała jego popłoch.

– Anzelmo, Aberto, przesuniecie stół spod lampy, o tam, na skraj werandy. *Os anos* mają swoją *ena nott pvor amor*. Nie odejdą od światła.

Zamieszanie nie trwało długo. Mężczyźni rozłożyli nowy obrus, bo poprzedniego nie dałoby się uwolnić od nawały czarnych, skrzydlatych drobinek.

– Rozłóżcie ten brudny pod lampą, na podłodze. Wtedy wszystkie *os anos* będą na nim siedziały. Nie zleżą z niego – powiedziała Madlena.

– *Bon*. Będą miały białe prześcieradło.

Rozciągnęli obrus na świeżo wyszorowanych deskach werandy.

W półmroku siedziało się równie przyjemnie. Nadal było ciepło.

Willemo obserwował czarny wir, kłębiący się wokół żarówki.

– Fruwająca, rozkochana śmierć – powiedział.

– Tu cię nie dosięgnie, Willemo.

– Mówisz znakomicie naszym językiem, chociaż z obcym akcentem. Skąd jesteś, *paré* Willemo?

Stary uśmiechnął się.

– Już raz zadałeś mi to pytanie, Aberto. Miałeś wtedy sześć lat. Odpowiem ci to samo.

Powietrzny gazda jest *av Stairns*, z gwiazd.

– Teraz mam piętnaście lat, *paré Willemo*.

– Odpowiedź może być tylko ta sama. Jestem Willemo *av Stairns*. Tak jest.

Anzelmo i Madlena spojrzeli po sobie.

– No, może jestem też częścią Cyvuta – dodał Willemo.

– Mądry jest segor Dozireff. Patrzyłem na jego pracę. Kierował starszymi od siebie. A potem to wszystko ruszyło, dokładnie jak uczy segora Fiora. To jest wielki *en conruttore*.

– *En ientoro* – podpowiedziała synowi segora Madlena.

– Wielkie słowa – mruknął Willemo. – Sam nic nie skonstruował ani nie wymyślił. *En ine'ero* po dobrej szkole w Wyborgu. Pachecos bierze od Olam.

Stary Anzelmo uważnie spojrział na *paré Willemo*.

Czyżby powietrzny gazda był zazdrosny o młodszego kolegę?

– Ten drugi, segor Niewymawialny, jest dziwny – powiedział Aberto.

– Donovan?

– Nie.

– Zelosshosky?

– Pewnie tak, *paré Willemo*.

– Ubaldo Zelosshosky.

– Właśnie. Przedwczoraj zwołał wszystkich *os reguzos* z Greillt i zapowiedział, że będzie płacił *os pachecos* za wszystkie przyniesione *os foscilos*. *Eno pacheco* za *en foscilo*.

– Złodziej. – *Paré Willemo* poprawił się w fotelu. Pogodził się z pechilchą sączącą się przez dziury w podbródku. – W Wyborgu dostanie po dziesięć *pachecos* za każdy *en foscilo*, jeśli zainteresuje kogoś z *os dozetos*.

Segora Madlena wstała i wytarła pechilchę z podbródka i szczęki *paré Willemo*. On też musiał wyglądać schludnie.

– Kłopot w tym, że nikt z nas nie wie, co to są te *os foscilos*. Każdy by chętnie zarobił *pachecos*, nawet jeśli to złodziejska cena. Mathao pytał ojca, ale segor Tomaso nie wiedział.

– Trzeba było spytać segora *Ane'la*, junior. Ona przyjechała kiedyś do Greillt szukać *foscilos*.

Zamiast znaleźć *foscilos*, została z Morio fil Jerome w Greillt – powiedział Anzelmo. Przełamał z przyjemnym trzaskiem skórkę chleba.

– *Os foscilos*, to jest to, co pozostało po tych, co byli tu przed nami – powiedział *paré* Willemo. Coś jakby szybciej sączył swoją pechilchę. Segora Madlena dolewała mu częściej.

– Mamy też słodką pechilchę, Willemo – powiedziała. – Jest jak miód.

– O nie, Madlena. Nie dzisiaj.

– W każdym z miejsc lęgowych *os raketos* byli jacyś przed nami. Byli dziwni, albo głupi, albo jedno i drugie – kontynuował *paré* Willemo. – Ale wymierali, kiedy my przybywaliśmy. Tak jakoś było.

– *Ena etter'inacia otal* – rzucił Anzelmo. – Jak zawsze.

– *Nei* – oburzył się *paré* Willemo. – Oni sami wymierali. Słabsze *os gennores*, nie wiem. Nie było podboju, *nei ena etter'inacia*.

– Na wszystkich *os planetos*? – powątpiewał Anzelmo.

– Na wszystkich *os planetos*. Nie słyszałem, żeby gdzieś było inaczej – przytwierdził *paré* Willemo. – *Nei ena etter'inacia*.

– Mało prawdopodobne, żeby wszystkie gatunki tak wymarły, Willemo. Ich ryby, ptaki, drzewa, kwiaty.

– Ale tak było, Anzelmo. *Os bacillones* zrobiły wszystko. W Wyborgu wszyscy *os dozetos* tak uważają.

– *Paré Willemo, paré Willemo*. – Anzelmo zamasyście rozlał wszystkim po szklance pechilchy. Natrafił jedynie na słaby gest sprzeciwu segory Madleny. Aberto był dumny, że traktują go jak dorosłego, choć w głowie mąciło się od pechilchy.

– Wierzysz, że tak wszystko poszło? W każdym miejscu lęgowym, gdzie *os raketos* zawiozły ludzi?

– Wszędzie było podobnie: dość tlenu, woda, klimat. Przyjeliśmy się, jak ziarno w glebie.

– W Wyborgu wszyscy *os dozetos* tak uważają?

– W Wyborgu wszyscy *os dozetos* tak uważają. Nasze *os bacillones* były najmocniejsze. Zabiły innych. Zabiły tych, co byli przed nami. Znajdujesz jakieś takie rzeczy, Aberto? Przecież tyle chodzisz po górach.

– Nie wiem, które z nich to *os foscilos*.

Zamilkł na chwilę.

– Ale myślę, że zarobię sporo *pachecos* – dodał po namyśle. – *Foscilos* nie są z kamienia, no nie, *paré Willemo*?

– Bardzo stare mogą być skamieniałe, ale raczej nie.

– Znalazłem parę takich miejsc w górach, jakby osiedla. Tam jest dużo różnych *foscilos*. Wyrysuję też dla segor Niewymawialny ich ułożenie. Myślę, że wpadnie za to parę dodatkowych *pachecos*.

– Wpadnie. Na pewno – powiedział *paré Willemo*. Oczy kleiła mu senność. Przez rok odwykł od alkoholu. Przewidywał niepokój i niechęć wyrosli Cyvuta, gdy znów będą wchodzić w jego ciało i natrafią na ślady alkoholu. Przewidywał ból.

– *Paré Willemo* – zwrócił się do niego Aberto. – Czy można zostać *gaucho* z dziewczyną, w jednym *en raketo*? We dwoje.

– Jasne. To jest ideał. Możecie wtedy osiągnąć sprzężenie. Wasz *en raketo* pomknie do najbardziej odległych miejsc lęgowych, jeśli zechcecie. Na kraj wszechświata. Ale która kobieta zgodzi się, by zostać podziurawiona jak ser agostella?

– Ineda av Glian – powiedział bardzo cicho Aberto, ale inni dosłyszeli.

– Pewny siebie.

– Po ojcu. *Segor pa'a* był uparty jak skała. Długi czas – powiedziała segora Madlena.

– Już nie jest?

– Skała się kruszy. Woda wierci w niej dziury. – Anzelmo chlapanął wielki łyk pechilchy i wytarł usta rękawem.

– A jaki jest segor Tomaso? Zmienił się czy nadal taki wielki *en dogmatico*? Dalej tylko *grav Engelese* i nic więcej?

– Tfu – splunął Anzelmo. – Im starszy, tym gorzej. *Ena mahla eblud*. Na wiosnę kazał ukamienować Agostino Nei.

– Tego głupawego jąkałę? Przecież Agostino nie skrzywdziłby ani człowieka, ani mrówki.

– Agostino stracił dłoń w tartaku. Segor Tomaso stwierdził, że bez ręki nie jest godny żyć.

– *Ena mahla eblud*.

– Właśnie.

– Dlaczego kazał tak zrobić?

– Bo Agostino przestał być pełnym człowiekiem. Ręka stworzyła człowieka.

– Ręka stworzyła człowieka. Wiesz, Anzelmo, że w Wyborgu niektórzy *os dozetos* wątpią w myśli *grav Engelese*.

– No to kto?

– *Ena Perso 'a Prima*. Osoba, nie sama część ciała.

– Lepiej, żeby tego nie słyszał segor Tomaso. To *ena mahla eresia*, najgorsza.

Chwilę milczeli. W drugim kącie werandy nadal trwał miłosny taniec tysięcy mrówek.

VI

Od dawna Aberto nie chodził po górach tak często, jak obecnie. W szkole pojawiał się raz w tygodniu. Segora Fiora witała go z wściekłością, lecz za każdym razem odpowiadał z wyłożonego materiału lepiej niż uczniowie, którzy godzinami wysiadali ławki.

– *Ena mahla eblud* – mówiła segora Fiora. – *En vene metal* – myślała.

Aberto wiedział, co robi. Odwiedzał niedostępne kary, wiszące ponad doal Greillt. Tropił ślady tych, co byli przedtem. Zbierał, kolekcjonował, mierzył, szkicował. Z każdej wyprawy wracał obciążony, z ciężkim plecakiem.

Segor Niewymawialny z początku płacił mu jak innym, później za dobrze udokumentowane znalezisko Aberto dostawał dwa *pachecos*, a za odnalezienie osiedla i dobre szkice nawet trzy.

Wkrótce segor Niewymawialny wyczekiwał na przybycie Aberto niecierpliwie. Od innych przestał skupować *os foscilos*, bo nie umieli ich opisywać i uzupełniać dobrymi szkicami, jak to robił Aberto. Joao próbował podsunąć kilka wymyślonych szkiców, ale zamiast *pachecos* zarobił kuksańca.

Oszustwo Joao spowodowało jednak, że leciwy segor postanowił osobiście sprawdzić jedną z praosad skartowanych przez swojego najlepszego asystenta.

Po pięciu godzinach podejścia zakosami po stromych upłazkach w piekącym skwarze Ouaigh, ledwie mogąc nadążyć za obciążonym bagażem Aberto, spocony segor Ubaldo przekonał się, że ruiny praosady w karze Bon Ouaigh zostały bezbłędnie przerysowane. Aberto robił rzetelną robotę. Z

kilku powodów: ciekawiła go ta praca; chciał zarobić jak najwięcej *pachecos*, żeby opłacić nimi studia w Wyborgu; a najważniejsze, bo zawsze starał się dobrze robić to, do czego się brał.

Segor Ubaldo sprawdził stanowisko i rozsiadł się wygodnie na wancie.

– *Ena pechilcha ndor en milg?* – zapytał Aberto.

– *En milg, en milg*, chłopcze. Pechilcha by mnie zabiła – sapnął segor Ubaldo, wycierając chusteczką pot z czoła. Aberto rozwiązał plecak, nalał z bukłaka kubek mleka i podał segorowi. Los przewodnika – noszenie bagażu klienta.

– Piękna nazwa, kar Bon Ouaigh. – Segor Ubaldo mlasnął i biała obwódka otoczyła mu wargi.

– To dlatego, że Ouaigh zawsze najpierw tu zagląda, gdy wstaje ponad granią. – Aberto celowo wybrał właśnie ten kar, gdyż całe podejście było w słońcu. Miał nadzieję, że zniechęci to wścibskiego segora Niewymawialnego do kolejnych weryfikacji.

– Ja myślałem, że znaczy to Dobre Tak. – Segor Ubaldo uśmiechnął się. – A to Dobre Słońce.

– Co to jest? – zapytał Ubaldo, biorąc do ręki okuty kij Aberto.

– *Pile-monte*.

– Takie godło przewodnika?

– *Nei*. To normalny ekwipunek. Szczególnie pomaga na śniegach.

– Mało gdzie używa się takich *os pile-montos*. Przyślę ci z Wyborga nowy sprzęt, jakiego tam używają w górach.

– *Pile-monte* dostałem od ojca. Nie jest zły. Ale nowy sprzęt przyda się. Komuś, nie mnie... – dodał cicho.

– W *doal* Glian używają po parze krótkich *os pile-montos*. Po jednym na każdą rękę. Segor Yorig tak chodził, a teraz jego syn. To jest lepsze, ale ja dostałem *pile-monte* od ojca. Bez zgody *segor pa'a* nie zmienię sprzętu – kontynuował.

Segor Ubaldo pił kubek za kubkiem i jadł za dwóch. Aberto uraczył się naparstkiem pechilchy. Był dumny ze swojej formy fizycznej. Sam mógłby wspiąć się do karu Bon Ouaigh w czasie o połowę krótszym. Wlókł się ze względu na segora Niewymawialnego.

– W Wyborgu używają *os pile-montos* w kształcie kilofka, tylko bardzo lekkiego. Jak u was w kopalniach. Jest bardzo dobry na śnieg i na lód.

– Kopalnia rudy jest w Glian. U nas w Greillt jest huta szkła. Segor Tomaso ją zbudował i uruchomił. Dlatego wybraliśmy go na starostę. Nie musimy teraz płacić *pachecos* za szyby, szklanki i butelki. Mądry *omré* ten segor Tomaso, ale ojciec go nie lubi.

– Mógł przyjąć *os novados* do Greillt – zauważył segor Ubaldo.

– Mógł. Sześcioro ludzi mogło zamieszkać nawet tu, w karze Bon Ouaigh. Tu śnieg znika tak wcześnie, jak na samym dnie *doal*. Zrobił błąd. Każdy robi błędy.

Aberto ogryzał udko kurczaka przygotowanego przez matkę na drogę. Zastanawiał się, gdzie jeszcze będzie chciał iść segor Niewymawialny. Na razie sapał i stękał, jadł i pił, i się pocił. Byłoby źle, gdyby mu teraz serce nawaliło.

– *Segor Ubaldo*, czy w Greillt była kiedyś *ena etter'inacial*

– *Ena etter'inacia?*

– No, tych, co byli przed nami...

– Mhm... – mruknął segor Zelosshosky. – Wiesz, Aberto... dużo czytałem o Greillt... Nie jestem zwykłym handlarzem *os foscilos*. – Spojrzał szybko na Aberto. – W Wyborgu byłem *en dozeto*, ale i tam brakuje *pachecos*, więc przestali mi płacić. Ale mam nadzieję, że znowu będą... Dzięki twoim wyprawom – urwał na chwilę.

– Greillt było zasiedlane dwa razy – zaczął po chwili. – Za pierwszym razem przybyło dwieście rodzin. Wszyscy koloniści osiedlili się wtedy w Greillt. I wszyscy umarli.

– Wiem. Segora Fiora mówiła o tym. Ziemia nie mogła wyżywić wszystkich i pomarli z głodu. Na ich pamiątkę nasz *en planeto* nazywa się Greillt, chociaż znacznie więcej ludzi mieszka w Glian.

– Tak uczą. Ale właściwie nie wiadomo, co się stało. Może w tym przypadku *os bacillones* tamtych były lepsze... Nie ma żadnych świadectw nawet w Wyborgu. Kiedy po czterystu latach ludzie znowu odważyli się tu osiedlić, tamtych już nie było. Ludzie przywieźli swoje zwierzęta i rośliny i udało się.

– A te osiedla? Moje szkice? Czy coś z nich widać?

– Hm... wiesz. Obejrzyjmy jeszcze raz to stanowisko.

Łazili po karze przez trzy godziny, aż segor Ubaldo znowu zgłodniał.

– Świetnie opracowane stanowisko – powiedział, jedząc ser. Aberto dotąd pochłonał jedynie kawałek kurczaka i mały kawałek sera, kompletnie roztopiony w plecaku, przez to jeszcze lepszy niż zwykle. Jako początkujący przewodnik, nie wiedział, ile wspólnego jedzenia należało do niego. Resztę kurczaka i prawie cały ser spałaszował segor Ubaldo.

– Wykonałeś dokładnie moje polecenia. Dam ci trzy *pachecos* ekstra za dobrą robotę.

– Inne osiedla zostały opisane tak samo, segor Ubaldo. Co o tym sądzisz? Była *ena etter'inacia?* – Ta myśl nie dawała mu spokoju.

– Wiesz, chłopcze... – westchnął *en dozeto*. – To jest przykre, ale wiele na to wskazuje. Znalazłem cienką, czarną warstwę. To musi być węgiel, popiół. Te ruiny świadczą, że te siedziby zostały kiedyś zburzone, spalone. Nie wiem, jak wyglądają inne osiedla, pójdziemy do kilku innych, ale obecnie uważam, że w tym osiedlu mogła być *ena etter'inacia otal*. Tak to wygląda.

– Za tych dwieście rodzin?

– Może.

– Jak wyglądali ci, co byli tu przed nami?

– *Preomres*, czy inne organizmy?

– *Preomres*.

– Nie wiem dokładnie. Ze znalezionych *os foscilos* trudno jednoznacznie odtworzyć ich wygląd. Na pewno byli do nas bardziej podobni niż *os raketos*. Gdybyś dokładnie odrysował jakiś *en skeleto*, ale dokładnie tak, jak leżą kości, to mógłbym odtworzyć ich wygląd.

– *Bon*. Zrobię tak. Czasem znajduję *os skeletos* leżące w trawie. *Preomres* mieli dwie ręce, dwie nogi i głowę.

– Ale czaszkę z paru części.

– Odrysuję takiego *preomre* najdokładniej, jak potrafię.

– Sam też spróbuj go zrekonstruować... – podsunął *en dozeto*.

Na zejściu segor Zelosshosky obtarł stopy, a już niedaleko wsi skręcił nogę. Wrócili, gdy na niebie chłodno świecił Nored. Segor Ubaldo ciężko wspierał się na starym *pile-monte* starego Anzelmo.

VII

Dzień odlotu *paré* Willemo zbliżał się w szybkim tempie. Tym razem Cyvut miał udać się na bezproduktywny lot. Po to, by przygotować się do kolejnej pory lęgowej. Trzy miesiące błąkania się w przestrzeni. Los *en gaucho* – jedność z *en raketo*. Okres skrócony do minimum przez *os ancessores*, tych, co kiedyś okiełznali *os raketos*.

Aberto nadal opuszczał lekcje. Obecnie pomagał przygotować Cyvuta do startu. Przykładał się do tego bardziej, niż powinien młody przewodnik. Segora Fiora nie potrafiła więcej złościć się na

swego najlepszego ucznia. Był błyskotliwy jak *en vene metal*. Dużo czytał, uczył się szybciej niż inni. Nieobecności nie były dla niego niebezpieczeństwem.

Zapas *pachecos* wzrósł radykalnie. Na podstawie tego, co mówił segor Ubaldo, powinno to wystarczyć na opłacenie czesnego za pierwszy rok, a po pierwszym roku kolegium można było już dostać stypendium, jeśli En Univalsal pvor Sopia zainteresował się bystrym uczniem. Aberto uważał, że skoro tak szybko nauczył się fachu przewodnika i opisywania *os foscilos*, to i zawodu *en ine 'ero* też nauczy się w krótkim czasie.

Segor Ubaldo zrobił kilka szkiców rekonstrukcyjnych *en preomre*. Wyglądały dość prymitywnie, ale i tak uderzało podobieństwo do człowieka. Choć może właśnie brak informacji o mięśniach, tłuszczu powodował, że segor Ubaldo upodabniał rekonstrukcję *en preomre* do człowieka. Gdy Aberto zwrócił mu na to uwagę, segor Niewymawialny obraził się. Nie będzie jakiś tam *en reguzo*, pastuch z Greillt pouczał *en dozeto* z Wyborga.

Aberto zrezygnował więc z niewczesnych uwag i własnoręcznie spróbował wykreślić rekonstrukcję *en preomre*. Wielokrotnie pomagał ojcu rozbierać zarżniętego wołu i pamiętał, jak mięśnie, ścięgna i kości łączą się we współdziałający układ.

Szczególnie trudno było odtworzyć głowę: niezrośnięte kości czaszki sugerowały bardzo wiele możliwości; od w miarę podobnej do człowieka o dużych wyłupiastych oczach pod proporcjonalnym czołem z kilkunastoma krótkimi wyrostkami czy różkami nawieszającymi się nad oczyma, płaskim nosem i szerokimi zwierzęcymi ustami, do potwora o dwóch niemal rozdzielonych głowach, każda z jednym okiem na szypule, symetrycznych nosach i miękkim ssawkowatym otworze gębowym.

Rekonstrukcja wykonana przez segora Dozeto, jak zwał go obecnie Aberto, była najbardziej człekopodobna ze wszystkich. Aberto zaczął podejrzewać go o dziwny brak śmiałości w myśleniu. Może właśnie dlatego zabrakło dla niego *pachecos* na En Univalsal.

Za to rozsądku nie zabrakło doświadczonemu *en Dozeto*. Uważnie obejrzał szkice zrobione przez Aberto i kupił je wszystkie za siedem *pachecos*, co było dużą sumą. Segor Ubaldo tak zainteresował się wynikami, że postanowił dłużej pozostać w Greillt. Początkowo planował zabrać się następnym *en raketo*, który miał przybyć już za miesiąc. Segor Tomaso cieszył się, że *en otel pvor portagos* przyniesie większy dochód.

Praca nad Cyvutem zajmowała znacznie więcej czasu. *Paré Willemo* szczelnie zawinięty w koc siedział na fotelu, w cieniu, pod wielkim, składanym parasolem, i instruował Aberto. Potrafił już wykonać sporo różnych ruchów, ale podniesienie do ust pełnej szklanki z pechilchą było dlań nadal niewykonalne.

Cyvut leżał na ogół zupełnie nieruchomo, nieco rozplaszczony na łące. Czasami zrobił kilka rytmicznych ruchów końcem odwłoka. *Paré Willemo* mówił, że są to słabe odruchy, bo wszystkimi ruchami *en raketo* zawsze steruje *en gaucho*.

Oporządzanie *en raketo* wymagało częstego wspinania się na krępy, wrzecionowaty korpus, przypominający trochę poczwarkę motyla.

– Ileż on ma tego wszystkiego – narzekał Aberto, to czyszcząc z wydzielin różne otwory w korpusie, to zaklejając inne pastami wybranymi z zawartości trzynastej kapsuły. *Paré Willemo* instruował go i pouczał.

– Nie możesz pomylić się, źle dobrana maść może spowodować nieobliczalne szkody.

– Jak one żyły, zanim je przysposobiono? Przecież pełne oporządzenie Cyvuta zajmie parę dni – rzucił Aberto, zręcznie biegając po pancerzu pomiędzy ostrymi jak sztylety z Glian kolcami i grzebieniami.

– Było im łatwiej. Wszystko to robiły same. Miały kompletny układ nerwowy. Teraz wszystko robi za nie *gaucho*, a jeśli *gaucho* nie siedzi w głowiu, *en raketo* nie potrafi wykonać najprostszej czynności życiowej.

Ouaigh ostro świecił, choć wokół okolicznych szczytów plątało się kilka białych chmurek. Płyty pancerza Cyvuta nagrzewały się bardzo, parzyły przy dotknięciu ręką.

– Nie zrobi się coś niedobrego od tego nagrzewania się, *paré Willemo*?

– *Nei*. Cyvut nawet tego nie zauważy. Dla niego to żadna różnica temperatury, w przestrzeni napotyka na wielekroć większe.

Kiedy Aberto uwinął się z robotą, zaparzył na palniku benzynowym ziółka i z kubkiem aromatycznych *os erbos* rozwalił się na fotelu, obok starego. Benzyna i palnik były własnością *paré Willemo*, ale Aberto nauczył się nim posługiwać już przed laty. Chwilę obaj milczeli, gapiąc się na kolosalny korpus Cyvuta.

– Przywiozłeś trochę *en denamento Nobele*, *paré Willemo*? – zapytał Aberto.

– A na co ci?

– Znalazłem dobre, niskie przejście do *doal* Glian. Po drugiej stronie *strom* Greillt niż stara droga. Trzeba tylko wysadzić jedną skałkę. Droga paskudna, przez las, ale znacznie krócej niż przez Wrath. A jakby zbudować gościniec, to można by tam jeździć okrągły rok. Bez walki ze śniegiem czy lodem na Wrath.

– *Segor* Tomaso powinien przeznaczyć *pachecos* na *en denamento Nobele*. To sprawa starosty.

– To beznadziejne. On nigdy nie da *pachecos* na *en denamento Nobele*. *Segor* Tomaso nie chce bliskich kontaktów z *doal* Glian. Obawia się ich.

– Dlaczego? Sprzedaje im szkło po dobrej cenie...

– Ludzie w Glian, jak ty, *paré Willemo*, wątpią w *grav Engelese*. Wprowadzili stałe prawo, a przecież *grav Engelese* nakazał *ena prattica sottial*. Oni, to znaczy Peppo i Yorig, twierdzą, że jak coś jest dobre, to zawsze jest dobre; albo jak złe, to zawsze jest złe. A to jest *ena eresia*.

– No tak, jeśli byłoby prawo, to Tomaso nie mógłby tak łatwo ukamienować takiego Agostino Nei. Chyba żeby wcześniej wymyślił takie prawo.

Lepiej kiedyś zrobiliby, wybierając na starostę przewodnika Anzelmo niż *en ine'ero* Tomaso – pomyślał Willemo.- Ale *en ine'ero* to pożyteczny zawód, dobrze rokował, nie to, co górski ptak, wędrowiec...

– Czasem myślę, że chodzi o widzimisię *segora* Tomaso, a nie o myśl *grav Engelese*.

– Niektórzy *os dozetos* uważają, że myśl *grav Engelese* prowadzi zawsze do zastąpienia prawa czymś widzimisię.

– To wielka *eresia*.

– *Fuccho* – mruknął *paré* Willemo. – Uczyłem cię wielu rzeczy, Aberto.

– To prawda, *paré Willemo* – przyznał pokornie Aberto.

– Czy któraś z nich okazała się kłamstwem albo złem, Aberto?

– *Nei, paré Willemo*. To były najwartościowsze rzeczy, jakie słyszałem. Po jednym słowie... – dodał po cichu.

– To dlaczego ciągle powtarzasz *ena eresia* i *ena eresia*? Powiem ci prawdę: *grav Engelese* nie był żaden *grav*. W jego myśli jest więcej złego niż dobrego.

Aberto milczał. Śmiałość myśli *paré* Willemo była dokładną odwrotnością ostrożności *segora* Ubaldo. Nie tracił w oczach w miarę znajomości. Na pewno byłby z niego *en dozeto*.

– *Paré Willemo* – odezwał się po chwili.

– Tak?

– Dlaczego nie zostałeś *en dozeto* w Wyborgu?

– Dlaczego myślisz, że nie byłem? – warknął stary napastliwie. Po dwóch latach młody Aberto fil Anzelmo nie był tylko uczniem, stał się normalnym partnerem w dyskusji.

– Byłem *en dozeto*. A wcześniej byłem *en conruttore*. Uruchomiłem hutę stali w Glian. Dotąd działa, lepiej niż ta cholerna hydroelektrownia, którą naprawiał *segor* Dozireff. A potem zostałem *en gauch*o. I z tego jestem najbardziej dumny. Nie zamieniłbym tego na... – Przerwał na chwilę. – Jest niewiele rzeczy, na które zamieniłbym powietrzne gazdowanie – zakończył i uroczyście splunął fusem.

– *Paré Willemo* – zaczął z namaszczeniem Aberto. – Dawniej, gdy wypytywałem cię o powietrzne gazdowanie, obiecywałeś powiedzieć mi więcej, kiedy będę starszy. Czy jestem już wystarczająco dorosły, *paré Willemo*?

Stary milczał dłużej, niż należało się spodziewać.

– Tak. Tak sędzę – powiedział wreszcie. – Co chcesz wiedzieć?

– Skąd przybyły.

– Tego nie wie nikt. Tego nigdy nie wiadano. Kiedyś przybyły na Ena Prima, pierwszą planetę, z której wywodzą się ludzie. Przybyły, gdyż była ich miejscem lęgowym. A potem zaniósł ludzi do innych swoich miejsc lęgowych. Zawsze podobnych, o podobnym klimacie, temperaturze, z wystarczającą ilością wody.

– To mówiła w szkole segora Fiora. Powiedz więcej, powiedz, jak odnajdowały swoje miejsca lęgowe.

– *En in'ttinto*. W Wyborgu, w oceanie żyją morskie żółwie. Składają jaja zawsze na tych samych kilku wysepkach. Małych, podobnych do setek innych łąch piachu. Odnajdują je wśród tysięcy mil bezkresnego oceanu. *En in'ttinto*. Tak samo robią *os raketos*. Przypadkiem ich miejsca lęgowe znakomicie nadają się do życia ludzi.

– A skąd ludzie nauczyli się je przysposabiać?

– Nie wiem. – Stary wzruszył ramionami i mocno pociągnął przez rurkę *os erbos*, aż zasiorbało. – Tak robi się od pokoleń. Kto pierwszy okiełznał *en raketo*, nie wiem. Znam procedurę. Okres, kiedy młody *en raketo* nadaje się do przysposobienia, jest bardzo krótki. Usuwa się mu z głowia większą część układu nerwowego. Nawet nie wiem, jak się która część nazywa, ale potrafiłbym to powtórzyć. Wiem, co i ile należy zostawić. Jeśli w porę się tego nie zrobi, *en raketo* pewnego dnia zniknie, odleci, by nigdy nie wrócić.

– Dokąd?

– Ma dla siebie cały Wszechświat, to jego życie. My zdążyliśmy poznać niewiele, a zasiedliliśmy jeszcze mniej miejsc lęgowych, *os planetos*.

– Ale przecież lata do miejsc lęgowych, więc musi wrócić.

– Nie lata. Jego cykl lęgowy jest wolny, raz na kilkadziesiąt lat, to *en gaucho* musi go przekonać, że złożone w jego torbie lęgowej kapsuły są jego *os ovos*. Ten cykl da się skrócić do trzech miesięcy. Wiesz, trzy miesiące błąkania się w przestrzeni i następnie jeden lot użytkowy. To wszystko kosztem zdrowia i długości życia *en raketo*.

– Bardzo nudno jest w czasie tych trzech miesięcy?

– Jest cudownie. Doznajesz zjawisk, które trudno ubrać w słowa. Brakuje odpowiednich słów. Nawet trudno zrozumieć innego *gaucho*. Każdy przeżywa to inaczej. Przecież wiesz, że *os raketos* dzięki rozwojowi, który trwał eony, opanowały przestrzeń i czas. Wędrują poza przestrzenią i poza czasem. Chociaż nie wytworzyły świadomości, pozostając robakami, kosmicznymi robakami, które miałyby się bełładnie po całym wszechświecie, gdyby nie wola swojego *gaucho*.

– Smutny los.

– Odplaca swojemu *en gaucho* tym samym. *GaUCHO* nie może żyć bez swojego *en raketo*. Umiera bez niego. Jego ciało gnije, obumiera. Wygląda pokracznie, podziurawiony. Mało kto może spojrzeć na jego spotworniałe ciało.

– Pamiętasz, jak pomalowałem się kiedyś w czarne plamy, żeby wyglądać jak *en gaUCHO*?

– Pamiętam. Miałeś wtedy dziesięć lat.

– Zmieszałem wtedy łój z węglem, żeby farba lepiej się trzymała. *Segora ma'a* przeraziła się moim wyglądem.

– Pamiętam.

– A może taki nieprzysposobiony *en raketo* ma świadomość albo inteligencję?

– Kto to wie. W takim razie dlaczego jednego z nich, pierwszego, udało się przysposobić? Dlaczego pozwolił się okaleczyć?

– Jeden?

– Tak. Wszystkie używane przez ludzi są potomstwem jednego *en raketo*.

– A co pisze o *os raketos grav Engelese*?

– Tfu. *Ena mahla eblud*. – *Paré Willemo* splunął podobnie jak stary Anzelmo, gdy wspomiano o *segorze Tomaso*.

– Nic sensownego. Gdzie *en raketo* ma rękę, która go stworzyła? *Grav Engelese* nie ma tu nic do powiedzenia.

– Myślisz, *paré Willemo*, że jeden z *os raketos* dobrowolnie dał się przysposobić, a wcześniej nauczył ludzi, co powinni z nim zrobić?

– Nie pytaj, nie wiem. Sam zmagam się z tą myślą od lat. Ludziom nigdy nie udało się zbudować sztucznych *os raketos*, które mogłyby śmigać przez wszechświat. Kiedyś próbowano coś takiego budować, ale skutki okazały się mizerne: olbrzymi nakład pracy i *pachecos*, a sztuczny *en raketo* latał najdalej do sąsiedniego *en planeto*. Tyle. Gdzie tam do bezkresu wszechświata, *os Galatticos*. Tak było dotąd, aż do swojego miejsca lądowego na *Ena Prima* trafił jeden z *os raketos*. Dzięki niemu ja z moim *Cyvutem* przemierzamy *ena Galattica*.

– Ten pierwszy musiał bardzo ukochać ludzi, skoro pozwolił okaleczyć siebie i swoje potomstwo – zauważył *Aberto*.

Willemo przyjrzał mu się uważnie: z młodego *eh reguzo* rośnie *en dozeto*.

– Jak to jest, *paré Willemo*, kiedy się leci? – pytał dalej, widząc życzliwość starego.

– Dziwnie. To tak jakbyś pojawiał się ciągle w nowych miejscach, a pomiędzy kolejnymi pojawieniami nie istniał. Nieciągłość istnienia, podobno tak oszukuje on fizykę. Tak twierdzą *os dozetos* w Wyborgu, chociaż nikt nie rozumie, jak *en raketo* to robi, ani nikt nie potrafi powtórzyć tego efektu.

– Mądre są *os raketos*.

– O tak. Odczuwasz to, gdy zespalasz się z Cyvutem. Ale to dziwna mądrość, obca; dziwna logika. Stając się *gaucho*, stajesz się innym człowiekiem.

– Ja nadal chcę zostać *en gaucho, paré Willemo*.

Po tym oświadczeniu stary milczał przez długą chwilę.

– Powtarzałem to, będąc dzieckiem, a teraz potwierdzam. Chcę zostać *en gaucho*, powietrznym gazdą.

– A Anzelmo? Co on na to? Przecież chce, żebyś został przewodnikiem.

Mathao, syn *segora Tomaso*, chce zostać przewodnikiem. Nie jest tak dobry jak ja, ale uczy się i będzie dobry. Jemu ojciec może przekazać swój *pile-monte*. Zresztą, kiedy zbuduję dolną drogę do Glian, przewodnicy nie będą tak bardzo potrzebni. Tylko po to, żeby prowadzić *os dozetos* śladami *os preomres*.

– Jesteś bardzo pewny siebie, jednak dam ci ten *en denamento Nobele*.

VIII

O tym, że Aberto wykorzystał otrzymany *en denamento Nobele* właściwie, *paré Willemo* dowiedział się dopiero rankiem dnia odlotu Cyvuta.

Jak zwykle, siedział na werandzie zakutany w pled i obserwował mgły snujące się nad lasem porastającym zbocza doliny. Tam, gdzie las kończył się i zaczynały hale, mgły nie sięgały. Wschodził piękny dzień, choć *Ouaigh* nie wspiął się jeszcze ponad grań, a dopiero rozświetlał mgły.

Stary chciał nacieszyć się jeszcze *doal Greillt*, wchłonąć jak najwięcej zapachów, ułoić okiem jak najwięcej barw, by wszystko to przekazać okaleczonemu bogu, Cyvutowi. By i ta kaleka resztką giganta choć częściowo poznała, czego zaznaje kaleka resztką człowieka, *en gaucho, paré Willemo*. Był to winien tamtemu za wrażenia, którymi obdarzał go Cyvut, gdy byli w przestrzeni. To różniło

starego od Anzelmo, Aberto czy innych mieszkańców *doal Greillt*, od wszystkich, którzy nie byli *os gauchos*.

– *Paré Willemo*. – Aberto przerwał jego zamyślenie.

Stary obrócił głowę. Aberto przyprowadził nieznaną dziewczynę. Wysoka, smukła, odziana w białą sukienkę, w rękach trzymała słomkowy kapelusz z Glian. Szczególną świetlistość nadawały jej włosy i bardzo jasna cera. Oczy miała niebieskie, nie błękitne, lecz niezwykle: modrosiwe. Wrażenie tej jasności pogłębiał kontrast ze smagłym, ciemnowłosym Aberto.

Dziewczyna patrzyła na Willemo. W jej spojrzeniu mieszały się strach, ciekawość, obrzydzenie i sporo sympatii.

Nie jest źle – pomyślał stary. – Na ogół, gdy ktoś pierwszy raz zobaczy gaucha, w jego wzroku jest tylko strach i obrzydzenie.

Oboje młodzi wymienili kilka szybkich spojrzeń. Aberto chciał skłonić ją wzrokiem do zrobienia czegoś.

– To jest Ineda fia Peppo av Glian, *paré Willemo* – powiedział jednak Aberto. Wyjaśniło to, kto rządzi w tym stadle.

– Nie miałem wątpliwości od chwili, gdy ją ujrzałem. To dlatego nie chcesz być przewodnikiem, żeby nie prowadzić innych *os reguzos* do Glian, Aberto?

– W Glian też są *os reguzos*, *paré Willemo* – roześmiała się Ineda. Miała w spojrzeniu modrosiwych oczu coś, co sprawiało, że chciało się łowić to spojrzenie jak najdłużej. – Są tłuści i brzuchaci, jak oskubane kury, nie jak górskie ptaki. – Uśmiechała się, a w jej oczach skakały białe iskierki.

– Jak to się stało, że *ena reguza* z Glian przyszła do *doal Greillt*, nie brudząc białej sukienki? Czyżby śniegi na Wrath stopniały, a piargi ułożyły się w stopnie?

– Nie wiemy – powiedział Aberto. – Może tak zrobiły. Ineda przyszła dolną drogą przez *toar*...

– *Toar Aberto* – przerwała mu Ineda. Pierwsza wypowiedziała nazwę nowego przejścia.

– Dobra nazwa. Jak się ma Peppo, Ineda?

– Już chodzi po obejściu. Ale co jakiś czas wracają mu bóle. Od czasu jak zaczął chodzić, pije znacznie mniej *ena pechilcha*. Rozmyśla, jak rozbudować hutę. Mamy za mało stali. Od czasu kiedy zaczęliśmy budować *os vapore machinos*, każdy chce mieć taką jedną albo kilka w obejściu. Pomagają bardzo w pracach w polu. Zbudujemy też *os trattoros*. Może ludzie będą je kupowali. Można by dzięki nim szybko zrobić drogę przez *toar Aberto*.

– *En denamento Nobele* starczyło na zrobienie *toar* w skałach, u dołu *doal Greillt*. Cała reszta drogi wiedzie przez nastromiony, gęsty las.

- Znałaś tę drogę wcześniej, Ineda?
- Chodziliśmy wielokrotnie z Aberto i oglądaliśmy to miejsce.
- Byłaś tu już kiedyś we wsi?
- Oglądałam *en raketo* na *en port*. Aż do wsi nie zaszłam. Będę dziś oglądać start Cyvuta.
- Nie podchodźcie za blisko, gdy będzie startował.
- *Ouaigh, paré Willemo.*

Stary zamknął oczy, więc zrozumieli, że chce zostać sam.

– Ineda! – powiedział jednak, gdy chcieli już odejść. – Gdy zobaczyłaś mnie, nie bałaś się tak bardzo ani nie brzydziłaś.

– To prawda, *paré Willemo.*

– Dlaczego? Przecież wyglądam jak *en monstero*.

To też prawda, *paré Willemo.* – Jej szczerłość rozbrajała. – Gdy byłam małą dziewczynką, *segora ma 'a* opowiadała mi bajeczkę o małym Sebastiano. Znasz ją?

Na takie pytania nie odpowiada się, ale *paré Willemo* zaprzeczył ruchem głowy.

– Na odległym *en planeto* była wioska w *doal Vucos*. Całą wioskę prześladowały *os monsteros*, wielkie pająki. Były czarne, na bardzo długich nogach i wyglądały okropnie. Wychodziły na okna i zaglądały przez szyby do wnętrza izb, niektóre z nich wchodziły do wnętrza izb i siadywały na suficie albo za piecem. Były groźne i wszyscy bali się do nich zbliżyć i je przegnać.

Mały Sebastiano raz podszedł do najgroźniejszego *en monstero*, jaki wszedł do ich izby. Chwilę patrzyli na siebie.

– *En monstero*, dlaczego mnie nie atakujesz? Przecież stoję tak blisko, że możesz mnie zabić.

– Dlaczego miałbym zrobić ci krzywdę? Czy nie wystarczy, że jestem *en monstero*, wyglądam okropnie i nikt mnie nie lubi? Czy do tego muszę jeszcze robić komuś krzywdę?

– To dlaczego wszedłeś do mojej izby, a inni *os monsteros* też wchodzi i nas tak okropnie straszą?

– W chłodzie nocy i w deszczu drętwiejemy z zimna. A w waszych izbach jest jasno i ciepło. Możemy się ogrzać, patrzymy, co robicie, możemy być z wami.

I mały Sebastiano zaprzyjaźnił się z En Monstero, a tamten opowiedział mu wiele pajęczych baśni. Podoba ci się ta bajka, *paré Willemo*?

- Nie zdążę opowiedzieć ci wielu baśni, Ineda. Bardziej boisz się pajaków czy mnie?
- Pajaków. – Ineda uśmiechnęła się. – Ale nie bardzo.
- Idźcie już. – Stary pokiwał głową. – Muszę odpocząć przed startem.

IX

Cyvut startował w bezproduktywny lot. Segor Tomaso nie podwoził obłych, ciemnych kapsuł ładunkowych, choć przyszedł i przyglądał się z dala, jak i wszyscy mieszkańcy Greillt. Należało zachować odpowiednią odległość od *en raketo*.

Anzelmo z synem zawieźli *paré* Willemo na środek *en port* do spokojnie leżącego Cyvuta. Pokrywy głowia już wcześniej uniosły się same, zgodnie z przewidywaniami *paré* Willemo. Cyvut chciał już lecieć. Cała instalacja siłowników została uruchomiona właśnie przez niego. Pozostawienie odkrytego, nie zabezpieczonego głowia mogło spowodować groźną infekcję.

Ostrożnie wspięli się po pancerzu, pół niosąc, pół wlekąc starego. W wachlarze śluzowe głowia wsuwali go ostrożnie pieszczelowatymi nogami naprzód. Już zanurzony do kostek, zaczął wyć i skamleć. Szamotał się słabo, bo mięśni nie miał prawie w ogóle, ale wył jak śmiertelnie ranne zwierzę. Wciskające się węzowate wyrośla były ledwie widoczne przez warstwę śluzu, żadne z nich nie wychyłyło ponad nią.

– Coś jest nie tak – wystękał *paré* Willemo.

Kolejne wyrośla odzyskiwały swoje otwory, swoje połączenia do układu nerwowego *gaucho*.

Zanurzony do pasa Willemo już nie wył. Już Cyvut odczuwał cząstkę jego bólu i starał się zadawać go mniej. Już nie trzeba go było podtrzymywać, *gaucho* miękko, łagodnie zapadał się w lepłą masę.

– Nie wiem, Anzelmo – powiedział *paré* Willemo, gdy wystawały już tylko jego ramiona i głowa. – Jest bardzo źle. Całe grupy nerwów nie odpowiadają. Nie odczuwam tego, co powinien mi przekazywać Cyvut. To może być nasz ostatni lot.

– Bądź dobrej myśli, Willemo.

– Jak zadecydujesz, gdy Aberto nadal będzie chciał zostać *en gaucho*? – zapytała znikająca w śluzie głowa.

– Będzie dobrze, Willemo. Aberto pójdzie na Univalsal.

– Żegnaj, Anzelmo.

– Do zobaczenia, Willemo.

Stary nabrał do ust śluzu, a wkrótce galaretowate wachlarze zamknęły się nad jego łysą, pomarszczoną i obłążącą ze skóry głową. Siłowniki wolno, równomiernie opuszczały pancerne pokrywy.

Anzelmo i Aberto jak najszybciej oddalali się od Cyvuta. Stary ciągnął za pysk wołu, szybciej niż ten chciał iść. Bydlę ruszało łbem, próbowało ryczeć, łypało przekrwionym okiem. Obok szedł zamyślony Aberto. To, co usłyszał od ojca, wstrząsnęło nim bardziej, niż gdyby usłyszał sprzeciw. Był przygotowany na ten sprzeciw i był przygotowany do walki o swoją decyzję. Zgoda ojca przyszła zbyt łatwo.

To, co usłyszał od *paré* Willemo, zasmuciło, ale Aberto uważał, że mądry *paré* i tym razem poradzi sobie.

Wkrótce znaleźli się za ziemnym szańcem, umocnionym belami drewna, znajdującymi się na skraju *en port*. Aberto stanął tuż obok Inedy. Ich dłonie zaraz odszukały się, chociaż krawędź jej słomkowego kapelusza boleśnie drapnęła go w ucho.

En raketo wygiął się w łuk, unosząc swą przednią część na odwłoku. Teraz powinien mocnym skurczem odwłoka odbić się od ziemi i przez moment będąc w powietrzu, zniknąć na oczach wszystkich. Miał zejść znany cud startu *en raketo*.

Tymczasem skurcz odwłoka okazał się zbyt słaby, żeby wybić w powietrze kilkunastometrowe wrzeciono. Cyvut stracił równowagę i palnął głowiem w murawę, aż jęknęło. Chwilę trzepotał jak ryba wyrzucona z wody, po czym uniósł głowie i znów spróbował odbić się od ziemi. I znów grzmotnął z impetem o trawę. Tym razem seria drgawek, jaka nastąpiła, była dłuższa.

Gigant ponowił jeszcze kilka prób wyskoku w powietrze, łamiąc i gnąc niektóre wystające ostrza i płyty. W końcu jego ruchy utonęły w seriach nieskoordynowanych drgawek. Bił sobą o ziemię, rzucał się, rytmicznie machał odwłokiem.

Wieśniacy byli przerażeni.

– Cyvut kona – powiedział Anzelmo. – Szaniec powinien ochronić nas przed najgorszym, ale lepiej opuścić nawet jego poblizę.

Śmierć *en raketo* mogła spowodować straszliwe konsekwencje, aż do potwornej eksplozji włącznie. Podobno kilka *os planetos* zostało zdewastowanych przez konającego *en raketo*.

Ludzie zaczęli w popłochu opuszczać skraj *en port*. Oddalenie zwiększało szanse przeżycia.

– *Segor pa'a*, trzeba ratować *paré* Willemo – powiedział Aberto.

Obok przejechał segor Tomaso, poganiając woły ciągnące jego najlepszy wóz. Ktoś krzyczał ze strachu. Drgawki *en raketo* osłabły i znikły. Cyvut umarł.

Dwóch mężczyzn wyjechało wozem w przeciwnym kierunku niż reszta wieśniaków. Dwie kobiety pozostały za szanćem, czekając, aż oni przywiozą ciało *en gaucho*.

X

W tym samym dniu przyszła wiadomość: stado *os vukos* zaatakowało osiedleńców w doal Novado. W biały dzień, podczas budowy domu. Zagryzły dwóch mężczyzn i kobietę, która wracała od źródła, niosąc wodę. Pozostali zabarykowali się w domu, słysząc, jak *os vukos* pożerają ciała ofiar. To, że *os vukos* zaatakowały stadem, o tej porze roku było rzeczą niebywałą. Strata tych trojga ludzi poszła na konto segora Tomaso, ponieważ Aberto zdążył po wsi rozpropagować myśl, że lepszy dla *os novados* był kar Bon Ouaiğh niż nowy doal. Gdy troje ocalałych przybyło do Greillt, Aberto osobiście wyprowadził ich do wysokiej dolinki. Byli zbyt zszokowani, by cieszyć się lub smucić. Ponadto wszyscy uznali, że należy wykarczować drogę leśną do toar Aberto. Segor Tomaso w końcu przestał się sprzeciwiać, chociaż stale argumentował, że bardziej zaludnione i bogatsze doal Glian zniszczy ekonomicznie Greillt. Nawet Mathao fil Tomaso uważał, że powinno się zrobić dolną drogę do Glian. Może sam trochę obawiał się drogi przez Wrath, przez którą, będąc przewodnikiem, musiałby prowadzić handlarzy; może wpłynął na to widok świetlistej Inedy, która przez kilka dni z rzędu przychodziła do Greillt, zawsze w białej sukience i słomkowym kapeluszu; może wiadomość, że Ineda ma młodszą siostrę. Mathao, dotąd zarozumiały i wyniosły jako syn starosty, nagle zrobił się sympatyczny i przyjazny, szukał okazji do pogawędki z Aberto. Ineda przychodziła do Greillt za każdym razem z porcją ziół i medykamentów przygotowywanych dla *paré* Willemo przez segora Garcie, medyka z Glian.

Segor Donovan opiekował się *paré* Willemo, ale ciągle kręcił głową i podawał leki, które sam zaordynował lub zaproponowane przez segora Garcie. Żaden z nich nie znał się na leczeniu *os gauchos*. Donovan kilkakrotnie bąkał, że najchętniej naradziłby się ze swoim kolegą z doal Glian, ale skłonienie spaśłego segora Garcii do kilkugodzinnej drogi przez wykroty i pokruszone skały było rzeczą niemożliwą. Tylko Aberto i Ineda przemierzali drogę z Glian do Greillt i z powrotem. Ineda wędrowała w normalnym stroju podróżnym, a w białą suknię z Glian przebierała się dopiero tuż przed Greillt. To był mądry pomysł słabującego *paré* Willemo, aby odpowiednio zareklamować dolną drogę. Pierwszy raz zrobiła to Ineda, by ładnie wyglądać, przedstawiona *paré* Willemo, potem on zaproponował, by ubierała się tak stale, by przekonać mieszkańców Greillt do nowej drogi.

Tego wieczora wypito zbyt dużo pechilchy. Segora Madlena nie protestowała, gdy Anzelmo dolewał Aberto lub *paré* Willemo.

– Szkoda, że nie pożały mnie *os anos* – powiedział *paré* Willemo, wypuszczając na chwilę z ust rurkę, przez którą sączył pechilchę. – Przynajmniej mówiono by, że stary Willemo umarł z miłości.

– Cudzej – dodał po chwili z ironią. Obecnie pozornie nie był w gorszej formie niż przed startem Cyvuta. Jedyne nieposłuszna skóra schodziła z niego płatami, a wargi poczerniały i popękały, pokryte strupami.

Nikt nie podjął tego tematu. Anzelmo chlapnął haust pechilchy; Aberto milczał, bo miał już w czubie i bardzo nie chciał, by ktoś ze starszych to zauważył.

– Aberto – odezwał się znowu *paré* Willemo. – Rzeczywiście nadal chcesz zostać *en gaucho*? – Przekrzywił swoją pomarszczoną głowę, by zerknąć w górę.

– Tak.

– Daj mi jakąś kartkę i ołówek.

„Do Stais’avo av Stairnes” – napisał nagłówek na podsuniętym świstku. – „Chciałbym zarekomendować Aberto fil Anzelmo av Greillt jako kandydata na przyszłego *gaucho*. Jest inteligentny i oddany. Jeśli zdoła ukończyć Univarsal, może zostać *gaucho*. Podobnie myślę o Inedzie fia Peppo av Glian, choć znam ją mniej. Podpisał: Willemo av Stairnes” – stary naskrobał niezdarnymi kulfonami. Jego dłoń dawno straciła siłę, by kreślić wyrobione zawijasy.

Aberto przeczytał kartkę, złożył i schował.

– Stais’avo zarekomenduje cię w Wyborgu. Inedę też, jeśli będzie chciała. Przyjmą was do kolegium, a czy dalej się przedrzecie... To w waszych rękach.

– Dziękuję, *paré* Willemo.

– Tu jest chleb i ser, Willemo – powiedziała segora Madlena.

– Nie mam dla kogo jeść. Dla kogo zbierać wrażeń.

– Wybierzcie sobie młodego *en raketo* – zwrócił się do Aberto. – Tak, żeby to on was przeżył. Wtedy *en raketo* będzie cierpiał po was, nie wy.

– Cyvut sam otworzył pokrywy głowia – powiedział Anzelmo. – Dzięki temu ciebie

wydobyliśmy.

– Wiem. To była jego ostatnia myśl.

– Mówiłeś, że był bezrozumnym robakiem.

– Nie był bezrozumnym robakiem, to znaczy był inaczej. Nie wiem.

– Ale nie był *Ena Perso 'a Prima*, Willemo?

– Nie. Może *Ena Perso 'a Superiore*.

– W Greillt boją się, że Cyvut zniszczy dolinę, *paré Willemo*.

– A jak teraz wygląda *en port*?

– Zwyczajnie. Cyvut leży nieruchomo. Widać wygniecioną, zbielałą trawę, w tym miejscu, gdzie leżał przed śmierć... przed startem. Jakby się zmniejszał, *paré Willemo*.

– Ja wiem. On nie robi krzywdy. Nie Cyvut. *En raketo* umiera wielostopniowo, kontroluje swoją śmierć. To *Ena Perso 'a Superiore*. Zapadnie się w siebie, zredukuje. Nie będzie eksplozji.

Wieczór był chłodny, nie tak przyjemny jak ten, kiedy przyleciały mrówki. Wszyscy pili za dużo. Z cienia wyłoniła się wysoka, zgarbiona postać.

– *En grav onor, segor Tomaso* – powiedział ojciec. – Bądź z nami w ten wieczór.

Starosta poruszył ramionami jak zmokłe ptaszysko skrzydłami, na których pozlepiały się pióra. Usiadł jednak na podsuniętym przez Aberto plecionym fotelu. Spojrzał krzywo na potrójny gazdowski sznur zapleciony na brzuchu *paré Willemo*, tym bardziej niestosowny, że Cyvut umarł. Co znaczy *en gaucho* bez *en raketo*?

Właśnie o to zapytał.

– Kim dla ciebie był Cyvut, Willemo?

– Drugą częścią mnie. Mroczną, zagadkową, potężną. Gdy przylatywałem na *en planeto*, podsuwał mi wszelkie wspomnienia z tym związane. Dlatego miałem wielu przyjaciół, bo przyjaźń to znaczy też pamięć.

– To dlatego twoja głowa pełna jest otworów jak pień drzewa pogryziony przez robaki?

– Dlatego. Nie przeszkadzało to moim przyjaciołom. To znaczy mało przeszkadzało.

Segor Tomaso wychylił duszkiem szklankę pechilchy. Potrafił pić więcej niż inni wieśniacy i zachować jasny umysł. Słaby *paré Willemo* mówił nadmiernie wylewnie.

– Czy myślisz, Willemo, że *en raketo* to *ena perso*’a rozumna? – Spojrzał na niego bystrym wzrokiem drapieżnego ptaka.

– Nie mam żadnych wątpliwości. To intelekt, to *Ena Perso*’a *Superiore*, *segor Tomaso*. – Stary mówił szczerze, z serca. Mówił rzeczy, których się domyślał, które taił przez lata przed innymi.

Aberto chciał przerwać tę niebezpieczną wypowiedź swojemu mistrzowi, Anzelmo chciał przerwać swojemu przyjacielowi. Nie zdążyli.

– Czy uważasz, *paré Willemo*, że *os raketos* stworzyła ręka? – Segor Tomaso spojrzał przenikliwie jak najszlachetniejszy ptak, jasnoszary *en adero*. Pił szklankę po szklance, gorliwie dolewana przez segorę Madlenę, a wzrok jego nie chciał stracić blasku.

– A gdzie poczwarka motyla ma rękę? – palnął *paré Willemo*. – *En grav Engelese* to *en idioto*. Wszystko pomylił. Przez palce jego ręki przemknęła potęga wszechświata.

Wydawało się, że *paré Willemo* jest kompletnie pijany.

– A co to jest *Ena Perso*’a *Primal* Wspominałeś o niej, jak szedłem ku wam – rzucił segor Tomaso.

– No tak. Tak mówią światlejsi *os dozetos* w Wyborgu. – *Paré Willemo* był zadziorny jak nigdy. – *Ena Perso*’a *Prima*.

– *Czy grav Engelese* to *ena Perso*’a *Primal* – Segor błysnął spojrzeniem.

– Ha! On?!... – *Paré Willemo* parsknął śmiechem, aż wokół prysnęło winem. Stary Anzelmo miał ochotę zatkać te spróchniałe usta garścią. Młody Aberto też.

– *En idiotol Ena mahla eblud? Maleńki Engelese?* – Wzrok starego był błędny i mętny. – To nieporozumienie większe niż *en planeto*.

Wysoki segor Tomaso podniósł się z fotela, jakby odepchnął kolejną szklankę z pechilchą. Spojrzał ze wzdargą na okaleczone ciało *paré Willemo*, bezwładnie wtłoczone w fotel.

– To mi wystarczy – powiedział. – Teraz wiem.

– Segor Tomaso, jeszcze nie wyschła butelka z pechilchą – powiedziała segora Madlena.

– *Nei*. To mi wystarczy – powtórzył segor Tomaso i zniknął w mroku, tak jak się pojawił.

Nienaturalnie długie milczenie po odejściu segora Tomaso przerwał *paré* Willemo. Był rozluźniony jak nigdy.

– Anzelmo – powiedział. – Powinniśmy wypić *milgeblut*.

– *Os portagos* wymiotują po *milgeblut*, Willemo.

– Może nie zwymiotuję. Pora wypić *milgeblut*.

– *Bon*.

Anzelmo polecił Aberto przyprowadzić Rocco, najokazalszego wołu, jakiego mieli. Aberto trzymał za pysk zwierzę i starał się je uspokoić, kiedy stary przyniósł ze składu prastary łuk pozostały po pierwszych kolonistach, a troskliwie przekazywany z ojca na syna. Założył jedną z pięciu posiadanych strzał i napiął cięciwę. Trafił w żyłę przecinającą na skos tylny udziec bydłęcia. Zwierzę szarpnęło się, powstrzymywane przez Aberto. Anzelmo mocno uchwycił strzałę i wyciągnął z boku Rocco. Grot nie miał zadziorów i nie rozrywał rany. Krew pociekła cienką, ciemną strużką. Anzelmo zebrał ją do kubka, a następnie wlał do garnka z mlekiem i starannie zamieszał.

Nalał kubek *paré* Willemo i drugi sobie. Willemo krzywił się i prychał, wyginał i parskął, próbował połknąć różowawą mieszaninę. W końcu osuszył swój kubek. Wtedy Anzelmo wypił duszkiem swój.

– Jesteśmy braćmi, Willemo.

– Jesteśmy braćmi, Anzelmo.

– Aberto zacznie kolegium w Wyborgu, chociaż może jeszcze zmienić decyzję – powiedziała segora Madlena.

– A Ineda? – spytał Willemo, a w jego oczach zaigrały iskierki.

– Zdecydowała, że oboje pójdziemy do kolegium. Ineda mówi mi, co powinienem zrobić. A ja to robię. I tak jest dobrze – roześmiał się Aberto.

– Ale ten Tomaso wyglądał jak zmokłe ptaszysko – parsknął śmiechem *paré* Willemo, pierwszy raz od śmierci Cyvuta.

– Jak ptak śmierci – mruknął Anzelmo.

– Myślisz, że długo podsłuchiwał? – zapytała segora Madlena.

– Słyszał, co chciał.

Aberto spotkał Inedę przy *toar*. Przyszła wcześniej, nie musiał czekać na nią. Siedziała na kamieniu poruszonym eksplozją *en denamento Nobele*.

– *Segora ma 'a* powiedziała mi o *paré* Willemo.

– Tak? – zainteresował się.

– *Paré* Willemo przybył kiedyś z daleka, hen spoza Wyborga, z Parloigg do Glian. Był wtedy młodym *en conruttore*. Niektórzy mówili, że to wielki *en ientoro*. Podobno jego huta była wzorem dla innych *os ine'eros*. W Glian poznał starszą siostrę mojej *segora ma 'a*, An. Potem został *en gaucha*, a jej zabronił, choć bardzo chciała być z nim. Bardzo chciała zostać *ena gaucha*.

– Była piękna?

– Podobno bardzo. – Ineda uśmiechnęła się. – Wyglądała jak ja, lecz miała włosy miodowe, ciemniejsze niż ja, a oczy koloru nieba, nie takie siwe jak ja – śmiała się dalej. – Chociaż niedowidziała jak stary Anzelmo... Zakochałeś się już?

– Przestań. Co było dalej?

– Poleciał na swój pierwszy lot z Cyvutem. Podczas tego lotu zastanowił się i zmienił decyzję. Tymczasem ona zaraziła się jakąś chorobą i zmarła. Gdy wrócił, by jej powiedzieć, że powinni oboje razem wędrować, było za późno. Gdyby zdecydował się wcześniej lub w Glian był dobry medyk, życie ich obojga ułożyłoby się inaczej. Potem Willemo przywiózł *segora* Garcia do Glian.

Aberto milczał.

– Chodźmy już – powiedziała Ineda. – Segor Garcia przesyła długi list do *segora* Donovana, a w nim szereg nowych pomysłów, jak uratować *paré* Willemo. Szkoda czasu.

– Mhm. – Skinął głową. – Wiesz, że Mathao już zakochał się w Ivannie, chociaż jej nigdy nie widział, tylko ciebie?

– Mathao jest tusty jak oskubany indyk z grubym kuprem. Tłustszy niż *os reguzos* z Glian. Ivanna nie będzie go chciała.

– On myśli, że ją kupi. Segor Tomaso ma hutę szkła i *en otel pvor portagos*, poza tym to starosta, a jego *enjunorteż* pewnie zostanie starostą.

– Jeśli Aberto fil Anzelmo zostanie górskim ptakiem albo powietrznym gazdą – odpowiedziała.

– No, tak.

– Ivanna nie da się kupić. Znam moją siostrę.

XIV

Przed Greillt, przed wyjściem z lasu, Ineda przebrała się w przyniesioną w worku podróżnym imponującą, białą sukienkę z Glian. Minęli *en port*, gdzie trup Cyvuta gotował się, kipiał i zapadał w sobie. Obok był nadal odcisnięty znacznie większy ślad w zbielełej trawie. Cyvut konał tak, by nie skrzywdzić ludzi w Greillt.

Gdy dochodzili do wsi, zaskoczyła ich cisza. Nie natknęli się na nikogo. Ojciec poszedł pod Wrath, aby obejrzeć stan śniegu, według polecenia segor Tomaso. Staroście zależało na jak najszybszym otwarciu górnej drogi. Miał nadzieję, że przez lato ludzie zapomną o drodze przez toar Aberto. Badanie stanu śniegu na Wrath od dawna należało do Aberto, ale ten przezornie poszedł do Glian. Pod jego nieobecność starosta wymusił na starym Anzelmo wyjście pod Wrath. W pustej zagrodzie nie było nikogo, kto mógłby powiedzieć, co się dzieje.

Gwar dochodził jedynie z budynku szkoły. Wyglądało, że starosta, segor Tomaso, zwołał *ena prattica sottial*. Nie zdarzało się to często. Aberto błyskawicznie zrozumiał, że sytuacja wymyka mu się z rąk. Przerazenie ścisnęło serce.

Właśnie zbliżyli się do budynku szkoły, gdy nagle zaroilo się od ludzi. Pierwszy szedł segor Tomaso, za nim ktoś wiozł na taczach *paré* Willemo.

Aberto pobiegł, za nim Ineda, grzęznąc w fałdach świetliście białej sukni z Glian. Było już jednak za późno.

Za wsią utworzono krąg wokół wywalonego na ziemię z taczek *paré* Willemo. Poleciały kamienie.

Aberto roztrącał wieśniaków, którzy zachowywali się nieoczekiwanie biernie. Byli silniejsi, ale *en reguzo* był w stanie przepchać się między nimi.

– Aberto! – krzyknęła Ineda. Przepychała się za nim przez tłum. Straciła zwykłą, spokojną pewność siebie. Przytrzymała ją segora Madlena.

– Za chwilę, gdy będzie po. Nie zdołacie ich powstrzymać. To musi się stać. Nie uratujecie go.

Kamienie trafiały w bezwładne ciało *paré* Willemo, a on nie krzyczał, ani nawet nie jęczał. Spróchniałe nerwy ledwie informowały o ponoszonych szkodach.

Aberto dotarł do kręgu rzucających. Czuł głuchą rozpacz i ból, jakby każdy z tych kamieni trafił właśnie w niego.

Segor Tomaso palcem wskazywał kolejnych, którzy powinni rzucić kamień.

– *En eretico* – powtarzał po każdym kamieniu segor Tomaso. – Niewart żyć.

Czyjaś silna dłoń zacisnęła się na ramieniu Aberto. Nie dość silna, aby go powstrzymać.

– Czego!?! – warknął Aberto.

To Mathao, Tłusta Wieża.

– Nie, Aberto. Tak musi być. On sam mi to powiedział. I tak umarłby, zanim *paré Stais'avo* doleci do Greillt. Ouaigh by go spalił.

– Jak możesz.

– Mów szybko: czy *grav Engelese* się mylił? Czy przez jego dłonie przemknęła cała wspaniałość wszechświata? – Wodniste, blade tęczywki oczu tłustego Mathao natarczywie wpatrywały się w Aberto.

– Tak myślę.

Mathao stęknął.

– Udowodnisz mi to, jak wrócisz z Wyborga! – powiedział z naciskiem.

– Tak.

– ...lub... – urwał Mathao.

Aberto wzruszył ramionami.

Paré Willemo widział i słyszał tę scenę. Jego zniekształcone wargi wygięły się w karykaturę uśmiechu.

– *Paré Willemo*, będziemy *os ine'eros, os conruttoros* – krzyknęła Ineda, która wreszcie dobiegła do Aberto i wpiła się palcami w jego ramię. By go powstrzymać, by nie wyrwał się przed krąg, by nie spotkało go to samo, co spotkało *Willemo*.

– Staniemy się *os gauchos*! Nie zapomnimy cię!

– Ja wiem – wymamrotał stary.

Wtedy trafił go w głowę większy od innych kamień rzucony ręką segora Tomaso. Głowa *paré Willemo* rozpekła się jak zgniły orzech.

I

To była ta pierwsza, świetlista część poranka, kiedy w lesie nie jest jeszcze duszno, a słońce już zmieniło tajemnice mroku w spektakl barw, podświetleń i półcieni. Lisbjeta wędrowała lasem. Ojciec wysłał ją, by nazbierała grzybów. Nie lubiła stromych zboczy nie nazwanej doliny. Za grzybami wypuszczała się daleko, byle stale trawersować. Grzybów i tak nie brakowało, jeśli wyrosły. Koszyk szybko wypełniał się dorodnymi *guskami*, *bedukami*, a często też trafiał się ciemnobrązowy *grijb szlachetni*.

Mijała nawet piękne okazy, byle tylko dalej zawędrować, by zmienić pracę w ciekawy spacer, jedną z niewielu atrakcji obecnego bytowania. Wyplatany koszyk nie ciążył bardzo, póki był pustawy, a zresztą można go było w każdej chwili postawić na darni. Nie chciało się jeszcze wracać do domu, szałas skleconego z gałęzi i przysypanego ziemią, w którym przetrwali ostatnią zimę.

Domostwo wznieśli nad potokiem, ale potok zamarzał i trzeba było topić śnieg albo rąbać lód do stopnienia. Ojciec co dwa miesiące zabijał kolejną krowę, żeby mieli co jeść. Mięso nie psuło się, gdyż trzymał surowy mróz, ani razu nie przyszła odwilż.

Ojciec ukradł te krowy, aby mogli przetrwać zimę. Dlatego też opuścili *skupiszu*. Dawniej mieszkali pod Nowi Gradkiem. Mieli dom, siedem krów, trzy woły, którymi ojciec obrabiał pole. Wystarczało do spokojnego, dostatniego życia. Ciężka praca przynosiła akurat tyle żywności, by przetrwać długą zimę, a za resztę nabyć nieco potrzebnych rzeczy. Taki spokojny dostatek, kiedy można mieć w zasadzie wszystko, co się chce, jeśli tylko chce się rozsądnie. Niestety, to życie skończyło się bezpowrotnie. Po wielkich deszczach w górach Porogach doliną zeszła wielka woda i oberwało się zbocze górskie, grzebiąc cały dobytek. Ledwie uszli z życiem. W straszną noc, wśród ulewy i ryku wichru matka wyniosła na rękach maleńkiego Myhąję, a Lisbjeta ciągnęła za ręce Anicę i Marka. Ojciec był wtedy w Gradku, próbował znaleźć dobry kredyt na traktor. Gdy wrócił, zastał rodzinę całą, mokrą i osowiałą i ogromne zbocze świeżej gliny przykrywające dorobek jego życia. Usiadł wtedy obok nich i długo patrzył na tę przewróconą glebę. Nie tknął alkoholu.

Przez jakiś czas tułali się od zagrody do zagrody, ale dobroć ludzka ma granice. W końcu drzwi się przed nimi zamknęły. Wtedy ojciec okradł bogatego sąsiada, Alojsza Dubena. Razem z Markiem zakradli się w nocy i wyprowadzili jego krowy. Matka już czekała z innymi dziećmi. Uciekli nocą,

ucieczka udała się. Zdołali zaszyć się w lasach z dala od *skupiszu*.

Z tamtego lepszego życia pozostała Lisbjecie błękitna, kolorowo haftowana sukienka i wspomnienie Jane z Gradka, który potrafił i trzy razy w tygodniu przejść osiem kilometrów, żeby z nią plotkować, pić mleko, którym go częstowała, znów plotkować, czasem pomagać jej w pracy, a pod wieczór znów wędrować osiem kilometrów do miasteczka.

II

Las rzedniał. Lisbjeta nie zapuściła się jeszcze nigdy tak daleko w górę doliny, choć zawsze chciała wiedzieć, co jest z dala od ich szałasów. Wyszła w pole. Mimo że las był rozświetlony, to otwarte słońce niemal ją oślepiło. Na polu ktoś pracował. Równo, metodycznie kopał motyką ziemię, a co jakiś czas zastygał w bezruchu, wpatrując się w niebo.

Po chwili obserwacji nie miała najmniejszych wątpliwości, że to trupiel. Nikt nie potrafi tak długo, bez zmrużenia oka wpatrywać się w słońce. Przez chwilę chciała, jak dziecko, podbiec do niego i szybko okrążając niezdarnego, wykrzykiwać:

– *A ti trupiel, schwati me! A za czjo tebu duszu wzali?!*

Powstrzymała się jednak. Zobaczyła, że pola ciągną się w dół zboczy, aż do samej doliny. A w dole widnieją zarysy jakichś zabudowań. Raczej nie wioski, raczej ciągłe zabudowania wzdłuż odległej drogi. Na sąsiednim zagonie pracowała kobieta. Chwila wprawnej obserwacji wystarczyła, by stwierdzić, że też trupielka. I na polu niżej też zginał kark w mozolnym trudzie jakiś trupiel. Niby zwykły obrazek, często widywany na polach bogatszych gospodarzy w okolicach Nowi Gradku. Ale było coś obcego, co niepokoiło w układzie tych zabudowań w dolinie. Jakaś dziwna myśl kierowała ich budowaniem. Inny styl, coś nieuchwytnego.

Zrozumiała wreszcie, ale właśnie wtedy usłyszała:

– *Spokojnejo, małkita djawollica! Nje ruszilsja!*

Obejrzała się i zadrżała. Naprzeciwko niej stał prawdziwy sysun. Baczenie wpatrywał się w nią oczyma o pionowych źrenicach i mierzył do niej z rzeźbionej sysuńskiej kuszy.

– *Nje ruszilsja!* – powtórzył. Wyraźnie obca mowa sprawiała trudność jego jaszczurokształtnym ustom. Odziany był w lekką, czarną zbroję z laki, przypominającą chitynowe segmenty owada. Na napierśniku miał rzeźbiony, płaski krzyż. Musiał zetknąć się z ojcem Jonem ter Boin.

Dobrze. Nie zabije mnie od razu... – pomyślała Lisbjeta. Zrozumiała, że przypadkiem natknęła

się na strażnika pól. W Gradku nikt nie pilnował trupieli. Nie ginęli. Widać sysuni byli ostrożniejsi.

– *Pojdziesz iz mnoima* – powiedział sysun. Miał zabawny akcent, ale Lisbjecie nie było wesoło.

Aby nie natknąć się na sysunów, ojciec wybrał boczną dolinę, gdzie gęsty las sugerował, że nie jest zamieszkana. Mylił się: mieszkali w górnym piętrze doliny.

Sysun kazał jej wziąć koszyk ze sobą. Schodzili wąską ścieżką wśród pól, na których krzatali się trupiele, niektórzy ludzie, inni sysuni. Słońce wspinało się wyżej, było coraz upalniej. Po nieruchomych twarzach trupieli spływały wąskie stróżki potu, ale nie zwalniali tempa powolnej, systematycznej pracy. Łączyła ich ta charakterystyczna powolna jednostajność ruchów przypominająca rutynową perfekcję mistrza.

– *Swijati Mykoła, modyłsja za noima!*

– *Swijati Myhajło, modyłsja za noima!*

– *Swijati Marko, modyhja za noima!* – Lisbjeta pobladłymi ustami szeptała słowa litanii. Bała się bardziej niż w tę noc, gdy ziemia pogrzebała ich dom, bardziej niż wtedy, gdy ojciec poszedł kraść cudzą własność.

Długo prowadził ją polami, potem łąkami, na których pasły się stada bydła. Takiego dostatku, tak licznej trzody nie widywało się wokół Gradka. Paśli je sysuni, normalni, nie trupiele. Zawsze w zbrojach, schludni, jednakowi, uzbrojeni. Również i w Nowi Gradku było paśli wyłącznie normalni ludzie; zwierzęta wyczuwały nienormalność trupieli i zwykle reagowały na nich agresją, atakowały.

Lisbjeta bezwiednie poprawiła haftowany kaftan, żeby też wyglądać należycie.

W dolinie było gorąco. Słońce zdążyło wspiąć się do zenitu. Zabudowania sysunów tworzyły jakby jedną ulicę wyciętą z Gradka. Wokół toczyło się normalne życie wsi sysuńskiej. Sysunki chodziły prawie gołe, przyodziane tylko w te swoje paski tkaniny, spomiędzy których wystawała szara, szorstka, matowa skóra. Ogoniaste sysunięta biegały na czworakach. Sysuni nie rozstawali się ze swoimi zbrojami, mimo upału. Nie pozwalał honor woja, chociaż broń nie pomagała w zwykłych gospodarskich obowiązkach. Nikt nie zwracał uwagi na Lisbjętę konwojowaną przez strażnika.

III

W pewnym momencie Lisbjeta drgnęła. Przy drodze, wkopana w ziemię, tkwiła belka ledwie metrowej długości. Do jej szczytu przybito drugą, w poprzek. Do belek przybito sysuna. Do poziomej za nadgarstki, rozciągając ramiona mocno na boki; do pionowej nogi, przez obie jednym gwoździem.

Sysun jest wzrostu człowieka, więc aby zmieścić się na metrowej belce, maksymalnie zgięto mu nogi w kolanach i ułożono bokiem, podciągając w górę kostki nóg. Naprzeciwko, po drugiej stronie drogi, w podobnej pozie wisiała ukrzyżowana sysunka. Kat oszczędził na surowcu i podzielił jedną pionową belkę na dwa krzyże.

Oboje żyli jeszcze. Co chwila unosili się na ramionach i dolnym gwoździu, by nabrać tchu i zaraz potem opadali, gdy ból rozrywanego ciała i przemieszczanych kości był zbyt silny.

– *Ljubci. Muiu ubili* – rzucił strażnik przez ramię. Zauważył reakcję Lisbjety. Nie prowadził jej już pod bronią, lecz zarzucił kuszę na ramię i szedł równym, żołnierskim krokiem. Nie obawiał się, że Lisbjeta spróbuje uciec. Ona, wiedząc, że ucieczka nie ma szans, beznadziejnie dreptała za nim.

– *A wy djawołci Bohu ukriżowali* – dodał pogardliwie sysun. – *Len Najswijatszitu długu belku dali.*

Nie przypatrywała się konającym nieszczęśnikom więcej, tylko starała się nadażyć za postawnym sysunem, chociaż jeszcze długo dochodziły ją ich jęki. Kochanków ukarano podwójnie, bo ponad własne cierpienie, widzieli śmierć ukochanej osoby.

Pomyślała, że jeśli sysuni mają ją zabić, to niesienie kosza z grzybami nie ma najmniejszego sensu. Odstawiła koszyk. Sysun natychmiast odwrócił głowę.

– *Ber te beduki a guski* – rzucił sucho. Nie było dyskusji.

Gdyby Lisbjeta była mniej zdenerwowana, z pewnością zaskoczyłaby ją znakomita znajomość języka ludzi, jaką wykazał sysun. Ona potrafiła po sysuńsku ledwie parę słów.

IV

Wanko Małysz siedział na pniaku przed szałasem i siekierką ciosał nogi nowego taborecika. Niemal wszystkiego brakowało w jego nowym gospodarstwie, ale wierzył, że spokojną, metodyczną pracą odbuduje to, co stracił. Najważniejsze, że przetrwali pierwszą zimę; śniegi zeszyły już dawno, paszy dla krów starczało, zgromadzili sporo zapasów żywności na nadchodzącą zimę. Powinno obyć się bez zarżnięcia kolejnej krowy. Gdyby tylko skądś zdobyć ziarno na zasiew. Mógłby wtedy wykarczować poletko. Byłoby lepiej.

Tak naprawdę, mieli marne szanse przetrwania, ale każdy kolejny dzień rodził nadzieję na następny.

Póki co, ciosał nowy taboret; jeszcze dwa i wszyscy będą mieli na czym siedzieć. Przed

ziemią tliło się bezdymne ognisko. Na ogniu piekł się królik złapany w sidła założone przez Marka. Syn błyskawicznie uczył się leśnego bytowania. Umiał zakładać sidła i strzelać z łuku. Wanko martwił się jedynie tym, że dzieci musiały przerwać naukę, a zawsze chciał, by kształciły się, by przynajmniej niektóre z nich przeniosły się do Gradku, bo życie w mieście było łatwiejsze.

Pozwalał polować tylko za pomocą łuku, dubeltówka zaś i siedemdziesiąt dwie sztuki amunicji leżały schowane. Hałaśliwa broń mogła zdradzić miejsce pobytu, ale mogła przydać się w sytuacji ostatecznej.

Żona Wanki, Nastazija, cerowała syjące odzienie; mały Myhajło drzemał w hamaku; Anica i Lisbjeta powinny już wkrótce wrócić z grzybami i jagodami. Ostrzegali córki, by nie wypuszczały się za daleko w dół doliny, bo mogły napotkać kogoś z Nowi Gradka; ani w górę doliny, bo nie można było wykluczyć, że zamieszkują ją sysuni.

Ta nazwa wzięła się od pierwszych zetknięć obu społeczeństw. Ludzie zauważyli, że obcy wysysają krew upolowanych zwierząt. Stąd wzięła się nazwa. A potem tak zostało na pokolenia.

– *Położit topor!* – rozległo się nagle.

Wanko drgnął, Nastaziji wyrwało się westchnienie.

Ależ dałem się podejść... – zakołatało w głowie.

Nagle na polanie aż zaroilo się od sysunów. Pojawili się zza drzew. Cały oddział. Chyba ze dwunastu. Każdy z bronią gotową do strzału, kuszą albo dwururką podpatrzoną od ludzi.

Wanko przez dwie sekundy oceniał szanse obrony. Przez dwie sekundy natarczywie wpatrywały się w niego, oprócz sysuńskich, oczy żony i syna. Ważyły się losy ich wszystkich. Wanko kiwnął głową i beznadziejnie rzucił siekierę na ziemię. Żona westchnęła. Znajac Nastaziję, był pewien, że to westchnienie ulgi.

– *Czjo chcete?* – zapytał spokojnie.

– *Pydete iz nojima* – powiedział sysun.

– *Pre czjo?*

– *Tuto jest naszija zemija, sysunskita. Djawolci nje mogju žit na sysunskitu zemiju.*

Wanko bezradnie pokiwał głową. Prawo jest prawem, chociaż niepisane. Gdyby wiedział, że obcy roszczą sobie prawa do tego terenu, zbudowałby szałas bliżej Gradka. Teraz wszystko się skończyło.

– *Wszjecko wzjat iz swoima!* – rozkazał jeden z sysunów. Miał naramienniki lakowej zbroi pokryte misternym, złotym ornamentem. Z pewnością dowódca. Może jakiś oficer? Krzyż, przymocowany z przodu jego napierśnika, był metalowy, obficie złożony. Inni mieli drewniane krzyże, choć często zdobione blaszkami z metalu.

Wanko lekko poprawił koszulę, ale tak, by rozjechała się na piersiach, by sysuni zobaczyli łańcuszek i metalowy krzyżyk. Może to będzie miało jakiś wpływ na ich przyszłe losy...

Chwilę analizował, czy Anica i Lisbjeta mają szanse przetrwać same. Czy powinien o nich wspomnieć, by nie błąkały się do śmierci głodowej.

– *Dwe djewki už schwaczete* – powiedział sysun, uprzedzając jego pytanie.

Teraz dopiero dwóch sysunów wyprowadziło Anicę. Spojrzała spokojnie na ojca i jakoś tak bezradnie spłynęła jej po policzku tylko jedna łza.

Twarda, jak ojciec i matka... – pomyślał z dumą Wanko.

– *A Lisbjeta?*

Oficer zamienił parę słów z jednym z żołnierzy. Chropawa, sysuńska mowa miała w sobie coś jaszczurczego. Wanko znał ledwie pięćdziesiąt podstawowych słów w tym języku. Oczywiście, nie rozumiał ich rozmowy.

– *Nje boiłsja. Lisbjeta už wo Thalaht.* – Ostatnie słowo wypowiedział ze swoim akcentem. Musiał być dobrze wykształcony, potrafił ludzkie słowa mówić z ludzkim akcentem.

Pozwolili im zabrać dobytek, chociaż nie pomagali. Wcześniej podczas drobiazgowej rewizji skonfiskowali całą broń, nie tylko dwururkę, ale wszystkie łuki. Do łuków odnosili się z pogardą, natomiast strzelbę dowódca obejrzał bardzo starannie. Poprosił, żeby Wanko ją zdemontował, a następnie złożył. Sysun uważnie obserwował ruchy Wanki, a następnie samodzielnie powtórzył całą procedurę.

V

Trzymali ich w więzieniu przez kilka dni. Właściwie trudno powiedzieć – więzienie, jeśli warunki egzystencji były lepsze niż w ich ziemiance. Przestronne, wysokie pokoje kamiennego sysuńskiego domu. Rzeźbione portale, łukowe sklepienia, inne niż w drewnianej, ludzkiej chacie, gdzie żyli koło Gradku, a co dopiero w mrocznej, zadymionej ziemiance, w której żyli ostatnio. W każdym pokoju płonący kominek, drewniane łóżka wyściełane krowimi skórami. Codziennie świeże mleko i miód.

Sysuni zabili dla nich nawet krowę, ale Wanko musiał sam ją rozebrać. Dwaj żołnierze uważnie obserwowali jego czynności, wypytywali o nazwy i rolę różnych organów. Sami hodowali krowy wyłącznie dla mleka, które starannie gotowali, by usunąć niestrawne dla nich białko. Wołowinę

dodawali do swoich potraw wyłącznie w charakterze przyprawy, chociaż większości białek wchodzących w jej skład ich organizmy nie były w stanie przyswoić. Sami żywili się głównie owadami czy miejscowymi dziwnymi zwierzętami. Oba światy egzystowały wspólnie, będąc dla siebie w dużej mierze niejadalne.

Dziwna to była niewola, w dostatku, jak w złotej klatce, no, może grubo pozłacanej. Wewnątrz domostwa robili to, co chcieli, ale każda próba opuszczenia domostwa spotykała się ze spokojnym, choć stanowczym sprzeciwem strażników. Domyślali się, że ich losy ważą się, a decyzja zostanie wkrótce podjęta.

Lisbjeta spróbowała zagadać do jednego ze strażników. Tego, który przynosił im jedzenie. Sysun znał niewiele ludzkiej mowy, ale porozumienie nie było niemożliwe.

– *Ja’b probowała na sysunskitu jedu* – powiedziała mu.

Sysun coś tam zanotował na świstku papieru. Jego biegłość w pisaniu budziła podziw. Ołówek w jego dłoniach biegał sprawnie po kartce, kreśląc dziwaczne hieroglify, jak igła w dłoniach Lisbjety, gdy haftowała. Jej samej pisanie szło trudniej, słowa nie chciały tak ładnie układać się, myśli biegle za szybko, ołówek nie nadążał. Po godzinie wrócił.

– *Małkita diawollica* – wywołał Lisbjętę gestem dłoni.

Przed domem usiadł na chodniku. W Nowi Gradku nie było chodników, ścieki płynęły otwartymi rynsztokami, a w deszczowe dni błoto pokrywało ulice. Jedyne rynek wybrukowano otoczkami. W Thalaht wąskie uliczki były bez wyjątku pokrywane kamiennymi płytami, ścieki szumiały sobie gdzieś głęboko, pod chodnikiem. Sysuni puścili kanałami potok dolinny, tak że nieczystości nie gromadziły się ani nie zasychały. Dzięki temu nie śmierdziało tak jak w Gradku. Może z powodu tego fetoru sysuni mówili o ludziach: *smrodliwi diawolci*.

Sysun starannie rozdmuchał płomień z żarzących się węgielków w przyniesionym żeliwnym piecyku. Lisbjeta przysiadła obok niego, obciągając sukienkę, ale chłód ciągnął od kamiennej płyty, więc przyniosła z domu krowią skórę, zwinęła w rulon i usiadła na niej. Obok zaciekawiona usiadła Anica. Młodsza od siostry, była dawniej uważana za najbardziej piegowatą dziewczynę pod Nowi Gradkiem.

Sysun łypnął badawczo na przybyłą. Jego otwory nosowe kilkakrotnie otworzyły się i zamknęły.

– *Djawolci, wy nje smjerdja* – powiedział grzecznie. – *Djawolci smjerdja len wo Nowi Gradek?* – To chyba było pytanie, ale wyszło niezbyt zrozumiale.

Obie dziewczyny wzruszyły ramionami, spojrzały po sobie i roześmiały się w głos.

– *Sysun po djawołski rjecze małkjo* – powiedział, jakby usprawiedliwiając się. Nie rozumiał reakcji sióstr.

Ustawił na piecyku płaski rondel i nalał do niego nieco oliwy. Następnie z worka wydobył jednego z miejscowych owadów, bezskrzydłego, przypominającego świerszcza o tylnych skocznych

odnóżach, ale znacznie większego i o pierzaście rozgałęzionych, okazałych antenach, którymi stabilizował swój lot.

Gdy olej zaskwierczał, sysun nie spróbował ssać ofiary, gdyż świerszcze nie mają czerwonej krwi, a tylko przezroczystą zielonkawą limfę, lecz obojętnie wrzucił próbującego się niezdarnie uwolnić owada do rondla. Lisbjeta aż otrzepała się ze zgrozy, nie dlatego, że świerszcz budził obrzydzenie swoim wyglądem, bo spodziewała się podobnej potrawy, a takie świerszcze podchodziły nawet pod Nowi Gradok, ale dlatego, że sysun rzucił żywe stworzenie na gorący olej. Agonia owada trwała kilkanaście sekund, pierzaste czułki zeschnęły i skręciły się w cienkie niteczki, nieszczęsne zwierzę z brunatnego zmieniło się w jaskrawopomarańczowe.

Sysun wydobył z mieszka jeszcze dwa identyczne owady i beznamiętnie wrzucił do wrzącego oleju. Zauważył reakcję dziewczyn.

Po kilku minutach wyłowił usmażone owady i rozdał po jednym, sam biorąc trzeciego. Pozwolił mu ociec z oliwy. Następnie oderwał tylne, skokowe, mięsiste odnoże i rozłupał szponiastym palcem. Lisbjeta i Anica poradziły sobie szpilką do włosów. Chitynowy pancerzyk był cienki i przypominał przypieczoną wołowinę, wewnątrz odsłoniło się dymiące smakowicie, białe, jednolite mięso. Jak pierś kurczęcia, ale bez widocznych włókien i bardziej soczyste. Sysun pokazał im, że co jakiś czas powinny przygryzać spieczonymi antenami. Były ostre, pikantne w smaku i przyjemnie chrupały w zębach.

Z przednich odnóży też dało się wydobyć nieco białego mięsa. Z rozciętego tułowia i odwłoka jadło się tylko parzyste, przypominające orzeszki narządy. Było ich ze szesnaście, smakowały jak kurze żołądki.

– *Dobre, dobre* – powiedziała Lisbjeta i na znak, jak jej smakowało, poklepała się po brzuchu. Anica przytaknęła.

Sysun wykonał taki wężowy ruch głową, który mógł oznaczać aprobatę; patykiem rozgrzebał ogień w piecyku, zdusił płomień, ale zostawił żar; olej wylał do zlewu; powiedział coś do wartownika i zabrał się z tym wszystkim, co przyniósł. Chyba nawet nie dosłyszał podziękowania za poczęstunek.

Wieczorem przyszedł dowódca, ten w złoconej zbroi, żeby oznajmić im decyzję rady.

– *Bydete wraczety wo Nowi Gradok* – powiedział.

Wanko wolałby, żeby sysuni ukarali go według swojego prawa. Za naruszenie ich terytorium nie powinno mu grozić zbyt wiele.

– *Sudtje nas na waszitu prawu* – zaproponował Wanko.

– *Nje.* – Sysun odwrócił się i wyszedł.

W nocy Lisbjeta i Anica dostały boleści. Obie zwymiotowały nie strawionym świerszczem.

Ludzki żołądek nie poradził sobie z obcymi substancjami. Nad ranem było z nimi już lepiej.

Rano przyszli sysuni, którzy mieli ich konwojować do Nowi Gradka. Krowy zatrzymano, jako rekompensatę za utrzymanie i wyżywienie rodziny Małyszy w Thalaht.

VI

– *Sweti Mykulia, modlise za name.*

– *Sweti Mato, modlise za name.* – Ivanna głośno odmawiała słowa litanii, a wtórowali jej chórem mieszkańcy Sejnych. Imiona świętych zmieniały się, ale każdą oktawę zaczynała linia:

– *Sweta Maria, modlise za name.*

Gdy powtarzali za nią:

– *Sweti Bazylia, modlise za name* – Ivanna nieufnie rozglądała się po kościele. Wieśniacy wiedzieli o tym i uśmiechali się. Wielokrotnie tłumaczyła im, że nie chodzi o biskupa Bazylego, który przybył do Sejnych trzydzieści lat temu, by zaraz potem zginąć w wypadku. Przecież nawet nie wszczęto procesu kanonizacyjnego, bo jak?

Ale krótki pobyt Bazylego wywarł jakiś magiczny wpływ na tych ludzi i z uporem nazywali go świętym.

Na nią mówili *maika* Ivanna, na co im pozwalała, chociaż wiedziała, że między sobą mówią też *sweta* Ivanna albo *sweta golabica*, na co, oczywiście, zgodzić się nie mogła.

– *Sweti Jurko, modlise za name.* – Słowa modlitwy układały się w rytmiczną melodię myśli.

Na pozostałe pięć mniszek też mówili *golabicy*, z racji śnieżnych, lnianych habitów. Zresztą, co to za mniszki, jeśli nie miał kto przyjąć od nich ślubów zakonnych? Ciągłość została przerwana, wysłannik Kościoła Piotrowego zginął, zanim wyznaczył następcę. A jednak one nie odchodziły. Składały śluby w duchu i wypełniały regułę.

– *Sweta Ana, modlise za name.*

Ivanna co tydzień schodziła z Orlego Gnezna tysiąc i siedemset dwanaście stopni wykutych w wapiennej skale, wygładzonej tysiącami bosych stóp i sandałów, a potem stromym piarżystym zboczem. Schodziła, bo chcieli, aby odmawiała z nimi modlitwy, chociaż pełnej Ofiary odprawić nie mogli. Nie miał kto. Żył jeszcze tylko Jon ter Boin, ale od lat sysuni trzymali go jako rękojmię pokoju. Nie zgadzali się na żadną próbę choćby wypożyczenia kapłana na parę dni w roku. Nawet

niechby i pozostał u nich na Wielkanoc, ale żeby raz w roku przyjechał, wypowiadał wiernych, odprawił Ofiarę. Nic z tego. Węszyli zdradę i utratę zakładnika. Cóż, mieli sporo przykładów z przeszłości.

Litania dobiegła końca. Wierni śpiewali na zakończenie: „Ot Boga my dusze...”

Gdyby chociaż szanowali słowa tej pieśni... – trapiła się Ivanna – ...i tych dusz nie wyrywali.

Śpiewali równo, pięknie, na trzy głosy. Stary Jano Teczot głośno przygrywał na kobzie.

Pięknie chwalić Pana potrafią... – pomyślała. – Na pokaz... – Zaraz z kościoła pójdą na zabawę i będą hulać do rana, aż upiją się zupełnie, a pijani będą ganiać za dziewczuchami. Ten sam Jano będzie im przygrywał.

O wódkę była pierwsza wojna z sysunami. Ludzie sprzedawali im ją po bardzo wysokich cenach. Sysuni dotąd oszalamiali się jakimś swoim grzybem czy kaktusem. Ale można to było zrobić najwyżej kilkadziesiąt razy w życiu i tylko w ściśle określonych odstępach. W przeciwnym razie nałogowiec umierał albo pozostawał kretynem. A wódkę można było pić codziennie, wprawdzie nie wywoływała wizji, jak owoc kaktusa, ale wystarczająco oszalamiała. Sysuni szybko poznali te zalety.

Ale oddziaływanie kultur było obustronne. W zamian za wódkę sysuni obdarzyli ludzi odbieraniem duszy. Trupiele byli plagą, która stała się zjawiskiem powszechnym w społeczności. Tę karę wymierzano często zamiast kary śmierci. Zmuszano skazańca do wypicia sysuńskich ziół i człowiek umierał. Odbywał się oficjalny pogrzeb. Po paru dniach budził się bezwolny automat. Przedmiot, bezwzględnie posłuszny rozkazom właściciela. Bez pamięci, bez wspomnień, bez tożsamości. Zdolny jedynie wykonywać prostą pracę fizyczną. Za to systematycznie i dokładnie, bez przerwy, do poranienia ciała, do wyniszczenia, do śmierci. Właściciel musiał rozkazać trupielowi, by jadł lub by spał, w przeciwnym razie ten pracował nieustannie. Zwykle trupiel umierał z wyczerpania po kilku latach, bo któryż właściciel nie jest na tyle zachłanny, aby nie wykorzystać narzędzia w pełni.

Trupiele byli nieszczęściem Ivanny, po nocach modliła się za ich nieszczęsne dusze, a też za dusze tych, którzy ich okaleczyli. Z drugiej strony, co było lepsze: czy odebranie duszy, czy okrutna śmierć na krzyżu? Krzyżowanie też przejęli od sysunów. Obecnie była to, w zasadzie, jedyna forma kary śmierci wymierzana w Sejnych czy Nowi Gradku.

Wieśniacy skończyli śpiewać. Rozchodzili się. Iwanę czekało wspięcie się tysiąc i siedemset dwunastoma stopniami wykutymi w wapiennej ścianie skalnego bastionu Orlego Gnezna do małego budynekczku klasztoru i dużej, betonowej konstrukcji hangaru dla Bijelego Golaba, klasztorowego sterowca. Sterowiec był kosztowną rzeczą, nie tyle jego konstrukcja, bo w razie zniszczenia i tak nikt nie potrafiłby zbudować identycznego, gdyż technologia helu została zapomniana, lecz kosztowało paliwo dla niego. W Sejnych otrzymywano je z oleistej skały, tylko w odległym Caban był prawdziwy szyb naftowy. Na technologii paliwa znał się w Sejnych Pawio Doban, jedyny mężczyzna, który z rodziną stale mieszkał w Orlem Gneznie. W kilku pomieszczeniach na tyłach hangaru. Oleistą skałę należało starannie prażyć, a zmyślna instalacja zbierała parujący olej. Było to mozolne, ale

możliwe. Dzięki temu, w każdej zagrodzie był pracujący traktor, a łąki wypasano w całej Sejenskiej dolinie aż po pionowe, skalne bastiony Grodów. Sysuni opuścili tę dolinę pod naporem ludzi.

Gdy Ivanna weszła na serpentynkę skalnych stopni, odruchowo wzięła w dłonie drewniane paciorki różańca.

VII

Ten dzień przyniósł Ivannie więcej nowości, niż się spodziewała. Pod wieczór przyszła Marta, średnia córka Dobana. Powiedziała, że jakiś nieznany człowiek wspiał się na Orle Gnezno i prosi, aby go wysłuchać. Pytała, czy ojciec ma go wpuścić.

Ivanna nie odmawiała w takich sytuacjach. Przyjęła go w otoczeniu reszty mniszek. Dla pewności poprosiła, by towarzyszył im stary Doban i wziął swoją strzelbę.

Nieznajomym okazał się młody chłopak, nie ogolony, o twarzy z zaznaczonym wielodniowym przemęczeniem. Był w starych butach i podartym odzieniu; worek podróżny postawił na zimnej posadzce. Czuł się niepewnie, nie wiedział, czy powinien uklęknąć, czy pozostać stojąc.

– *Boh iz woima, swijata majica Ivanna – zaczął*, wymową zdradzając, że pochodzi z Nowi Gradka, co tłumaczyło jego wygląd. Jeśli szedł pieszo przez doliny i przełęcze, to zajęło mu to przynajmniej pięć dni. I przynajmniej dwukrotnie musiał przejść przez tereny sysunów. Albo był dobrym zwiadowcą, który potrafi niepostrzeżenie przenikać przez terytorium obcych; albo opłacił wysokie myto; albo był zdrajcą. Raczej nie to drugie, bo nie wyglądał na zamożnego człowieka.

– *Bog s wame* – odpowiedziała Ivanna, nie poprawiając tego fałszywego uświęcenia, by nie płoszyć przybysza. Za nią pozdrowienie powtórzyły mniszki i Pawio.

– *Moje mjeno, Jane Crjelp z Nowi Gradku.*

Ivanna przytaknęła skinieniem siwej głowy.

– Przeszedłem po pomoc, *majica* Ivanna. Nie dla siebie proszę, ale dla mojej dziewczyny. Dla Lisbjety Małszy spod Nowi Gradku – ciągnął Jane. – Ją i całą jej rodzinę sysuni wydali *skupiszu* w Nowi Gradku.

Jane dokładnie opowiedział całą historię nieszczęścia Małyszów. O tym, jak ziemia pogrzebała ich gospodarkę, jak błakali się, jak stary Małysz przymuszony groźbą śmierci głodowej okradł sąsiada z dobytku, a potem z rodziną ukrywał się w lesie, aż go przypadkiem pojмали sysuni.

– *Pre czo kradl?* – przerwała mu Ivanna. Nieźle rozumiała mowę z Nowi Gradku, ale co jakiś czas upewniała się.

– *Czo 'b ot smjerti ochronil žjenu a swoime djeti.*

– *Alojszu Dubenu na smert zawedl* – zauważyła Ivanna. Nie starała się mówić po nowogradkowemu, nawet w języku z Sejnych nie była bardzo biegła.

– *Nje* – zaprzeczył Jane. – Alojsh Duben pozostał z połową swojego dobytku. Śmierć głodowa mu nie zagroziła. Miał dość, by przeżyć.

Dobrze. Co uważasz, że powinnam zrobić?

Przybądź do Nowi Gradku, *majica* Ivanna. Twoja obecność wystarczy, żeby sąd wydał łaskawy wyrok.

Ivanna chwilę zastanawiała się: Przybysz mógł kłamać. Mógł być przekupionym przez sysunów zdrajcą, który chciał zdobyć sterowiec. Z drugiej strony, jeśli mówił prawdę i ten Małysz ukradł, tylko by przeżyć, to trzeba się udać do Nowi Gradku jak najszybciej. Wiedziała, kto będzie sądził Małyszów.

Ivanna nie była osobą lękliwą, a przynajmniej nie lękała się o swoje bezpieczeństwo, zdobycie zaś Bijeli Golabu nie zdradziłoby sysunom technologii otrzymywania helu.

– Dobrze – odpowiedziała. Następnie wydała polecenie, aby przybysza nakarmić i znaleźć mu jakiś nocleg we wsi.

VIII

Sala *Mjestskitu Skupiszu* w Nowi Gradku była wypełniona. Dzień był upalny i w niewielkiej, dusznej sali brakowało powietrza. Kobiety wachlowały się chusteczkami, mężczyźni słomianymi kapeluszami. Kobiety były na ogół w bogato haftowanych gorsetach, białych bluzkach, suto marszczonych, kwiecistych spódnicach; mężczyźni w cyfrowanych kubrakach, białych koszulach i czerwono-białych paskowanych spodniach. Odświętny strój obowiązywał, niedbale odzianych nie wpuściłby woźny grodzki.

Zbierał się *Sud Skupijszni*. Miano rozpatrzyć dzisiaj dwie sprawy. Obie wzbudzające powszechne zainteresowanie, stąd tłok na sali.

Na środku, za najwyższą katedrą zasiadł sam *grodni*, Stijopan Babulija. Był odziany w oficjalną

pelerynę z wyhaftowanym herbem miasta i symbolami swojej władzy: książką, złotym słońcem i skrzyżowanymi różgami. Książka oznaczała prawo, tarcza słoneczna – dzielenie publicznych pieniędzy, różgi zaś egzekucję prawa. Gdy *grodni* rozsiadł się wygodnie za katedrą, publiczność grzecznie usiadła. Wtedy Babulija łaskawym skinieniem głowy odwzajemnił przywitanie. Wśród mieszkańców Gradku miał opinię starego osła, ale jednocześnie kryształowo uczciwego i, w zasadzie, ludzie byli nadal zadowoleni z jego wyboru, choć upłynęło już siedem lat z jego dziesięcioletniej kadencji.

Ale nie *grodni* był dzisiaj najważniejszy. Drzwi otwały się ponownie, woźni znów skłonili się w pas, a widzowie znowu powstali. Do sali weszli obaj *oponijenty*, Myhajło Pyszcziel i Franija Fyłożofow. Powinni wejść równo, ale drzwi były wąskie i komicznie wyglądający Pyszcziel przodem przepuścił swojego wielce poważanego, popularnego i świątobliwego kolegę. Spasły Fyłożofow wcisnął do sali swój wydęty brzuch. Niski, tłusty, łysy, o nalanej, czerwonej twarzy; sunął z dostojeństwem i majestatem, równo, trochę jak tocząca się kula.

Pyszcziel wyglądał dokładnie jak jego przeciwieństwo: niezwykle wysoki, karykaturalnie wychudzony, niezdarnie machał długimi rękami, a wtedy poły jego czarnej togi fruwały na boki jak skrzydła wiatraka. Wchodząc, pochylił się, by nie uderzyć głową w nadproże, a jednocześnie przytrzymał ręką wysoki *kapelijun*. Idąc, głośno stukał drewnianą nogą.

Obaj *oponijenty* odziani byli w długie, czarne togi z wyhaftowanymi z przodu i z tyłu srebrnymi trupimi czaszkami i skrzyżowanymi pischczelami, symbolami władzy życia i śmierci, jaką mieli w sali *sudu*, pełniąc funkcje *oponijentów*. Na głowach mieli wysokie, czarne, cylindryczne *kapelijuny* z wyhaftowanymi wieńcami ze srebrnych liści, co oznaczało chwałę niewinności. Spod *kapelijuna* Myhajły sterczały długie, czarne kudły, układające się w strąki; Franija co chwila zdejmował swój *kapelijun* i przecierał czerwoną łysinę wilgotną od potu szarą chustką.

Krążył żart, że każda sprawa sądowa w Nowi Gradku jest na dziewięć *pischczeli* – po cztery na togach *oponijentów* i Myhajłę.

Gdy obaj *oponijenty* zasiedli wreszcie za swoimi katedrami, Franija po lewej, a Myhajło po prawej ręce Babuliji, ten uderzył drewnianym młotkiem w pulpit.

– *Pierwita sporjenija: Aloysz Duben proti Wanku Małyszu* – powiedział głośno.

W tej samej chwili powstał Franija Fyłożofow.

– *No, wpijerwije Bohu czjest oddaime* – powiedział głośno.

– *Swijata Marija, modyłsja za noima.*

– *Swijati Mykoła, modyłsja za noima* – rozpoczął litanię.

Wszyscy w audytorium powstali i zaczęli powtarzać słowa litanii. Kolejne wersy ciągnęły się aż do oktawy.

Dzisiaj jest wyjątkowo żądny krwi... – pomyślał niechętnie Myhajło. Nie lubił ostentacyjnej

świętoszkowatości Frani. Sam zmówił dwukrotnie litanie ze swoją rodziną w domu. – Mógł odmówić wcześniej, jak ja... – pomyślał złośliwie.

Wszyscy zgodnie recytowali słowa modlitwy; zaczęła przez Franię, wciągnęła wszystkich.

W Nowi Gradku bardzo poważano Franię Fyłożofowa. Myhajło, w duchu, mówił na niego Sysun, dla surowości zasądzanych wyroków. Powiedzieć tego głośno nie odważyłby się.

Myhajło przypatrywał mu się z ukosa: z powodu wielkich ust, wielkich dziurek od nosa, małych, położonych blisko siebie oczków oraz słusznej tuszy, Franija Fyłożofow nieodmiennie kojarzył mu się z tłustym prosięciem, chociaż w rzeczywistości kły miał dłuższe niż *mjedojed*.

Po litanii wszyscy usiedli. Rozpoczęła się pierwsza część rozprawy: ustalenie faktów.

– Ty jesteś Wanko Małysz? – zapytał Myhajło.

– Tak – odpowiedział oskarżony. Uprościło to wiele spraw. Gdyby się zaparł, należałoby powołać świadków dla stwierdzenia tożsamości wydanego przez sysunów zbiega.

– Ty jesteś Nastazija Małysza? – spytał Franija, a jego śleпка rozbłysły obleśnie.

– Tako że – potwierdziła.

Podobnie ustalono tożsamość dzieci, jedynie za maleńkiego Myhajłę odpowiedziała matka. Oczywiście, Alojsz Duben też nie wyparł się siebie.

Również nieoczekiwanie łatwo ustalono okoliczności kradzieży, jedynie Wanko próbował ukryć, że młody Marko kradł krowy razem z nim. Troska ojca o syna wzbudziła cień sympatii u Pyszcziela, nie u widzów.

– *Howorji samoimu prawdu* – zwrócił uwagę Wance Fyłożofow.

IX

Gdy ustalono, że Wanko ukradł osiem krów, a następnie osiadł na terenach sysuńskich, nie wiedząc o tym, oraz że sysuni zatrzymali sześć krów, które przetrwały zimę, strony sporu zostały usunięte z sali. To znaczy, Małyszy wyprowadzili zbrojni woje, Alojsz zaś wyszedł na korytarz i zakurzył fajeczkę.

Obecnie, nie czuł już nienawiści do Wanki, stratę połowy dobytku zdążył już przeboleć; raczej był ciekaw, jak twarda sprawiedliwość dotknie niewdzięcznych Małyszów. Ostatecznie, sam żywił

ich przez dwa tygodnie, a oni mu tak paskudnie się odpłacili. Radził Małyszowi, żeby zostawił mu Marka albo którąś z córek do pomocy w gospodarstwie, ale ten był zbyt hardy i wolał kraść, to teraz zobaczy sobie...

Zapalił zapalną o szorstki obcas i przytknął do cybuszka. Lekko wciągnął powietrze. Poczł przyjemny zapach tytoniu. Stać go było na tytoń, pomimo straty połowy inwentarza. Był zamożnym, mądrym chłopem. A mądrości nikt ukraść nie może.

Nie chciał śmierci swoich winowajców. Miał nadzieję, że może niektórych z nich oddadzą mu jako trupieli do roboty. Wtedy z nawiązką odrobiją to, co ukradli. Szczególnie córki Małysza były piękne. Lisbjeta miała taki cudowny kasztanowy warkocz, a Anica modre oczy, które szklily się jak skalne kryształki. Zresztą i Nastazija Małysza trzymała się świetnie, nie to, co jego stara. Wprawdzie z trupielką to jak z kłodą, jak z materacem, ale czasem trudno powstrzymać się, jeśli aż tak piękna i młoda. Tak, takie trzy trupielki to byłaby niezła rekompensata... – rozmyślał Ałojsz Duben, siedząc na ławie w korytarzu Gradskiej Skupiszy.

Małysz jest silny, jego syn, Marko, już też. Nie chciał iść do Ałojsza na parobka. Jako trupiel będzie robotny, młody Marko też. Tylko tego małego Myhaję pewnie każą wychowywać. Kłopot... Chociaż jak go wychowa na parobka, to się nakład zwróci... A może Ksenija zechce go usynowić?... Jak będzie dzielny po Małyszu i przystojny po Małyszy, to taki syn to chwała... A Ksenija dzieci mieć nie może... – Ałojsz otaczał wonny obłoczek dymu. Nie dość, że stać go było na tytoń z Caban, to jeszcze dosypywał do niego proszek z sysuńskiego grzyba.

A gdyby tak zrobić trupielce syna?... – wzięły go rozważania. – Niby wszyscy mówią, że urodzi się potwór, ale skąd pojawiają się czasem małe, zdrowe dzieci u starych gospodarzy, którzy dostali młodą trupielkę?...

Ta Anica piękna, ma białe włosy, wielkie oczy, piegi nie przeszkadzają... ale ma *priejsti* jakieś takie małe, to może nie wykarmi małego. Znowu ta Lisbjeta taka bujna, dzika, nieokiełznana, pewna siebie, to i dziecko byłoby nieznośne... – Zbudzone narkotykiem hormony znów zwyczajnie, wolno krążyły w starym ciele Ałojsza.

Głowa łagodnie mu opadła, fajeczka wysunęła się z dłoni i stuknęła o drewnianą podłogę *Mjejskitu Skupiszu*, a potem łagodnie zagasła. Stary zasnął.

X

Rozpoczęła się druga część rozprawy: jawna dysputa, podczas której obaj *oponijenty* mieli ustalić wyrok.

– Jeśli ktoś kradnie drugiemu środki do życia, skazując go na śmierć, to winien jest morderstwa i powinien zostać ukrzyżowany. Ci, którzy mu w tym pomagali, lub ciągnęli z tego korzyść, również winni są morderstwa i należy ich ukrzyżować – powiedział Franija Fyłożofow. – Tedy cała rodzina Małyszki winna być ukrzyżowana. Mały Myhajło też. – Te twarde słowa określiły granice dyskusji.

Myhajło nie potrafił się oprzeć logice tej argumentacji, chociaż wymknęła się złośliwa myśl: Sysun łaknie krwi...

– Są precedensy – kontynuował Franija. – Osiemdziesiąt dwa lata temu *sud* w Cabanie skazał na ukrzyżowanie całą rodzinę, bo odsprzedadała dwururkę sysunom. Czterdzieści siedem lat temu *sud* w Gradku skazał na ukrzyżowanie całą rodzinę Mraczných, bo okradli *Stijopanu Goru* i ten zmarł z zimna i głodu w swoim gospodarstwie.

Franija Fyłożofow śmiało zakreślał ramy dysputy. Myhajło rozumiał, że musi mu się równie zamasyżycie przeciwstawić, bo zginie kilka osób. A on sam nie osądzał aż tak surowo paskudnego czynu Małyszki.

Gdy Franija urwał dla nabrania oddechu i dyszał jak wyrzucona na brzeg ryba, Myhajło przyglądał strąki swych tłustych, przyprószonych siwizną, czarnych włosów, machnął ręką, by bardziej przypominało to ruch skrzydeł czarnego wiatraka – specjalnie, gdyż znał ten efekt, a chciał wzbudzić sympatię widowni uwiedzionej argumentacją Franiji.

– Małysz jest niewinny, bo kradł dla życia i zdrowia swej rodziny. – Teraz Myhajło komicznie stuknął o podłogę drewnianą protezą.

Powinni sobie przypomnieć, że Pyszczieł to Pyszczieł... – pomyślał.

– Wanko i Marko odpracują ukradzione krowy Alojsza jako parobcy, ale kobiety Małyszki nie zawiniły.

Franija łypnął wzrokiem wściekłego wieprza.

– Jadły krowy, które ukradł Wanko, więc są winne. – Franija był pewny swojego wyводу, był pewny poparcia sali.

Rozległy się pojedyncze oklaski.

– Czy młody Myhajło też powinien zostać ukrzyżowany? – Pytanie Pyszczieła było ryzykowne, bo mały nosił jego imię. Nie powinno to mieć znaczenia dla sprawy, ale mogło. Pyszczieł miał nadzieję, że krwiożerczość gawiedzi nie sięga aż tak daleko.

– Nikt nie krzyżuje niemowląt, ale mały Myhajło może zostać *obraczety na trupielu* – wybrnął Franija.

– Jaki pożytek będzie miał Alojsz Duben czy *Mjejstskita Skupisza* w Nowi Gradku z szesnastomiesięcznego trupielu? – celnie trafił Myhajło.

– To prawda, racja twoja *oponijentu* – pokornie zgodził się Franija. Spodobało się to słuchaczom.

Myhajło najbardziej obawiał się pokory Franiji. Pokorny Sysun był już pewny czyjejś krwi.

Co planuje? – Każda chwila grała rolę dla Myhajły. – Poniechał małego, to czego chce naprawdę?... Tak lubieżnie patrzył na Nastaziję Małyszę... Czyżby Franija tak stanowczo domagał się wyroków śmierci, by móc zobaczyć nagą kobietę? – To niesamowite. Z drugiej strony, jest stary, tłusty, nigdy żadna go nie zechciała, a płatnego romansu pewnie by nie zaryzykował, by nie stracić godności *oponijenta*... Może właśnie dlatego mądry *Bazyłko* nie dopuścił Franiji do godności kapłańskich, chociaż ten ukończył niemal cały fakultet...

– Dorośli są w pełni winni – przerwał jego rozważania donośny głos Franiji.

Oczywiście... sukisyn chce kobiet. – Pyszczel aż zadrzał z odrazy. – Nagich kobiet... Przemocą obnażanych kobiet...

– Bezpośrednio kradli Wanko i Marko – rzucił Myhajło.

– Prawda.

– Więc Nastazija, Lisbjeta i Anica nie powinny być skazane z utratą godności. – Myhajło uderzał niepowstrzymanie.

– Ale bezpośrednio korzystały z kradzieży – nie ustępował Franija.

– Ale faktem jest, że bezpośredniego udziału w kradzieży nie brały. – Myhajło czuł, że uderza w słaby punkt przeciwnika.

– Nie brały – musiał przytaknąć Franija i była to jego pierwsza, prawdziwa porażka.

– Więc nie powinny zostać ukarane z utratą godności – naciskał Pyszczel.

– Nie powinny.

Uwaga tłustego Franiji Fyłozofowa oznaczała, że wszystkie kobiety Małyszów, nawet jeśli zostaną skazane na śmierć, nie zostaną obnażone publicznie.

Pyszczel pewien swoich domysłów, w duchu wymyślał Franiji: Ty sukisynu, znalazłbyś sobie wreszcie *babu*. Ale która by cię chciała?

Nie miał wątpliwości, że dzisiejsza surowość Franiji wzięła się z tego, iż chciał po kolei obejrzeć nagie Małysze. Myhajło znał Franiję od młodości. Kiedy on sam gonił za dziewczynami, Franija usiłował wieść filozoficzne dysputy, a potem i tak biskup *Bazyłko* nie zgodził się, by Franija został księdzem. I to pomimo że Franija był człowiekiem wielce kształconym i pragnącym uchodzić za świętobliwego. Przeciwnie, zarówno *majica* Ivanna, jak i mądry, święty *Bazyłko* unikali go jak mogli. Pracując przez lata z Franiją, jako drugi *oponijent*, Myhajło coraz lepiej rozumiał dlaczego.

Czasem wspominał Stijopanowi Babuliji, że niektóre wyroki decydowane przez Franiję są dziwne, ale stary w czystości ducha nie chciał słuchać.

– Oni nie powinni zostać ukrzyżowani – rzucił Myhajło, obserwując reakcję oponenta.

Tamten chwilę zbierał się w sobie.

– Dobrze, ale nie wszyscy – powiedział twardo Fyłożofow. – Rodzina nie, ale Wanko tak. Jego wina jest zbyt wielka.

Myhajło czuł, że Fyłożofow tym razem ma rację, że taki wyrok będzie surowy, ale sprawiedliwy.

– *Prigolosijtje storony* – powiedział Franija do woźnych. Oznaczało to, że to on wziął na siebie wygłoszenie wyroku, gdyż uznał, że obaj *oponijetny* uzgodnili swoje stanowiska.

Pyszczel zagryzł wargi – nie miał już nic do powiedzenia, nie mogąc podważać autorytetu sądu.

– *Wwedi storony*. – Stary Babulija wydał oficjalne polecenie.

Strażnicy wprowadzili wszystkich Małyszy. Obie piękne dziewczyny i starą, która trzymała na ręku Myhajłę. Młody Marko stanął obok ojca postawnego i krzepkiego jak dąb. Patrzyli niezłomnie na urzędników.

Bije od nich jakaś siła... – pomyślał Myhajło. – Ale ta hardość we wzroku wam nie pomoże. Do Sysuna trzeba z uniżeniem, z udaną pokorą...

Drugim wejściem spokojnie wszedł zbudzony Alojsz Duben. Zgasłą fajeczkę wcisnął za cholewę błyszczącego, skózanego buta.

– *Wanko Małysz pyjde na tjażku smjert* – ogłosił Franija Fyłożofow. Oznaczało to, że pozostali zostaną lżej ukarani.

– *Czjo to byde, majica?* – zapytała Lisbjeta.

– *Papica byde ukriżowaty* – zaszlochała Nastazija.

– *A jeho żjena, Nastazija, a jeho djewki, Lisbjeta a Anica, a synowi jeho, Marko a Myhajło, pyjdu na ljahku smjert. Pro Alojszu Dubenu* – skończył Franija. Wodził wokół niezadowolonymi ślepkami gniewnego wieprza. Nie tego chciał.

– *Majica, a czjo iz noima?* – zapytała Lisbjeta. Nie знаła terminów prawniczych.

– *Djeweczko ljubita, bydeme na trupieli obraczete*. – Straszne słowa nie chciały przejść Nastaziji gardłem. – *Pre Alojszu Dubenu*.

Alojsz spokojnie, ale z uznaniem przyjrzał się swojemu nowemu dobytкови.

Do Orlego Gnezna wezwano wszystkich mężczyzn z Sejnych. Nie zdarzało się to często, chociaż było zawarowane w umowie między klasztorem a Sejnymi. Chłopi z ciekawością wstępowali na tajemniczą basztę skalną, niedostępną na co dzień. Uciążliwa wspinaczka dla sprawnego mężczyzny, a co dopiero dla świątobliwej zakonnicy. Na dodatek eksponowaną ścieżkę wykuto w pionowej, wapiennej ścianie.

– *Pawio, poletime na Nowi Gradek. A s name twa dewka, Maria* – zdecydowała Ivanna.

To był jej wybieg, by powstrzymać fantazję Dobana, który gdy tylko mógł kierować lotem, zmieniał się w istnego diabła: gnał z maksymalną prędkością, wyduszając z Bijelej Golabicy więcej, niż mogła wydolić.

Chwila, gdy sterowiec opuszczał hangar na szczycie skalnej baszty, była wielkim wydarzeniem w życiu Sejnych. Ci, co nie pomagali wyprowadzić statku powietrznego, zalegli łąkę u podnóża Orlego Gnezna, poniżej skał, tam gdzie jeszcze sięgały uprawne pola Sejnych. Pojawienie się srebrzyście białego cygara przyjęto oklaskami. Dla wieśniaków, na co dzień używających ledwie traktorów, była to manifestacja technologii.

Ivanna myślała, że stary będzie ostrożniejszy, mając na pokładzie swoje dziecko. Łudziła się.

Kiedy Bijeli Golab został wyprowadzony z hangaru na Orlem Gnezne przez wieśniaków ciągnących liny, w małej Dobance odezwała się krew starego. – To ona właśnie poganiała do szybszej jazdy, to ją rwało w dal, aż stary z niepokojem spoglądał na sfatygowany silnik.

Ivannie pozostało tylko spokojnie czekać, kiedy dolecą w wariackim pędzie i kiedy tamtejsi *buryłaci* schwycą cumy i sprowadzą *Bijeli Golabu* do miejskiego hangaru. Sejnych nie było stać na zatrudnienie specjalnych pracowników hangaru, zresztą mały hangar był tylko na skale klasztornej. Hangar w Nowi Gradku był ogromną, drewnianą halą zdolną pomieścić cztery sterowce, ale zwykle parkował w nim tylko jeden, miejski sterowiec Nowi Gradek. Zupełnie wystarczał do kontaktów z innymi dolinami. Rozmiary hangaru odpowiadały bardziej aspiracjom Skupiszy niż realnym potrzebom, ale dzięki tym aspiracjom parkowanie sterowca było bardzo wygodne.

Jane Crjelp aż wytrzeszczał oczy, obserwując czynności towarzyszące i sam lot. Wyraźnie zaraził się tym samym bakcylem co Pawio Doban czy Maria.

Co ich tak ciągnie do latania? – rozmyślała Ivanna. – Czy on gnał przez te pustkowia z narażeniem życia po to, by uratować życie swojej Lisbjety, czy tylko po to, by pofrunąć w powietrzu? Dla niej latanie nie było czymś niezwykłym, może właśnie dlatego, że była tak często w powietrzu...

W drugiej sprawie rozpatrywanej dzisiaj przez *Sud Skupiszni* w Nowi Gradku należało ocenić czyn Cypryłko Brotiłki. Wbrew zakazowi wydanemu przez Sud dwadzieścia dwa lata temu skonstruował samolot i próbował na nim wzlecieć w powietrze.

Dwadzieścia dwa lata temu Franija Fyłożofow w subtelnym wywodzie, skrzętnie zanotowanym przez *pysatjeli*, precyzyjnie wyjaśnił, że budowanie wszelkich maszyn latających cięższych od powietrza jest herezją, gdyż zabiło to *swijati Bazyłku*, więc jako ręka szatana zabrało z Nowi Gradku najlepszego człowieka, biskupa. A tymczasem Cypryłko Brotiłka znów spróbował z desek i drutów obciążonych płótnem zbudować aparat latający, więc powtórzyć dzieło szatana.

Tamten proces sprzed dwudziestu dwóch lat Myhajło Pyszcziel pamiętał doskonale. Uległ wtedy precyzji myśli i argumentacji Franiji Fyłożofowa.

Uległ, choć czuł inaczej. Przecież to on sam, jako młody chłopak, pomagał biskupowi Bazyłce budować latającą maszynę. Potem razem wzlecieli ponad kwietną dolinę. To było niewydzieralne wspomnienie, gdy mijali ścieżki, zagony, ludzi, trzodę. *Bazyłko* mógł dać ludziom coś więcej niż tradycyjne sterowce. Tanie, proste maszyny latające. A potem nastąpił błąd, coś, czego nie zrozumieli. Samolot roztrzaskał się o skalne zbocze. Biskup *Bazyłko* zginął, a ci tutaj i ci z Sejnych zrobili z niego świętego. Myhajło stracił nogę, aż kość wyszła na wierzch. Odtąd dali mu *mjeno* Pyszcziel, które później sam przyjął za nazwisko. Tyle że dziewczyny przestały na niego lecieć. Chociaż jedna została jego żoną, Lisbjeta. Tak samo, jak ta nieszczęsna młoda Małysza skazana w poprzedniej sprawie.

Myhajło wyczuł, że Fyłożofow oczekuje, by w sprawie Cypryłki właśnie on zakreślił górną granicę kary. Z pewnością chciał odwetu za wyrok w poprzedniej sprawie. Lecz staremu Myhajle trudno było zmiażdżyć marzenie swojej młodości. Milczenie przeciągało się, wieśniacy spodziewali się znów ostrego spięcia pomiędzy intelektami obu oponijentów.

– *Cypryłko wysmiat pamijatu swijatu Bazyłku* – podsunął Franija, wciągając powietrze jak ryba. – Nie jemu mierzyć się ze świętym. *Djawoł wysmijat swijatu*.

Myhajło uporczywie milczał.

– *Diawołu nje wolno kriżowat*. Nie godzien. *Djawołu wszjecnojo kamijenowat* – dalej podsuwał Franija. Chodziło jedynie o to, by Myhajło połączył oba właściwe paragrafy i sformułował wyrok.

– *Oponijentu, rjeczjete prawdu* – poddał się Myhajło. Najzdolniejszy mechanik z Nowi Gradku, kowal Cypryłko zostanie ukamienowany jako diabeł, ponieważ zbeszcześcił majestat śmierci biskupa Bazylego uważanego powszechnie za świętego. Sytuacja była bez wyjścia.

Swijati Jurija czerwjenu draku pobił. Prawa należało słuchać. Bez wyjątku. *Czerwjeni drak*

był symbolem państwa, w którym prawo było narzędziem dla doraźnych celów, a nie wartością; był też symbolem skutku, do którego takie traktowanie prawa prowadzi.

Jedyną, skromną satysfakcją Myhajły było to, że nie on wypowiedział słowa tego srogiemu, ale najwyraźniej sprawiedliwego wyroku. W skrytości ducha marzył, by móc jeszcze raz w życiu wzlecieć w powietrze warczącym ptakiem z płótna, desek i drutu. Nawet jeśliby miał za to stracić drugiego kulasa. Nie rozumiał do końca, dlaczego *Bazyłko*, umierając, nakazał latanie wyłącznie sterowcami. Nie rozumiał, ale ufał autorytetowi intelektu wielkiego biskupa.

Zamyślony Myhajło drgnął, ponieważ na sali ożywienie wywołane jego wypowiedzią nagle umilkło. Stary uważnie rozejrzał się po sali. Do zatłoczonego, dusznego pomieszczenia weszło kilka osób i to tak zmieniło zachowanie widowni.

W długich, białych habitach raczej wpłynęły, niż weszły. Pierwsza, oczywiście, *majica* Ivanna, jasna, wysoka, z wiekiem już przytyła, ale nadal trzymała się prosto i ruszała zgrabnie; z nią cztery mniszki z Sejen, ciemniejsze, o brązowych oczach i włosach, drobniejsze i niższe. Był pewien, że pod kwefami skrywają długie, zaplecione warkocze. Kobiety z Sejen miały brązowoszare włosy, które z wiekiem przeplatały coraz gęściej nitki siwizny; za nimi wszedł barczysty Pawio Doban, o spalonej słońcem, pomarszczonej twarzy oraz jedna z jego córek, jasna jak żona Dobana, w gestach i sposobie patrzenia podobna do ojca. Doban był dalekim krewnym Alojsza, ale od dawna przeniósł się do Sejnych, nawet pisał się inaczej.

Doban i Pyszczel wymienili porozumiewawcze spojrzenia: znali się od młodości. Wspólnie wybierali się na zabawy do Caban. Wspólnie zdarzało się im oberwać po gębie od miejscowych, choć zbyt chudy i zbyt wysoki Pyszczel obrywał częściej. Obaj też znaleźli żony w Caban. Z tym że Myhajło ustatkował się wcześniej – może dlatego, że stracił nogę – Pawio zaś znacznie później.

Łączyła ich też wspólna niechęć do Franiji Fyłożofowa, który nieustannie udawał, że jest lepszy i gorliwszy, tylko co jakiś czas wychodziły na jaw jego nieładne postęпки, a później, gdy miał władzę, jego decyzje budziły odrazę.

Zanim jeszcze Myhajle zaświtał w głowie ten pomysł, zanim jeszcze Franija zdołał ułożyć w głowie odpowiednio uroczystą mowę powitalną na cześć Ivanny, odezwał się Stijopan Babulija:

– Korzystając z obecności świątobliwej, może *majica* Ivanna przybliży nam ostatnie chwile *swijatu Bazyłku*, byśmy podjęli wyrok z duchem prawa, by *czervjeni drak* przypadkiem nie podniósł łba w Nowi Gradku.

Za to jedno zdanie Myhajło gotów był podarować Babuliji baryłkę wódki pędzonej z najdorodniejszych ziemniaków z jego zagonu. Że też jemu samemu to nie przyszło do głowy. Trudno będzie mówić o Stijopanie nadal „stary dureń”, jak zwykle dotąd.

– *Boh iz woima, swijata majica Ivanna...* – zaczął swą przemowę Franija Fyłożofow.

– *Bog s warne, Franija Fyłożofow* – szybko odpowiedziała, przerywając spodziewany wpływ pochwał i zachwytów. Planowała wejście na salę w trakcie sprawy Małyszki, wiedziała, jaki to

wywoła efekt i dzięki temu będzie mogło mieć wpływ na wyrok. Spóźniła się, trafiła na inną sprawę, choć równie ważną, bo też decydowano o życiu człowieka.

Powstała i podeszła ku katedrom, choć nikt nie miałby jej za złe, gdyby mówiła, siedząc na ławie w ostatnim rzędzie sali. Szła spokojnie, lekko, mimo tuszy, bił od niej majestat dobroci. Ludzie w Nowi Gradku lubili ją i to dało się wyczuć.

– Byłam przy śmierci biskupa Bazylia – powiedziała Ivanna. – Bazylia nie umarł na miejscu wypadku. Gdy wszyscy przybiegli i udało się wydobyć obu awiatorów, Bazylia był nieprzytomny i udzielano pomocy Myhajle, chociaż jego kikut nie krwawił, bo żyły zacisnęły się.

– Tak było – przytaknął stary. – Nie krwawiłem i nie czułem mocnego bólu, tylko kręciło mi się w głowie. Pamiętam ten dzień, tak było. A *Bazyłku* odniesiono do sali *sudu*, właśnie tu, gdzie dziś siedzimy. I był z nim, oprócz Ivanny, też Franija Fyłożofow. I właśnie Franija Fyłożofow zapisał ostatnie słowa *swijatu*...

– Rozmawiałam z Bazylią. – Ivanna skinęła głową, potwierdzając słowa Myhajły, ale jednocześnie grzecznie mu przerywając. Nie wiedziała, co w jej relacji może zainteresować sąd, ale nie chciała, by jej słowa zostały zastąpione czymś opisem, a szczególnie sporządzonym przez Fyłożofowa.

– Umierał spokojnie. Odniósł poważne obrażenia wewnętrzne i było wiadomo, że w Nowi Gradku musi umrzeć. Jego największym strapieniem było, że nie zdążył naznaczyć następcy. Najważniejszą rzeczą jest ciągłość, ciągłość od Petra Skały, a u nas na Zeme ciągłość ta na razie została przerwana. O tym mówił najwięcej.

– A co mówił o samolotach? Zginął przez samolot. – Myhajło czuł, że może dowiedzieć się czegoś innego, niż zwykle mówił Franija o śmierci *swijatu Bazyłku*.

– Powiedział: – To fascynujące, nigdy nie studiowałem konstrukcji lotniczych, oparłem się na ogólnej wiedzy technicznej i udało się... Poleciał. Potem koniecznie chciał zobaczyć Myhajłę, chciał mu przekazać jakieś swoje spostrzeżenia z lotu.

– Mnie?

– Tak. Kilka razy powtórzył, że młody Myhajło ma naturalną smykałkę techniczną.

– Ale przecież powiedział, że samolot to *djawońska* sztuczka, by zabić świętego męża. By odtąd żyć w pokorze i nie budować więcej tych diabelskich narzędzi – zdziwił się Babulija. – Tak nam jego słowa przekazał świątobliwy Franija Fyłożofow.

– Nic takiego nie powiedział biskup Bazylia.

– Ale tak, tak wynikało z jego słów... – wmieszał się Franija, aż kiwając się do przodu i do tyłu. Jego duże nozdrza wydawały się większe niż zwykle, jego małe oczka umieszczone blisko siebie wydawały się umieszczone jeszcze bliżej siebie niż zwykle. – Przede wszystkim pokora...

– Najwyższy chciał, byśmy kontynuowali jego dzieło, dzieło stworzenia. Nie powiedział, byśmy byli tchórzliwymi nedorajdami. – Proste słowa Ivanny leciały jak pociski. Franija kulił się w sobie.

Ona musi o nim wiedzieć coś, czego nie wie nikt inny na tej sali... – pomyślał Myhajło.

– Tworzenie nowego wymaga odwagi. Pokora zaś, to ma być właściwy stosunek do naszego dzieła, nie może nam pozwolić, byśmy utracili właściwą relację do Stwórcy, byśmy wpadli w pychę – kontynuowała.

No, jasne, zawsze unikał latania sterowcem... – pomyślał Myhajło. – Czyżby chciał ze swego tchórzostwa uczynić powszechną cnotę?...

– Pyszny można być, będąc jednocześnie tchórzliwym nedorajdą – powiedziała Wanna, nie spuszczać wzroku z Franiji.

Myhajło gotów był założyć się o krowę, no, może o dwie kozy, że gdzieś w kąciakach tych jasnych, spokojnych oczu czai się uśmiezek.

– *To welkita prawda, swijate słowa.* – Franija pokornie opuścił głowę.

Znowu Sysun zgadza się pokornie, znowu poleje się czyjaś krew?... – Myhajło nie mógł uwolnić się od zwykłych podejrzeń. Odruchowo poprawił *kapelijun* i przygładził włosy. – O ileż mniej krzyżowano by w Nowi Gradku, gdyby *Orleto Gnezno* wznosiło się nie nad Sejnymi, a tutaj... – Ale zaraz przypomniał sobie dyskusje i spory sprzed lat, kiedy zabroniono Ivannie odwiedzania Nowi Gradku częściej niż raz w roku, bo władze tak bardzo obawiały się jej wpływu na ludzi.

– *Tako stoi czjo Cypryłko nje wynowity* – rąbnął Myhajło, zanim Franija powiedział co innego. – I niech zbuduje do końca swój samolot.

Franija nie odezwał się ani słowem. Nie sprzeciwił się, co oznaczało, że wyrok Myhajły jest i jego decyzją.

– *Czy majica* Ivanna przechowała jakieś notatki *swijatu Bazylku*, inne niż zachowane przez świątobliwego Franiję? – zapytał przytomnie Babulija. – Mogłyby być przydatne Cypryłce.

– Niestety, nie. Nic mi nie przekazał, prócz tych słów.

– Mógłby polatać ze mną jako praktykant – włączył się milczący dotąd Pawio Doban. – Wprawdzie zasady lotu sterowca różnią się od reguł lotu samolotem, ale pozostaje wiele wspólnego. Jeśli *skupisza* się zgodzi... – Pawio znał społeczne zwyczaje panujące w Nowi Gradku. Już nawet w małych Sejnych zrezygnowano z tak silnego, prawnego powiązania człowieka z gromadą, gdyż na szanse przetrwania społeczności nie miała wpływu obecność jednego człowieka, ale uszanował tradycyjne prawo panujące w Nowi Gradku.

Cypryłko musi lecieć jako praktykant na sterowcu z Sejnych, bo nasz własny, miejski już od trzech lat nie wychynął z hangaru... – pomyślał z przekąsem Myhajło.

– Tak będzie z pożytkiem dla *skupiszu*. – Stijopan Babulija z rozmachem palnął drewnianym młotkiem, aż młotek spadł z trzonka. Kilkoro dzieci zachichotało, a usługowy woźny podszedł i podał spadły klocek. Babulija energicznie nabił młotek na trzonek. Myślał podobnie jak Doban: obywatele powinni mieć więcej samodzielności, ale ogół ludzi uważał inaczej i nikt nie próbował tego zmienić.

Stary Babulija miał dzisiaj swój dobry dzień.

– Tak rzadko jesteś wśród nas *majica* Wanna, a ojca Jona ter Boin utraciliśmy chyba na zawsze. Skoro jesteś, powiedz swoje zdanie i w sprawie, którą wcześniej rozpatrzyliśmy.

Ivanna błysnęła spojrzeniem. Była wdzięczna staremu za tę wypowiedź. Spóźniła się na sprawę, dla której tu specjalnie przybyła, i nie wiedziała, jak do niej wrócić, by nie urazić *sudu* w Nowi Gradku. Natychmiast wybaczyła mu nieszczerzy żal, pamiętała przecież, że właśnie Babulija najgłośniejsz gardłował przeciwko jej zbyt częstym wizytom w Nowi Gradku.

Stijopan pokrótce wyłuszczył znaną wszystkim sprawę Małysz.

– Trudno rozstrzygnąć – zaczęła Ivanna, a oczka Franijskiej Fyłożofowej zrobiły się twarde jak ślepiec węża.

– Kobiety Małysz nie brały w kradzieży udziału wcale – powiedziała Ivanna. Czowała strach dławiący gardło, by nie powiedzieć czegoś niewłaściwego. Czowała, że na sali siedzi człowiek łaknący odwetu za jej ingerencję w poprzedniej sprawie, człowiek łaknący krwi; czowała, że większość sali uważa, że stary Małysz zasługuje na surową karę.

– Młody Marko został przywiedziony do kradzieży przez ojca... – głośno zastanawiała się Ivanna, choć były to zdania układane w głowie od chwili, kiedy Jane Crjelp prosił ją o pomoc. – Stary Wanko Małysz kradł, ale nie dla swojego zysku, lecz dlatego, że głód zajrzał mu w oczy. Przecież wcześniej był uczciwym człowiekiem, niczego nie ukradł... – ciągnęła w pozorowanym zamyśleniu.

– Jednakże Wanko Małysz ukradł i nie zwrócił – przerwał jej nienaturalnie cienkim, nerwowym głosem Franijski Fyłożof.

– Ale Alojsz Duben nie umarłby z niedostatku, bo Wanko pozostawił mu osiem krów – próbowała przekonywać Ivanna. Niezręcznie, bo powtarzała argumenty Myhajły, które Franijski zdołał wcześniej odparować.

– Kradzież to kradzież. – Franijski bezradnie rozłożył ręce, jakby i on chciał najłagodniejszej kary. Jego argumenty znakomicie trafiały do słuchaczy, na ogół niezamożnych ludzi, dla których skromny dobytek był wartością najwyższą.

Ivanna umilkła. Rozumiała, że nie kontroluje sytuacji, że kto inny podejmie decyzję, że głos jej serca nie trafił do nikogo.

Lepkie zadowolenie wylało się na gębę Franijskiej Fyłożofowej. Wiedział, że teraz może okazać miłosierdzie w należytych granicach, a za każdy gest Ivanna musi mu być wdzięczna.

– Cenne prawdy powiedziała nam *swijata majica Ivanna* i musimy z nich skorzystać, by *czerwjeni drak* nie zbudził się w Nowi Gradku – zaczął. Wiedział, że ma salę po swojej stronie.

– Kobiety, Małysze, nie są winne kradzieży – powiedział, skromnie zwieszając głowę. – Wyjaśniła mi to *majica Ivanna*.

Na sali podniósł się życzliwy pomruk. Franija potrafił znakomicie wyczuwać oczekiwania słuchaczy.

Sukisyn, jak nie będzie mógł zobaczyć ich nagich, to przestały go interesować jako ofiary... – pomyślał złośliwie Myhajło.

– Dlatego powinny odejść wolne – kontynuował świątobliwy Franija.

Ktoś klepnął parę oklasków. Ta decyzja została bardzo dobrze przyjęta. Jakoś nie wypadało w obecności Ivanny pochopnie skazywać na wyrwanie duszy.

– *Malkity Myhajło* nie jest winien kradzieży. – Głosem niższym niż zwykle zawyrokował Franija. To też przyjęto dobrze, bo nikt nie chciał karać niemowlęcia.

– Marko jest dzieckiem, więc poprowadzony przez ojca nie wiedział, co czyni, i jako dziecko robił tylko to, co rodzic przykazał.

– *Welkity Franija, swijatływity Franija* – szeptały osoby z audytorium. I właściwie Pyszcziel też powinien dołączyć się do tych szeptów.

Tłusty wieprz potrafił we właściwej chwili powiedzieć właściwe słowa... – Tylko na tyle złośliwości potrafił zdobyć się Myhajło.

– Ale Wanko ukradł i nie zwrócił, choć nie zrobił tego dla zysku.

– *Tak sud Nowi Gradku rjecze* – powiedział autorytatywnie Franija. – *Nastazija, Lisbjeta, Anica, Myhajło a Marko Małyszi su swobodne.* – Tego chciała sala. – *A Wanko Małysz pyjde na ljahku smjert pre Alojszu Dubenu.* – Z sali dobiegły odgłosy aprobaty. Sysun potrafił okazać wspaniałomyślność...

Stary Babulija przytwierdził nowy wyrok głośnymi uderzeniami młotka. Zanim *swijatływity Franija* nie zmieni zdania...

Ivanna była bliska łez, wiedząc, że znów człowiekowi zostanie wyrwana dusza, i to tak dzielnemu jak Wanko Małysz. Nie zdobyła się, by podziękować Franiji za wspaniałomyślność.

Na salę wezwano Cypryłkę, by ogłosić mu wyrok. Następnie wprowadzono całą rodzinę Małyszy. Mimo że ocalili życie, płakali, tylko Wanko nie płakał.

Przez dwa dni Wanna pozostała w Nowi Gradku. Wprawdzie spraw sądowych nie było chwilowo więcej, ale ludzie uważali, że sama jej obecność ma dobry wpływ na społeczność. Złościły ją te bujdy, ale gdy o tym mówiła, siostry spuszczały oczy, a Pawio Doban uśmiechał się tym swoim denerwującym, ironicznym uśmieszkiem.

Te dwa dni składały się z nieustannych wizyt u różnych ludzi w Nowi Gradku. Podejmowali ją, prosili, by wspólnie modlić się. Udało się jej załatwić miejsce dla Małyszy. Córki i Małysza pójdą na służbę, Marko do terminu do kowala Cypryłki. Szkoda, że Lisbjeta i Anica nie będą mogły kontynuować nauki.

Jeśli już uruchomiła *Bijeli Golabu* na coroczną podróż, to należało polecieć nad tereny sysunów, odwiedzić ojca ter Boin. Doban nie zdziwił się zbytnio. Wysłuchał polecenia i powiedział jedno słowo:

– Kiedy? – Do latania nie potrzebował zachęty.

Bijeli Golab poleciał w górę doliny, mijając kolejne szczyty i turnie Porogów. Doban nie wznosił statku zbyt wysoko, wolał lecieć w zasięgu strzału z dubeltówki z ziemi. Sysuni pamiętali wysoko latające sterowce z okresu ostatniej wojny. Nie chciał wywoływać ich niechęci, a wiedział, że karni jako pierwsi nie zaatakują. Wieść o wysoko lecącym sterowcu mogła zarówno zaszkodzić ojcu ter Boin, jak i wpłynąć na nieżyczliwe przyjęcie maiki. Lot na małej wysokości był trudny, w statek powietrzny uderzały lokalne prądy dolinne. Górna część doliny Thalaht nie była zamieszкана. W surowym, górskim krajobrazie widać było odosobnione strażnice sysuńskie. Po ostatniej wojnie wyparli ludzi z górnej części Thalaht, udało im się nawet zrównać z ziemią Gradek, poprzednie miasto.

– To zupełnie inne góry niż Grody – powiedziała Maria, która pierwszy raz leciała sterowcem i pierwszy raz widziała Porogi obramowujące Thalaht. Ludzie nadali nazwę górą, sysuni dolinie.

Grody wznosiły się pionowymi, skalnymi cytadelami, izolowanymi od siebie. A do zasiedlenia nadawały się tylko fantazyjnie pogmatwane doliny między nimi. Orle Gnezno było basztą na skraju jednej z takich cytadel.

– Dlatego lecę tak nisko – odpowiedział Doban. – W tych górach można tak lecieć, powietrze przy ziemi jest spokojniejsze.

– Dziwne te osiedla na dole. Domy jak paciorki nanizane na nitkę.

– To są tereny sysunów. Oni tak mieszkają.

– Dobrze, że Nowi Gradek osłania nas przed nimi. Co by to było, gdyby na nas napadli?

– To my napadamy na nich, nie oni. Z wyjątkiem pierwszej wojny zaczętej przez nich. Zresztą Sejny graniczą z sysunami. My zasiedliliśmy doliny pod Grodami, a oni cofnęli się od gór.

– Boją się nas.

– Nie sędzę. – Doban pokiwał głową. – Są dobrymi żołnierzami. Zamieszkują całą Zemę. Może nie mogą dogadać się między sobą?... Staczają z nami wojny, lecz nie angażują się w nie bardzo. Ty wojny nie pamiętasz, bo ostatnia toczyła się w Thalaht, ale Sejny też kiedyś walczyły z nimi, Caban też.

– Czekał chwilę, zaraz przelecimy przez przełęcz Bakletf. Muszę uważać, może uderzyć w Golaba jakiś inny prąd.

Pogoda była dobra. Chociaż wiele chmur snuło się po niebie. Pod wieczór mogła zrobić się z tego burza.

Od drugiej strony przełęcz Bakletf obrywała się ścianą, pod którą w karze zieleniało okrągłe jezioro.

– Jak się nazywa ta dolina?

– Caz dl Kvoi.

– Trudno to wymówić.

– Sysunom też trudno mówić ludzkim językiem, ale się uczą. Niektórzy mówią całkiem dobrze. A tylko niewielu ludzi włada językiem sysuńskim.

XIV

Sterowiec zatrzymał się nad łąką koło jednego z osiedli dl Kvoi. Na trawie widniały wyraźne znaki: cztery strzałki umieszczone w rogach kwadratu i celujące w kółko umieszczone pośrodku. Sterowiec zatrzymał się nad kółkiem. Skądś pojawili się sysuni, którzy chwycili za cumy. Widać wieść o przylocie rozchodziła się z szybkością większą niż szybkość sterowca.

Zgodnie ze zwyczajem, sterowiec nie parkował w żadnym hangarze, jedynie opuszczono wiklinowy kosz, do którego weszła maika Wanna. Ten zwyczaj miał proste uzasadnienie: sysuni od dawna chcieli poznać technologię budowy sterowców i w ten sposób zabezpieczano się przed napaścią. Inna sprawa, że Bijeli Golab był sterowcem helowym i jego zdobycie nie dałoby sysunom wiele, poza ogólnymi zasadami konstrukcji kadłuba i silnika. Prawdziwym nieszczęściem byłoby,

gdyby udało im się zdobyć Nowi Gradek albo Ptijcu Cabanskoju, które latały na ogrzewane powietrze. Technologia wydobywania helu przepadła mniej więcej pięćdziesiąt lat temu, przy okazji wielkiego pożaru Caban.

Gdy kosz z Ivanną lekko oparł się o ziemię, kilku sysunów pomogło jej wydobyć się z niego. Sysuni wprawdzie byli uzbrojeni, ale zachowywali się swobodnie, jakby nie mieli wątpliwości, kto wysiądzie z kosza, a broń mieli, bo taki rozkaz. Dwaj z nich przeżegnali ją znakiem krzyża, pozostali przyrzekli się jej uważnie.

– *Dobrejo doszjeli, welkita diawollica, Ivanna* – przywitał ją jeden z nich, oficer.

Ivanna skinęła głową, nie spodziewała się innych słów. Prawdopodobnie było to życzliwe powitanie.

Dała znak, by podjęto kosz na pokład. Białe kółko na trawie zostało równiutko usypane z drobnych kamyczków. Bijeli Golab majestatycznie zawrócił; jego srebrzysta sylwetka wolno malała w oddali.

Odprawdzili ją do jednego z tych swoich solidnych, murowanych zabudowań wznoszonych z głazów układanych i dopasowywanych bez spoiwa. Po zniszczeniach ostatniej wojny na ludzką modłę zaczęli używać zaprawy, ale dostatek trupieli spowodował, że znów wrócili do starej, pracochłonnej technologii.

Wewnątrz budynku czekał na nią ojciec Jon ter Boin. Mały, chudy staruszek, o różowej łysinie i długiej, siwej brodzie. Przypominał miłego gнома. Sława jego intelektu, świętości i dobroci nie pasowała do tej skromnej postaci.

Uśmiechnął się do Ivanny jakoś tak bardzo otwarcie, jak potrafią uśmiechać się niektóre dzieci.

– Znowu upłynął rok i znowu się spotykamy – powiedział.

– Sporo zdarzyło się tego roku.

– Nie wątpię, nie wątpię. – Stary poprawił habit. Skinął głową, aby dwaj towarzyszący mu sysuni wyszli. Był zakładnikiem, nie więźniem. Miał prawo rozmawiać z Ivanną bez świadków.

– Przyleciał ktoś? – zapytał, gdy zostali sami.

– Nikt.

Ter Boin pokiwał głową.

– Musimy być bardzo na skraju – powiedział. – Bardziej niż mogłem pomyśleć, kiedy zdecydowałem się tu przylecieć.

– Bardziej niż ja mogłam pomyśleć.

– Zapominam ludzkiej mowy – podjął po chwili. – Z nimi rozmawiam wyłącznie po sysuńsku.

Znów umilkł.

– Wiesz, Ivanno – odezwał się. – Odnoszę wrażenie, że oni znacznie więcej korzystają na kontaktach z ludźmi niż odwrotnie. Dlatego ja chcę nauczyć się od nich jak najwięcej.

Do pokoju wszedł sysun, niosąc na tacy dymiący posiłek.

– Zaraz. – Jon ter Boin skinął dłonią.

– Chcesz się wypowiedzieć? – zwrócił się do Ivanny.

– Po to tu jestem.

Sysun zrozumiał jej wypowiedź i wyszedł. Ivanna była jedynym człowiekiem dopuszczanym przez sysunów do spowiedzi. Wszelkie próby negocjacji, by ojciec ter Boin choć raz w roku wracał do swoich, by udzielić im sakramentów, spotykały się ze zdecydowanym sprzeciwem.

Ivanna wymieniła swoje winy. Nie było tego zbyt wiele.

– Nie uratowałam człowieka. – Na koniec zostawiła największą wątpliwość. – Zrobią trupiela z Wanki Małysza.

– Dobrze chociaż, że sysuni wydali Małyszy ludziom do osądzenia – powiedział ter Boin, gdy wysłuchał szczegółów całej sprawy. – Wedle prawa sysuńskiego za wtargnięcie na ich terytorium każdemu wydziera się duszę. Sysuni potrzebują tanich rąk do pracy... Jak szybko to się przyjęło. – Pokiwał głową. – Ludzie wzięli ten sposób karania za swój, są krwiożerczy, taki człowiek jak Franiya Fyłożofow bardzo im odpowiada. Znów go wybiorą na nową kadencję. Żeby chociaż stary Myhajło nadal pozostał oponijentem. Właściwie tylko on może być przeciwwagą dla tego człowieka. Myślę, że nie mogłaś zrobić więcej.

Potem rozgrzeszył Ivannę.

Wezwał sysuna, by ten przyniósł hostię.

– Zakonsekrowałem trochę na zapas. Miałem nadzieję, że może tym razem pozwolą wysiąść jeszcze komuś innemu. Uprawiają dla mnie specjalne poletko pszenicy, z której robią opłatki. Udało się nam opracować technikę usuwania niestrawnych substancji z mąki i teraz nie ma kłopotów. Ale wcześniej po opłatku dostawali straszliwych boleści, nie trawili naszego chleba. Kilku z nich popełniło samobójstwo, wierząc, że Bóg ich odrzuca. Nie potrafię ich przekonać, że życie nie jest ich własnością...

– Zabierają ci hostię – zauważyła Ivanna.

– Uważają, że diabeł nie jest godzien, by przechowywać Ciało Boże...

Jeden z sysunów przyniósł kielich, dwóch innych przyszło z nim. Wanna ukłękła z wysiłkiem, kolana bolały po bezruchu w gondoli sterowca. Sysuni ukłękli sprężysto i zgrabnie.

– Ciało Chrystusa. – Jon ter Boin zaczął od Ivanny.

– Amen.

Sysuni po przyjęciu sakramentu zwieszali jaszczurcze głowy i składali dłonie na krzyżach, przymocowanych do napierśników zbroi. Potem powstali, a jeden z nich wyniósł kielich.

Zaraz potem wrócił ten, który wcześniej przyniósł posiłek. Widocznie to on był odpowiedzialny za zaopatrzenie zakładnika i gościa. Jon zamienił z nim kilka słów po sysuńsku. Zaraz potem sysun przyniósł posiłek.

Jon ter Boin jadł za dwóch, Ivanna nie miała apetytu po napowietrznej podróży, która wywołała u niej lekkie mdłości.

– Zawsze ręka mi drży, gdy ich komunikuję – powiedział ter Boin. – Nie wiem do końca, jak oni to rozumieją, czy rzeczywiście mogą przyjąć Pana.

– Uważasz, że sysuni nie powinni?...

– Nie, to nie to. Świat jest pieśnią śpiewaną przez Boga. Ludzie w tej pieśni są jedną strofą. Sysuni są inną. Po prostu, nie mam pewności w konkretnych przypadkach... Spowiadają się dziwnie, wyliczają rzeczy, które trudno nazwać winą... Nie wiem. Z kolei, wydaje mi się, że czasem opuszczają rzeczy istotne.

Ivanna z widoczną obawą wzięła się do jedzenia.

– Nie... nie... Jest w porządku – zarzekł się ter Boin. – To zwykła wołowina. Od czasu, jak w zeszłym roku strułaś się, przestali eksperymentować. Na mnie nie próbowali eksperymentów. Od początku wiedzieli, że jestem tu jedynym kapłanem i nie mogę naznaczyć następnego. Znali wartość zakładnika, nie ryzykowali na nim eksperymentów kulinarnych.

– Nie mogę jeść za dużo – powiedziała Ivanna. – Mało ruszam się i tyję. A co tydzień muszę pokonać te wszystkie stopnie na dół i do góry.

– To łożenie jakoś trzyma cię w formie.

– A ty nadal eksperymentujesz z pożywieniem? – spytała. Jon ter Boin był kiedyś biologiem.

– Ja tak, oni przestali. Mogliby spożywać mąkę pszenną, gdyby chcieli. Ale uważają, że skoro wyrabia się z niej opłatki, to nie powinno się używać jej do zwykłych potraw.

– Badasz ich nadal?...

– Tak. Obecnie nie mam już wątpliwości. Są dinozauroidami. Wiesz, pewne cechy budowy. Ale

stali się zdumiewająco podobni do nas, w budowie, w sposobie poruszania się, mówienia. Konwergencja.

– Dla mnie są jacyś tacy jaszczurczy, w gestach, w ruchach.

– To pozór. – Jon pokiwał przecząco głową. – Wydają się jaszczurczy, bo mają taką dziwną, szorstką skórę i układ twarzy. Ivanno, jest tu sporo jaszczurek i mam dość okazji do porównań: oni są ludzcy, przerażająco podobni, zapewniam cię... Nawet mimika twarzy... Może są zbyt podobni i dlatego jesteśmy tak czuli na różnice...

– Myślisz, że wywodzą się z Primy?

– Mało prawdopodobne. Za duże różnice w chemii, pomiędzy oboma światami, nami i nimi. Z drugiej strony, może oni tak daleko wyewoluowali chemicznie od nas. Nie wiem. – Może jakieś susuńskie rakiety też latają. Jeśli tak, to skrzętnie ukrywają ten fakt przede mną.

– Dlaczego nas po prostu nie zmiażdżą, nie zmiotą z powierzchni Zemy? Przecież zasiedliliśmy ledwie parę dolin, a oni resztę planety...

– Czy całą planetę, tego nie wiadomo, bo nie podróżowaliśmy nigdy tak daleko... Ale tak czy owak, myślę, że oni nas obserwują. Raczej unikają eksperymentów, tylko uczą się, rejestrują, wypytują. Zrozum, Ivanno, to tak jakby nam diabeł objawił się cieleśnie, pozwolił ze sobą rozmawiać, więcej, był na tyle słaby, że można by go było zwyciężyć militarnie... To przecież fascynujący obiekt do badania.

– Nadal uważają nas za diabły?

– Nie mają co do tego wątpliwości. Ukrzyżowaliśmy Chrystusa. Widzą moją religijność; uważają, że wynika ona z pewności, a nie wiary; a diabeł nie ma żadnych wątpliwości co do istnienia Pana, bo wszystko, co chce robić, jest wyłącznie zaprzeczeniem woli Bożej.

– To dlaczego przyjmują sakramenty od diabła, znaczy od ciebie?

– Pytałem ich o to. Bo Najwyższy właśnie obecnie kazał mi, znaczy diabłu, to robić. Zmusił mnie. Uważają, że w ten sposób pokonują mnie, znaczy diabła.

Ivanna pokiwała głową.

– Skoro nas tak oskarżają, to może sami są bez grzechu pierwородnego i nie potrzebują odkupienia?... – zapytała.

– A wiesz to?... Jeśli Najwyższy kierował się tą samą logiką przy całym stworzeniu, to nie są – poprawił się ter Boin.

– Widzisz jakiś wpływ wiary na nich?

– Zdziwiająco łatwo zrozumieli konieczność istnienia Boga. Odkupienie też...

– Odkupienie też?... Przecież uważają nas za diabły? – przerwała mu.

– Tak. Uważają, że Bóg dał się umęczyć przez diabła, by odkupić winy stworzonych. – Ukrzyżowanie wydało się im bardzo naturalną formą cierpienia. Zawsze było u nich powszechnie stosowaną karą najwyższą. Obecnie przynajmniej ograniczyli je do najpoważniejszych przestępstw, wyłącznie kryminalnych...

– Nie chcą się pomylić, jak kiedyś ludzie?...

– Chyba tak. Mocno wierzą, że drugi raz On przyjdzie właśnie do nich.

– Niestety w Nowi Gradku krzyżują często.

– Tak. To jest właśnie przerażające, co najszybciej przenika pomiędzy cywilizacjami. Wódka za wyrywanie duszy. Kamienowanie za krzyżowanie. Oni obecnie rzadziej krzyżują, częściej kamienują. A ludziom podoba się okrucieństwo. Biorą to za swoje.

– Wiara też przenikła.

– To prawda, ale oni byli do tego przygotowani. Czekali. Mieli swoich proroków.

– Jak się nazywali?

– Z tym kłopot. Jeden z nich kazał mówić na siebie po prostu Stworzenie Boże, inny był podobnie skromny, bo nazwał się Jeden z Sysunów. Oczywiście, mógłbym ci to powiedzieć po sysuńsku, ale chyba lepiej będzie przetłumaczyć ich imiona.

– I ci prorocy powiedzieli, że jesteśmy diabłami?

– Niestety, tak. Powiedzieli im, że Dobrą Nowinę przyniosą diabły. I przestrzegli, żeby pomimo to nie odrzucić jej.

– Może to taka metafora oznaczająca obcych?

Jon ter Boin uśmiechnął się niewyraźnie. Widać sam nie był przekonany.

– Uczono mnie, że ludzie są Żydami wśród narodów Kosmosu, Ludem Wybranym, bo Bóg wszedł w świat, stając się właśnie jednym z ludzi. I że tak będziemy postrzegani przez wszystkie narody rozumne Kosmosu. I wszyscy oni będą musieli przejść swą długą drogę intelektualną, zanim zrozumieją, że wszyscy ludzie są ich braćmi. Spodziewałem się, że sysuni tak właśnie pomyślą, ale zarzut, że jesteśmy diabłami... – Pokiwał głową. – Na coś takiego nie byłem przygotowany.

– Ale przecież diabeł jest narzędziem, weryfikatorem dzieła stworzenia. Jak sekator w rękę ogrodnika – zastanawiała się Wanna. – Jedne dzieci Boże nie mogą pełnić takiej roli dla innych dzieci Bożych...

– Zaczęłaś nazywać ich dziećmi Bożymi. – Jon ter Boin uśmiechnął się figlarnie. Gdy się śmiał,

przypominał uradowanego krasnoludka.

– No przecież... – Wzruszyła ramionami. Zaraz jednak przypomniała sobie ich rozmowę sprzed roku i spokorniała.

– Cypryłko z Nowi Gradka próbował zbudować samolot. Franija Fyłożofow o mało co nie skazał go za to na ukamienowanie.

– Znowu ten Franija. Ojciec od najmłodszych lat sposobił swego jedynaka do kapłaństwa, a z tego wybrańca wyrosło... Utrapienie dla wszystkich. I kogoś takiego, regularnie z kadencji na kadencję wybierają na oponijenta. – Jon ter Boin pokiwał głową.

– To byłoby znacznie lepsze rozwiązanie niż sterowce – zmienił temat. – Umiemy konstruować silniki, benzyny jest dosyć, a technologia helu przepadła. – Lata chociaż ten samolot?...

– Cypryłko nie skończył budowy, a już go capnęli – powiedziała Ivanna. – Ale i tak jego konstrukcja pewnie nie wzniosłaby się w powietrze. To samouk bez doświadczenia. Żeby chociaż biskup Bazyli zostawił jakieś notatki...

– Na pewno zostawił. Był pasjonatem latania.

– Franija przechowuje notatki Bazylego. Twierdzi, że nic nie było tam o lataniu...

– Pewnie zniszczył te notatki. Nie sędzę, żeby Bazyli budował samolot bez sporządzenia dobrych planów. Franija bał się, że ktoś może zbudować samolot, a on jako *sudowi oponijent* będzie musiał go wypróbować. Gdyby wielkość człowieka mierzyć w skali tchórzostwa, to Franija byłby wśród najpierwszych. Choć może krzywdzę go, może przeżył szok, jak zobaczył urwaną nogę Myhajły i wystającą kość, i to wspomnienie dotąd za nim idzie.

– Myhajło zupełnie inaczej mówi o lataniu, widać zapał, jaki dotąd w nim się tli. Mimo wypadku, mimo kalectwa – powiedziała Ivanna.

– Dobrze by było, żeby razem z Cypryłką wzięli się do budowania samolotu. Może Myhajło jeszcze pamięta, jak pracował z Bazylim.

– Dobrze by było.

XV

Ivanna dostała dla siebie obszerny pokój. Następnego dnia rano miał po nią wrócić Bijeli Golab.

Późnym wieczorem, gdy już pożegnała ojca Jona ter Boin, wyszła przed dom.

Niebo na noc uwolniło się z chmur, jaśniały miriady gwiazd. Życie Ivanny ułożyło się skomplikowaną linią. Najpierw dziewięć lat wymuszonego małżeństwa z człowiekiem, który budził jej odrazę. Nie dała mu dzieci. Potem, gdy umarł na raka nerki, wyruszyła w daleką wędrówkę. Wreszcie zakon i ta planeta, tak niezwykle oddalona od wszelkich tras uczęszczanych przez rakiety, wędrownie ptaki kosmosu.

Przypomniła się jej winnica ojca: dziesiątki palików wbitych w ziemię, wcześniej starannie opalonych, by niegniły, niosących na sobie dach z liści i splecionych łądyg, a pod nim zwieszające się granatowe grona pokryte białawym meshkiem. W upalne dni kryła się tam i słuchała, co mówią owady. I potem, kiedy te znakomite konstrukcje zaczęły podupadać, walić się niekonserwowane, kiedy ojciec uległ wypadkowi i pił zbyt wiele. A potem znowu równe i bezbłędne, gdy naprawiał je Aberto, chłopak, którego zazdrościła starszej siostrze, a jeszcze później znowu konserwowane przez ojca, gdy wyzdrowiał i uwolnił się z nałogu.

– Ach, Ineda, Aberto, gdzie wy teraz jesteście. – Podniosła oczy ku białym, mrugającym punkcikom gwiazd. – Ku której z nich teraz mkniecie?...

Nagle odczuła tak straszną samotność, jakby lodowata łapa chwyciła za serce i gniotła, by pocięły łyzy. Samotność tu gdzieś w kosmosie, na obcej, tak bardzo obcej planecie. Wśród ludzi, którzy poważali ją, właściwie nie wiadomo dlaczego, przecież po prostu była sobą.

Potem wzięła do rąk drewniane paciorki różańca i nie była już samotna.

Hinterbichl-Corvara, sierpień 1993

Spis treści

[Rozpocznij](#)